

morze i ziemia



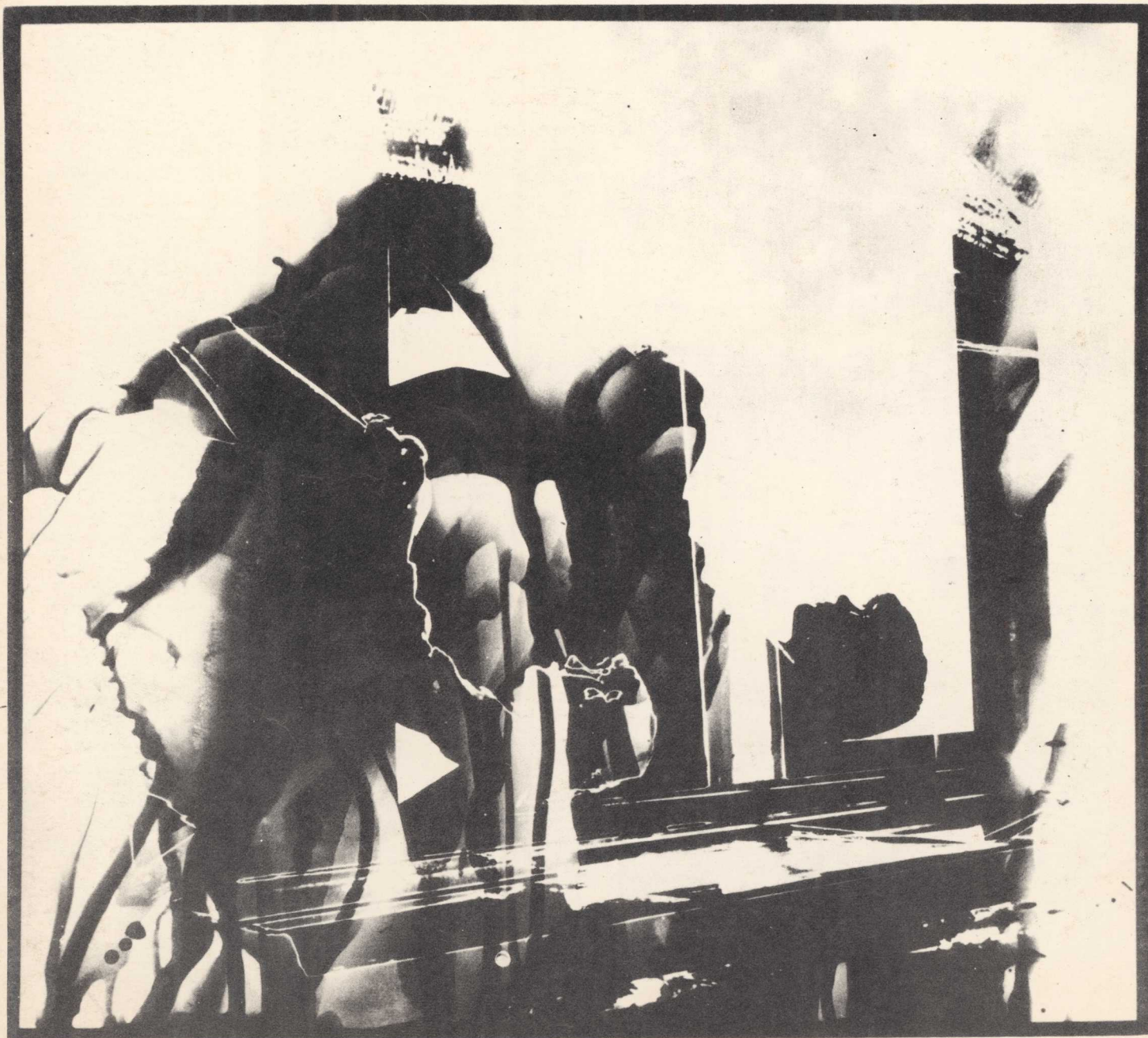
fot. Zbigniew Ryngwelski

Egz. obow.

1943/79

Jotbe, bez tytułu — olej

SLAWOMIR PREISS, „Zjawisko” — fotogram. Praca eksponowana na I Salonie Jesiennym w Szczecinie w 1978 r.



morze i ziemia

ALMANACH
SPOŁECZNO-KULTURALNY
wrzesień 1979 r

Zamek Książąt Pomorskich
ul. Korsarzy
70-540 Szczecin

REDAKCJA:

Ryszard Dżaman
Janusz Janowski (Red. graficzny)
Jerzy Jurczyk
Zbigniew Kosiorowski (Red. Naczelny)
Marian Kowalski (Sekretarz)
Kazimierz Kozłowski
Stefan Pleśniarowicz (Fotoreporter)
Wojciech Termanowski (Fotoreporter)
Lidia Wójcik (Red. techniczny)

RADA PROGRAMOWA:

Janusz Bukowski
Henryk Chmielowski
Bogdan Dopierała
Eugeniusz Daszkowski
Michał Hempoliński (Przewodniczący Rady)
Erazm Kuźma
Jerzy Pachłowski
Walerian Pawłowski
Guido Reck
Jerzy Piskorz-Nałęcki
Romuald Sawicki
Aleksander Winnicki

WYDAWCA:

Szczecińskie Towarzystwo Kultury
Zamek Książąt Pomorskich
Cena zł 20,—

SZGrf. Zam. nr 1061/I/A, 3000+25, F5

W NUMERZE:

EDMUND OSMANŃCZYK, Rodło królewskie mamy!	1
ZBIGNIEW KOCZERGA, Odpowiedzialność	4
ALINA GŁOWACKA, Podgaje	8
MAREK KOSZUR, Głos w dyskusji nad poetyką radiowego reportażu literackiego	11
SŁAWOMIR LENCZEWSKI	14
ROMUALD WIESŁAW GUTT, Uraz i postęp — na co dzień...	16
JADWIGA SAŁYGA, Prezentacje malarzy krajów socjalistycznych	20
PIOTR FLUKS, Nauka, Wieczór, Sposób bycia, Przebudzenie, Katastrofa kolei podziemnej	21
JADWIGA JOANNA KRZYŻANOWSKA, Mój dom niepewny	22
JÓZEF BURSEWICZ, W tesalskim cieniu, Droga	25
TADEUSZ PIOTROWSKI, Słońce nad Tirich Mirem	26
PIOTR DWOROWSKI, Wszystko zależy od inteligencji	30
BRITTA WUTTKE, Międzyzdroje	32
JERZY JURCZYK, Konik Morski '79	34
ANNA STANKIEWICZ, Określić się w teatrze	37
KAZIMIERZ ŚLASKI, Mecenat artystyczny ostatnich książąt z dynastii zachodniopomorskiej	40
UFO nad Pomorzem	44
HALINA LIZIŃCZYK, Wizyta u astrologa	46
EUGENIUSZ A. DASZKOWSKI, Marabut	48
JAN RADECKI, Kobieta u studni	50
TERESA FERENC, Drugie życie, Od matki, Niobe	52
STANISŁAW TELEGA, Jan Papuga — przypadek szczególny	53
RYSZARD DŻAMAN, Jeden dzień w księgarni	57
WŁADYSŁAW ŁAZUKA, próba zjednoczenia, ja i (mój) przyjaciel wiersz	
TADEUSZ BRZOSOWSKI, Analizy	61
WIESŁAW SEIDLER, Nie było nas, był Bałtyk	62
KRONIKA	62—63
WŁODZIMIERZ MARTYNIUK, Małe formy	64

RODŁO KRÓLEWSKIE MAMY

1
4 Szanowni goście, drodzy Rodacy!

8
11
14
17
20
23
26
29
32
35
38
41
44
47
50
53
56
59
62
65
68
71
74
77
80
83
86
89
92
95
98
101
104
107
110
113
116
119
122
125
128
131
134
137
140
143
146
149
152
155
158
161
164
167
170
173
176
179
182
185
188
191
194
197
200
203
206
209
212
215
218
221
224
227
230
233
236
239
242
245
248
251
254
257
260
263
266
269
272
275
278
281
284
287
290
293
296
299
302
305
308
311
314
317
320
323
326
329
332
335
338
341
344
347
350
353
356
359
362
365
368
371
374
377
380
383
386
389
392
395
398
401
404
407
410
413
416
419
422
425
428
431
434
437
440
443
446
449
452
455
458
461
464
467
470
473
476
479
482
485
488
491
494
497
500
503
506
509
512
515
518
521
524
527
530
533
536
539
542
545
548
551
554
557
560
563
566
569
572
575
578
581
584
587
590
593
596
599
602
605
608
611
614
617
620
623
626
629
632
635
638
641
644
647
650
653
656
659
662
665
668
671
674
677
680
683
686
689
692
695
698
701
704
707
710
713
716
719
722
725
728
731
734
737
740
743
746
749
752
755
758
761
764
767
770
773
776
779
782
785
788
791
794
797
800
803
806
809
812
815
818
821
824
827
830
833
836
839
842
845
848
851
854
857
860
863
866
869
872
875
878
881
884
887
890
893
896
899
902
905
908
911
914
917
920
923
926
929
932
935
938
941
944
947
950
953
956
959
962
965
968
971
974
977
980
983
986
989
992
995
998
1001
1004
1007
1010
1013
1016
1019
1022
1025
1028
1031
1034
1037
1040
1043
1046
1049
1052
1055
1058
1061
1064
1067
1070
1073
1076
1079
1082
1085
1088
1091
1094
1097
1100
1103
1106
1109
1112
1115
1118
1121
1124
1127
1130
1133
1136
1139
1142
1145
1148
1151
1154
1157
1160
1163
1166
1169
1172
1175
1178
1181
1184
1187
1190
1193
1196
1199
1202
1205
1208
1211
1214
1217
1220
1223
1226
1229
1232
1235
1238
1241
1244
1247
1250
1253
1256
1259
1262
1265
1268
1271
1274
1277
1280
1283
1286
1289
1292
1295
1298
1301
1304
1307
1310
1313
1316
1319
1322
1325
1328
1331
1334
1337
1340
1343
1346
1349
1352
1355
1358
1361
1364
1367
1370
1373
1376
1379
1382
1385
1388
1391
1394
1397
1400
1403
1406
1409
1412
1415
1418
1421
1424
1427
1430
1433
1436
1439
1442
1445
1448
1451
1454
1457
1460
1463
1466
1469
1472
1475
1478
1481
1484
1487
1490
1493
1496
1499
1502
1505
1508
1511
1514
1517
1520
1523
1526
1529
1532
1535
1538
1541
1544
1547
1550
1553
1556
1559
1562
1565
1568
1571
1574
1577
1580
1583
1586
1589
1592
1595
1598
1601
1604
1607
1610
1613
1616
1619
1622
1625
1628
1631
1634
1637
1640
1643
1646
1649
1652
1655
1658
1661
1664
1667
1670
1673
1676
1679
1682
1685
1688
1691
1694
1697
1700
1703
1706
1709
1712
1715
1718
1721
1724
1727
1730
1733
1736
1739
1742
1745
1748
1751
1754
1757
1760
1763
1766
1769
1772
1775
1778
1781
1784
1787
1790
1793
1796
1799
1802
1805
1808
1811
1814
1817
1820
1823
1826
1829
1832
1835
1838
1841
1844
1847
1850
1853
1856
1859
1862
1865
1868
1871
1874
1877
1880
1883
1886
1889
1892
1895
1898
1901
1904
1907
1910
1913
1916
1919
1922
1925
1928
1931
1934
1937
1940
1943
1946
1949
1952
1955
1958
1961
1964
1967
1970
1973
1976
1979
1982
1985
1988
1991
1994
1997
2000

Na wstępie chciałbym przypomnieć lata trzydzieste, które dla nas zaczęły się w sposób tragiczny. Były to lata, w których równocześnie przyszedł ciężki kryzys ekonomiczny, a wraz z nim rozpoczęła się ta wysoka fala hitleryzmu, która wypróbowywała siłę swojego terroru na Polakach żyjących w Rzeszy niemieckiej. Były to lata, w których noszenie odznaki Rodła wymagało odwagi. Od działaczy Związku Polaków w Niemczech nie wymagaliśmy żadnej rzeczy, która by naruszała ich światopogląd. W ogniu walki nie było nas stać na to, aby się dzielić w poglądach. Uznaliśmy, że to są sprawy każdego Polaka z osobna. Nie dopuszczaliśmy do rozbicia na stronnictwa polityczne, na wzór zwalczających się w kraju. Tłumaczyliśmy sobie i ludziom z kraju, że nasza walka wymaga jedności działania. Mieliśmy pełne przekonanie, że terror hitlerowski, jeśli Hitler dojdzie do władzy, nie zakończy się na nas, że ta groźba będzie wisiała nad Polską i że wojna stanie się nieunikniona. Jest na to wiele dowodów, że Rada Naczelna Związku Polaków w Niemczech miała pełną świadomość, iż z dojściem Hitlera do władzy nadchodzi nie tylko ciężkie czasy, lecz w perspektywie — nowa światowa wojna.

Pamiętam, jak jesienią trzydziestego trzeciego roku odbyło się w Berlinie posiedzenie Rady Naczelnej Związku Polaków. Po obradach książę dr Bolesław Domański, dr Jan Kaczmarek i Stefan Szczepaniak wezwali Stefana Murka, Jana Łangowskiego oraz mnie i zostało przed nami postawione zadanie tej treści: Dyktatura Hitlera jest faktem. Idą ciężkie czasy, będzie wojna, straszna światowa wojna. W ciągu tych nie wiadomo ilu lat, które nas dzielą od wojny, powinniśmy zebrać wszystkie pamiątki polskości i je uwiecznić w taki sposób, ażeby w przyszłości stanowiły gotowy dokument na konferencję pokojową.

Trzeba było ogromnej dalekowzroczności, żeby o czymś takim myśleć w trzydziestym trzecim roku jesienią. Rozpoczęliśmy natychmiast tę pracę. Nasi studenci nie wiedząc o tym, co właściwie robią, zostali skierowani na dodatkowe zajęcia. W archiwum pruskim przeszukiwali statystyki z 1905 i 1910 roku całego Nadodrza i Prus Wschodnich. W tych gminnych statystykach pruskich była zapisana dokładnie ilość Polaków żyjących w 1905 czy w 1910 roku. Dlaczego te statystyki były tak ogromnie ważne? Dlatego, że Niemcy przed I wojną światową, na początku tego stulecia, kiedy

EDMUND OSMAŃCZYK



przygotowywali program ostatecznej germanizacji Wielkopolski, Nadodrza i Prus Wschodnich, z pruską dokładnością chcieli wiedzieć, gdzie ilu Polaków mają. Wobec powyższego polecieli przeprowadzić bardzo dokładne spisy ludności, nie przypuszczając, że te dane mogą posłużyć kiedyś przeciw Rzeszy niemieckiej. Byli przekonani, że robią to dla siebie na swój wyłączny użytek. Dopiero kiedy etnograficzna mapa Niemiec z 1911 roku, słynna mapa językowa wydana w Berlinie, posłużyła Romanowi Dmowskiemu na konferencji wersalskiej dla udowodnienia etnograficznej granicy Polski, dopiero wtedy zdecydowali się fałszować i zmieniać obraz narodowościowy Rzeszy. Wszystkie statystyki niemieckie sprzed I wojny światowej były rzetelne, po prostu dokładne, a między wojnami już je fałszowano i nie posiadają one żadnej naukowej wartości. I dlatego właśnie uznaliśmy, że trzeba wrócić do źródła, mówiącego prawdę o rzeczywistym zasiedleniu Polakami tych ziem. To było pierwsze. Następnie nasi harcerze w czasie wakacji jeździli po określonych powiatach, chodzili na cmentarze, chodzili do kościołów i szukali po chałupach śladów polskości. Znajdowali je na Kaszubach, na Pomorzu Zachodnim; znaleźli na przykład królewskie nadania cechom. Pamiętam, jak znaleziono dla jednego z cechów rybackich nadanie przez króla Jana Sobieskiego. Jakaż to była radość. I wiele innych rzeczy odnaleziono. Zdecydowaliśmy, że opracujemy to i wydamy w formie encyklopedii i że znajdzie się w niej również nazewnictwo ziem polskich. Chodziło też o ustalenie nazw polskich.

Wyparcie nazewnictwa polskiego z prasy polskiej nastąpiło w bardzo prosty sposób. Mianowicie Akademia Pruska w końcu XIX w. mając swoje wpływy w Petersburgu i Wiedniu narzuciła nazewnictwo niemieckie prasie rosyjskiej i austriackiej, a z kolei to przeszło na prasę pod zaborem rosyjskim i austriackim. Jedynym wyjątkiem była prasa polska pod zaborem pruskim. Pamiętam jak w trzydziestym szóstym bodaj roku przyszedł jakiś młody konsul do Berlina czy do Kolonii i trafił do redakcji „Polaka w Niemczech” pytając, czy my nie mamy jakiegoś słownika tych nazw, bo on jak czyta tę naszą polską prasę „Głos Pogranicza i Kaszub”, czy „Nowiny opolskie” czy nawet „Dziennik Berliński”, to znajduje w nich takie nazwy jak: Słubice, Wałcz,

Człuchów i wtedy nie wie, o jakie to miejscowości chodzi. Pamięć nazw tych ziem istniała i zachowała się tylko w rodzinach polskich żyjących na tych ziemiach i w polskiej prasie tu wychodzącej. To przecież nie był przypadek, że w trzydziestym czwartym roku tutaj w Szczecinie powstał oddział Związku Polaków w Niemczech i tutaj powstała drużyna harcerska. Z całą świadomością w Szczecinie, Wrocławiu, Zielonej Górze wzmagałmy naszą pracę, co zresztą dwóch nauczycieli polskich w Szczecinie przepłaciło życiem. Maksymilian Golisz został ścięty za to, że mówił o tym, iż Szczecin będzie polski. Czy to była jakaś romantyczna wiara, która kazała nam wierzyć, że Szczecin będzie polski? Nie. Byliśmy romantykami w sercu, ale w umysłach realistami. Właśnie tak byliśmy chowani przez starsze pokolenie — w takim realistycznym, bardzo konkretnym myśleniu. Pamiętam, że kiedy analizowaliśmy sytuację polityczną (a robiliśmy to nieraz), oceniając kiedy wojna nadejdzie, to również realistycznie patrzyliśmy na szanse w tej wojnie. Są na to dowody (nie tylko moja pamięć). Oto żył wśród nas wielkiego umysłu Łużyczanin, który z nami współpracował i prowadził czasopismo Związku Mniejszości Narodowych w Niemczech „Kulturwerr”. Nazywał się Jan Skala. To on wielokrotnie powtarzał nam: „Wojna doprowadzi Hitlera do starcia ze Związkiem Radzieckim. Starcie po raz drugi Niemiec z Rosją, tym razem nie z Rosją na glinianych nogach, musi się zakończyć klęską ostateczną Niemiec, a przede wszystkim Prus. Prusy muszą przestać istnieć. Będzie to logiczna konsekwencja. Rosjanie zlikwidują Prusy i wtedy przyznają Polsce ziemie po Odrę i Nysę Łużycką, ponieważ to jest ten najniebezpieczniejszy antysłowiański poligon wylotowy imperializmu niemieckiego”.

To logiczne rozumowanie próbowaliśmy przekazywać również Polakom w kraju. Tym, co się ludzili, że Hitler był Austriakiem z pochodzenia, mówiliśmy wprost: wiercie Niemcom, wiercie, będziecie kamienie gryzli. Takie było łużyckie i polskie na Śląsku przysłowie.

Nadeszły już bowiem lata hitlerowskie. W tych latach broniliśmy się przed groźnym dla całej Europy znakiem hakenkruza — Rodłem, białoczerwonym rodłem. Był to znak znowu bardzo typowy dla naszego myślenia, znak bardzo realistyczny. Był to znak, który miał konkretnie wyrażać określoną rzekę w określonym miejscu Europy. Znak, który nie został wymyślony nad tą rzeką, tylko nad inną rzeką, nad Odrą i wprowadzenie tego znaku nad Odrą przecież coś mówiło. Po raz pierwszy w historii mówiło, że rzeka Odra chce być z Wisłą razem i ta myśl była myślą przewodnią rodła i dlatego zdarzyła się rzecz, którą — myślę — że również Szczecin uczi wraz z całym krajem w dniu 5 sierpnia 1984 roku, w pięćdziesięciolecie zaślubin Rodła z Wisłą.

W Warszawie w sierpniu 1934 roku odbył się II Zjazd Polaków z zagranicy. Przyjechały delegacje ze wszystkich skupisk polonijnych i przyjechała również trzytygodniowa delegacja Polaków spod znaku Rodła, z Nadodrza i Prus Wschodnich. Z białoczerwonymi sztandarami Rodła. Po raz pierwszy w historii stolicy Polski niesione były sztandary mające na swoich białoczerwonych płótnach wypisane nazwy przyszłych województw Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej: Szczecin, Wrocław, Opole, Olsztyn i oto sztandary tych ziem po raz pierwszy pochyliły się przed Wisłą w Warszawie. I tak odbyły się pierwsze zaślubiny Rodła z Wisłą. Pomyślcie: dzie-

się lat przed narodzinami Polski Ludowej! Jakiej trzeba było dalekowzroczności u naszych przywódców, żeby tego rodzaju manifestacje organizować i to w okresie, kiedy robiono wielką buźkę z Hitlerem i nam mówiono, że mamy siedzieć cicho i nie przeszkadzać temu porozumieniu polsko-niemieckiemu. A myśmy w tym czasie manifestowali łączność tych ziem z Wisłą. Była to historyczna chwila.

Za długo by mi było mówić o tych wszystkich dziejach, ale chcę podać dwa przykłady, które potwierdzają moją tezę historyczną, że myśmy nie tylko wierzyli, ale byliśmy przekonani głęboko, iż Polska wróci nad Odrę i Nysę Łużycką z racji politycznych, historycznych i zdrowego rozsądku, jeśli Europa miała być wreszcie pokojową. Oto relacja, którą przeczytałem nie tak dawno, bo przed paroma miesiącami w amerykańskim czasopiśmie polonijnym, wychodzącym w Nowym Jorku. Ukazało się w nich wspomnienie jednego z działaczy Polskiego Związku Zachodniego, o kierowniku naczelnym Związku Polaków w Niemczech — doktorze Janie Kaczmarku. W tym wspomnieniu jest opisane następujące wydarzenie. Jan Kaczmarek był synem górnik, urodzony w Bochum w Westfalii. Jako przedstawiciel młodzieży polskiej z Westfalii był w Polsce po raz pierwszy w 1910 roku na uroczystości odsłonięcia pomnika Grunwaldzkiego w Krakowie i potem czasami przebywał w Polsce w czasie wakacji po dwa, trzy tygodnie. Nigdy w Polsce na stałe nie żył. W czasie wojny znalazł się na emigracji we Francji. I to wspomnienie dotyczy tego okresu. W styczniu czterdziestego roku działacze Związku Zachodniego, którzy się znaleźli na emigracji w Paryżu, otrzymali od generała Sikorskiego zadanie przygotowania materiałów na przyszłą konferencję pokojową, a dotyczących naszych roszczeń, jeśli chodzi o zachodnią granicę Polski. W tym bowiem czasie już zarówno w angielskim Foreign Office, jak w ministerstwie spraw zagranicznych Francji powstawały komórki, przygotowujące materiały i koncepcje na przyszłą konferencję pokojową. Chcieli wcześniej wiedzieć, jak rozwiązać problemy i jakie to problemy narosły. W związku z tym zarówno Francuzi jak i Anglicy zwrócili się do rządu generała Sikorskiego, aby przedstawił swoje plany. Zebrali się więc ci działacze i na tę ważną dyskusję zaprosili Kaczmarka. Kaczmarek słuchał, jak oni się sprzeczali czy granica ma być do Koszalin, czy za Koszalin. Z Zieloną Górą czy bez Zielonej Góry. I tak dalej. Wreszcie kiedy się zapytano Kaczmarka, co on o tym sądzi, to ten Polak, który nigdy w Polsce nie żył, powiedział:

„Chowajcie to sobie, bo to psińca warte. Ja wam pokazę, jaka będzie granica”. I wyciągnął kalendarz niemiecki z mapą, a na tej mapie narysował granice ze Szczecinem po polskiej stronie; granice na Odrze i Nysie Łużyckiej. I powiedział: — „Albo będzie taka granica, albo Polski nie będzie”.

My, którzyśmy znali Niemców, myśmy wiedzieli o tym, że to rozstrzygnięcie, jeśli ono przyjdzie, będzie strasznym rozstrzygnięciem, poniesiemy straszne ofiary, ale ono musi być ostateczne. Nie może być dalej tak, by Europa środkowa ciągle stawała się zarzewiem nowych imperialistycznych wojen.

A teraz drugi przykład: W zeszłym roku Wydawnictwo Literackie w Krakowie wydało pamiętniki jednego z tych profesorów krakowskich, którzy zostali w październiku 1939 roku aresztowani i posłani do Sachsenhausen. Pamiętacie wszyscy tę straszną zbrodni-

nię kulturobójstwa. Autor tej książki „Moja droga do Poczdamu”, profesor doktor Andrzej Bolechowski, był geologiem i nie interesował się wiele polityką. O Polakach spod znaku Rodła nic nie wiedział. Kiedy znalazł się w Sachsenhausen Polacy spod znaku Rodła zapiekowali się nim. I oto on teraz w swej książce opisuje, jak ci nasi działacze zarówno ze Śląska Opolskiego, jak i z Westfalii, Berlina opiekowali się nim i mu pomagali. Ale pisze też, że dla niego najważniejszą rzeczą była nie tylko ta opieka fizyczna nad tym, żeby ratować jego życie, ale przede wszystkim pomoc psychiczna. Zwłaszcza ci ludzie dawali mu wiarę w to, że Hitler zostanie pokonany. Dawali analizę słabości wewnętrznych faszystów. Mówili o potęgę Związku Radzieckiego, o siłę, która uderzy i zgniecie. I mówili o granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, o Szczecinie.

I profesor Andrzej Bolechowski opowiada dalej, jak został zafascynowany wizją granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej, że kiedy wyciągnięto go z obozu — natychmiast w podziemiu krakowskim zgłosił swą gotowość poświęcenia się sprawie powrotu Polski nad Odrę i Nysę Łużycką, i przez trzy lata jeździł po obecnych zachodnich krańcach Polski. Zbierał m. in. dane ekonomiczne, bo chodziło mu o znalezienie uzasadnienia ekonomicznego obecnej naszej granicy. Wciągnął do tej sprawy szereg innych profesorów. Zebrał materiały ze Szczecina, Wrocławia, Zgorzelca. Kiedy władza ludowa pojawiła się w Krakowie, zgłosił się wtedy do pracy, człowiek, który zaczynał wojnę nie wiedząc, co to Polacy spod znaku Rodła. Razem z profesorem Stanisławem Leszczyckim został mianowany przez rząd polski głównym ekspertem ekonomiczno-geograficznym na konferencję poczdamską. I był w Poczdamie, i stąd nazwa książki „Moja droga do Poczdamu”.

Patrząc pod tym kątem zaczyna nam rosnąć w oczach wielkość idei Rodła. Wielkość tego realistycznego znaku, żadnego symbolu, tylko konkretnego znaku Wisły i to po ujście, za co nas zresztą prasa hitlerowska atakowała, że nasze Rodło ma przecież również i ujście, a więc to, co się znajdowało wtedy w rękach niemieckich, bo Gdańsk był przecież pod okupacją niemiecką, mimo że się nazywał Wolny.

Nie dokończyłem jeszcze tej opowieści, co się stało z ideą Rady Naczelnej z 33 roku, z tą encyklopedią — leksykonem. Ukończyliśmy pracę w 38 roku. Mieliśmy maszynopis liczący dwa tysiące kilkaset stron i tysiąc dwieście fotografii. Wszystko to było prowadzone, oczywiście, potajemnie. Powieźliśmy to do Warszawy i uzyskaliśmy zgodę Gebethnera i Wolffa, że to wyda. Ale radość nasza była krótka, bo przyszedł zakaz z ulicy Wierzbowej z Ministerstwa Spraw Zagranicznych z uzasadnieniem, że tego rodzaju wydawnictwo popsuje stosunki polsko-niemieckie. Wtedy ksiądz Domański powiedział: „No, jest tylko jedna nadzieja w Janku Łangowskim, że on to będzie potajemnie drukował w Opolu”. Janek Łangowski ani chwili się nie wahał, choć to przecież było ryzyko ogromne. Powiedział: — „Przecież nic nie szkodzi, jak weźmiemy farby i papier na kredyt”. Wymyślił taki kalendarz techniczny dla rolników na bardzo dobrym papierze. Uzyskał na to zezwolenie, i na podstawie tego zezwolenia zakupił papieru na kredyt, płatne w 41 roku, farby też płatne w 41 roku. Zaczęliśmy potajemnie drukować. Drukowaliśmy ten leksykon polactwa w Niemczech do sierpnia 39 roku. Robiłem jego korektę jeszcze w sierpniu, chociaż już byłem pod obcym nazwiskiem — Eduard Asmański. Doszliśmy tylko do litery — L. Było to duże wydawni-

ctwo — 1200 stron, dwułamowe. No i przyszła wtedy wiadomość hiobowa, że wszystkich aresztowano, a gestapo znalazłszy leksykon, kazało go spalić. Ale jednak dobre duchy nad nami czuwały. Jeden z egzemplarzy, i to na kredowym papierze, przyniósł do swojego domu pod Opolem drukarz Jan Trzeciok. I choć i on poszedł 1 września do obozu koncentracyjnego, wrócił dopiero poprzez Szwecję (bo był ciężko chory) dopiero w 48 roku, to ten egzemplarz przechowała jego matka i Leksykon się znalazł. W 1972 roku Ossolineum wydało fotokopijny druk naszego Leksykonu Polactwa w Niemczech.

Drodzy Przyjaciele! Jesteśmy w Szczecinie, który jest dla mnie, jak to wpisałem do Księgi Miasta Szczecina, najpiękniejszym dowodem powrotu, nie tylko Nadodrza do Polski, ale przede wszystkim zdrowego rozsądku Europy. Bo przecież granica, która została wytyczona w Poczdamie, była wreszcie zwycięstwem zdrowego rozsądku. Byłem w Poczdamie w lipcu 1945 roku i wtedy kiedy przyszła o nowej granicy wiadomość, od razu zostałem zaatakowany przez dziennikarzy brytyjskich, którzy twierdzili, że my sobie nie damy rady, że my nie będziemy w stanie tych ziem zagospodarować. Powiedziałem: — „Wyście Niemcom wiele razy dawali okazję wykorzystania tych ziem dla pokoju. Za każdym razem dawali Europie nową wojnę. Dajcie raz nam Polakom szansę!” I dziś już możemy powiedzieć z dumą: Polacy tu swojej szansy nie zmarnowali.

Drodzy Rodłacy! Dla nas była to wielka radość, że doczekaliśmy się w 1945 roku tego, o czym byliśmy głęboko przekonani, że na tych ziemiach pojawi się żołnierz polski obok żołnierza radzieckiego. Na szczecińskim cmentarzu jest tego szczególnie symbol: po jednej leżą żołnierze polscy, po drugiej żołnierze radzieccy.

Wszystko to ma jakiś sens historyczny. Jakaś wielkość jest w tym wszystkim. O tym trzeba pamiętać. Obecnie trzydzieści już cztery lata są również jakimś historycznym udokumentowaniem tego wszystkiego, co nasi ojcowie nam w głowach zakodowali, po prostu nam przekazali z pokolenia na pokolenie, razem z nazwami tych ziem, razem z mową polską, razem z przekonaniem, że wtedy Polska się rozwinie i będzie miała wielkie możliwości rozwoju, kiedy te dwie naturalne rzeki narodu polskiego — Odra i Nysa — zjednoczą cały swój potencjał gospodarczy.


Jeśli czegoś mi żal, kochani, to tego, żeśmy tak szybko posiwili i już nam nie będzie danym przeżywać tego, co będzie przeżywać to młode pokolenie urodzone już w Polsce Ludowej, a stanowiące już w waszym mieście więcej niż połowę ludności. Oni nie będą zaczynać, tak jak myśmy zaczęli, od zera. Będą zaczynać od fundamentu wzniesionego przez te pokolenia, które zjednoczenie rzeki Wisły i Odry obudowały, uroczyły, utrwaliły. 34 lata to jest ogromny ciąg czasu. Pomyślcie sobie, że okres między wojnami trwał tylko 20 lat, a my tutaj 34 lata utrwalamy nowy kształt Rzeczypospolitej i tworzymy coś więcej niż kraj Polaków — Rzeczpospolitą Polaków: tworzymy wielki trwały fundament pokoju środkowej Europy. To nasz potencjał powoduje, że pokój się umacnia.

Jak śpiewaliśmy w tamtych latach walki:

„Rodło Królewskie mamy!

Jesteśmy Polakami!”

(Powyższy tekst jest zapisem wypowiedzi Edmunda Osmańczyka wygłoszonej 22 kwietnia 1979 w Zamku Książąt Pomorskich na spotkaniu z byłymi działaczami Związku Polaków w Niemczech).



ZBIGNIEW KOCZERGA

ODPOWIEDZIALNOŚĆ

W życiu społecznym bardzo często odwołujemy się do czyjejs odpowiedzialności. Staje się wtedy ona ważna, potrzebna, wyczekiwana. Staje się nie tylko odległym pojęciem moralnym. Jest postawą, wartością bez której trudno się obejść na co dzień. Jej brak komplikuje nam życie. Zagraża naszemu bezpieczeństwu. Nie trudno się więc domyśleć dlaczego postawy odpowiedzialne są tak pożądane. Rzecz więc w tym, by je skutecznie upowszechnić. I temu celowi służyć może zapis dyskusji, która odbyła się w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Szczecinie, tuż po zakończeniu konferencji naukowej na temat problemów odpowiedzialności.

Zbigniew Koczerga: Jeśli nawet tylko niektórzy z nas czują się samotni w tłumie, to i tak nie zmniejsza to rangi problemu, który narasta wraz z rozwojem cywilizacji. Potrzeba zrozumienia bliźniego, potrzeba bliższych kontaktów, poświęcenia, pomocy; potrzeba nieegocentrycznego stosunku do świata i ponoszenia odpowiedzialności za swoje czyny — stają się wartościami tym ważniejszymi, im rzadziej można je spotkać, znaleźć, odszukać w kimś drugim jak i w sobie samym.

Nie wydaje mi się, by ten mój wstęp do rozmowy o odpowiedzialności był pesymistyczny, jakkolwiek mówi o pewnych społecznych schorzeniach, bo przecież brak odpowiedzialności jest chorobą. Chciałbym jednocześnie, by z tej dyskusji, do której zaprosiliśmy prof. dr. hab. Klemensa Szaniawskiego, prof. dr. hab. Michała Hempolińskiego, doc. dr. hab. Ludwika Janiszewskiego, doc. dr. Kazimierza Suszka i dr. Roberta Woźniaka — uczestników zorganizowanej przez Polskie Towarzystwo Filozoficzne, Polskie Towarzystwo Socjologiczne i Dyрекcję Instytutu Nauk Filozoficzno-Społecznych WSP w Szczecinie konferencji naukowej o problemach odpowiedzialności; by z tej dyskusji wyłączyć taką oto tezę: „wiek energii atomowej zabija wiarę w możliwości wpływu na to, co będzie się z nami działo”. Być może jest to prawda, ale dyskusja o odpowiedzialności rozumianej nieco w węższym zakresie, może być dla nas bardziej pożyteczna.

M. Hempoliński: Głównym motywem zorganizowania tej konferencji jest pewna sytuacja społeczna, w jakiej wszyscy się znajdujemy. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że cały szereg barier, jakie ograniczają rozwój społeczny, a nawet indywidualną pomyślność każdego z nas tkwi właśnie w postawach niedostatecznej odpowiedzialności ludzi za słowa i czyny; w niedostatecznym upowszechnieniu odpowiedzialności jako pewnej wartości społecznej. Nie mówię tu o wartości moralnej, lecz o wartości społecznej. Narzuca się konieczność jakiejś racjonalizacji pojęcia odpowiedzialności, spojrzenia na odpowiedzialność z pozycji filozofa, socjologa, przedstawiciela innych dyscyplin nauk społecznych. Niezbędna jest refleksja nad samą kategorią odpowiedzialności, nad postawami odpowiedzialnymi, nad kryteriami oceny ludzi odpowiedzialnych i stąd ta sesja. Chcieliśmy się sami czegoś nauczyć wzajemnie, od siebie.

Zb. Koczerga: Brałem w tej sesji udział jako pilny słuchacz i mogę powiedzieć, że o odpowiedzialności mówiło się w majestacie nauki. A czy wiedzą panowie, z czym kojarzą odpowiedzialność przypadkowo spotkani przechodnie, ludzie powiedzmy, prości, bez naukowego przygotowania?

K. Szaniawski: To może być ciekawe... Jeśli ma pan nagrane te wypowiedzi na taśmie, chętnie posłuchamy.

(uliczna ankieta):

„Niby człowiek powinien wiedzieć, co to jest za pojęcie odpowiedzialności, ale nigdy go nie analizował i nigdy się nad nim nie zastanawiał”.

„Myśląc o odpowiedzialności ludzie myślą o dużych rzeczach, a przecież odpowiedzialność zaczyna się od tych bardzo małych spraw”.

„Odpowiedzialność to stan świadomości. Kim jestem? Jestem człowiekiem i z tego wypływają jakieś konsekwencje, jakieś obowiązki”. „Odpowiedzialność zależna jest od wieku, od wykształcenia, od roli społecznej, od morale. Może też być postawą wobec życia”.

„Albo się jest odpowiedzialnym, albo też nie, i to bez względu na konsekwencje za nieodpowiedzialność. Jeśli ktoś ma odpowiedzialność moralną, to na pewno wywiąże się dobrze z odpowiedzialności fizycznej”.

K. Szaniawski: To bardzo pocieszające i optymistyczne, że nie ma rozdziewu, przepaści; nie ma zasadniczych rozbieżności pomiędzy myśleniem o tych sprawach (niezmiernie doniosłych sprawach), pomiędzy zapytanymi przygodnie na ulicy ludźmi, a tymi, którzy są niejako zobowiązani profesjonalnie do naukowej refleksji. Pochlebiamy sobie, ufajmy, że ta refleksja profesjonalna jest trochę bardziej rozbudowana i trochę systematyczniejsza, ale niemal wszystkie istotne jej elementy są w tych wypowiedziach, które slyszeliśmy. Na przykład ten aspekt indywidualnej odpowiedzialności, to poczucie się do odpowiedzialności, i to, że jest ono społecznie ważne, i to, że każdego człowieka dotyczy; że wszyscy za coś jesteśmy odpowiedzialni. O tym wszystkim mówiliśmy na konferencji. I to bardzo dobrze świadczy o doborze tematu, że został on „trafiony”, że zbieżny on jest z tym, co najwyraźniej nurtuje ludzi skoro tak bez przygotowania potrafią się o nim wyopowiadać.

R. Woźniak: Chciałbym dodać do tego, że odpowiedzialność jako wartość społeczna jest wysoko cenią u nas w Szczecinie przez — jeśli nie ogół — to znaczną część obywateli.

Poparcie dla tej tezy znajduje w wynikach badań socjologicznych, które robiłem ostatnio w stoczni „Warskiego”. Na 22 możliwości, odpowiedzialność społeczna, obywatelska i zawodowa znalazła się na jednym z pierwszych miejsc wśród najważniejszych dla stoczniowców wartości. Oczywiście jest różnica między odpowiedzialnością założoną i odpowiedzialnością rzeczywistą — tą, która pojawia się w pracy, w życiu społecznym. Niestety, tutaj występują pewne rozbieżności. Choć ludzie podkreślają ważność odpowiedzialności i widzą jej potrzebę, często są nieodpowiedzialni.

L. Janiszewski: Wróć jeszcze do wypowiedzi profesora Szaniawskiego w kontekście głosów przygodnych respondentów. Otóż zastanawiający jest pewien wspólny mianownik. Wszyscy bowiem zgodnie twierdzą, że odpowiedzialność to pewna świadomość konieczności odpowiadania za to, co

się robi. Za to, co się robi nie tylko w zakresie wielkich spraw, ale i tych codziennych. Wydaje mi się, że istotne w tych wypowiedziach jest łączenie właśnie odpowiedzialności indywidualnej z odpowiedzialnością społeczną. I to jest ten element godny podkreślenia. Te odpowiedzi przechodniów przylegają do naszych refleksji, do naszych wyników badań. Okazuje się, że sytuacja społeczna jest wspólna i odczucia są jednakowe. W związku z tym widzimy koherentność i zgodność w zasadniczych wątkach naszego myślenia.

Zb. Koczerga: Panie Docencie, czy mógłby Pan przypomnieć dla potrzeb tej rozmowy to, jak Pan rozumie pojęcie odpowiedzialności jako socjolog?

J. Janiszewski: Na użytek powszechny można zaproponować definicję, że odpowiedzialność, zarówno indywidualna jak i społeczna, jest pewną świadomością konieczności odpowiadania za swoje wszystkie czyny i za swoje wszystkie słowa w określonej sytuacji społecznej.

Zb. Koczerga: Pan jako filozof godzi się z taką wykładnią?

K. Szaniawski: Jako filozof jestem profesjonalnie zobowiązany do rozróżnień. Samo postawienie sprawy tak, że jakaś jedna definicja odpowiedzialności miałaby być zadowalająca na wszelkie okoliczności nie wydaje mi się właściwe. Uważam bowiem, że pojęcie odpowiedzialności jest „słowem” semantycznie migotliwym i że z tego musimy zdawać sobie sprawę. To znaczy też, że żadna uczciwa definicja odpowiedzialności nie może być jedna. Muszą być jakieś alternatywne, które wyróżniają poszczególne znaczenia tego słowa. I myślę, że ta sesja zorganizowana przez Wyższą Szkołę Pedagogiczną w Szczecinie pod tym względem spełniła swoją rolę. Wszyscy uprzytomniliśmy sobie różne aspekty odpowiedzialności, czy też różne sensy odpowiedzialności. Natomiast, jeśli już tak próbujemy zbilansować to, o czym się mówiło na sesji, to powiedziałbym coś o pewnym niedostatku, który odczuwałem.

Mianowicie — wracając do punktu wyjścia, a jest nim wypowiedź profesora M. Hempolińskiego

go, który scharakteryzował intencje przyświecające organizatorom tego spotkania — stwierdzamy wszyscy, że coś jest z tą odpowiedzialnością niedobrze. Chcielibyśmy, żeby było lepiej. Ja oczywiście jako filozof zgadzam się z tezą, iż samo już zdanie sobie sprawy z tego czym jest odpowiedzialność w różnych jej aspektach, to jest pewien krok naprzód, ale to za mało. Ja chciałbym, żeby mnie ludzie znający się na rzeczy, pomogli zdać sobie sprawę z czegoś innego jeszcze. Mianowicie z tego, jakie środki należałoby podjąć, żeby było lepiej, żeby sytuacja uległa poprawie. Co pedagogika społeczna ma do powiedzenia w tej materii, socjotechnika?

Zb. Koczerga: Rozumiem, że ten „apel” czy też zawołanie o próbę odpowiedzi, co robić, by było inaczej, kieruje Pan właśnie w stronę pedagoga, w stronę docenta Suszka, który mówił, między innymi, o osobowości pedagoga-naukowca; o tym, że można uczyć odpowiedzialności.

K. Suszek: Oczywiście, że tak. Można tego uczyć. Wydaje mi się, że z punktu widzenia psychologicznego należałoby podkreślić, iż przez odpowiedzialność warto rozumieć, czy można rozumieć (obok innych sposobów rozumienia) gotowość do angażowania się w celu realizowania zadań, jakie wynikają z roli społecznej i gotowość do ponoszenia z tego tytułu ryzyka. To byłaby jedna sprawa. Takie rozumienie odpowiedzialności, jako funkcji postawy, pozwala na wysunięcie szeregu postulatów dotyczących praktycznych działań, rezultatem których może być ukształtowanie osobowości. I wydaje mi się, że poczucie odpowiedzialności to przede wszystkim efekt wychowania w najmłodszych latach życia dziecka, wychowania w rodzinie. Wtedy, gdy dziecko uczy się poczucia odpowiedzialności lub uczy się poczucia braku odpowiedzialności za swoje postępowanie. A zatem możemy chyba powiedzieć, że taką podstawową zasadą, na której opierałoby się kształtowanie postaw odpowiedzialności, jest prawidłowa organizacja życia w szkole, w rodzinie, w całym społeczeństwie tak, aby właśnie jak najrzadziej występowały sytuacje anonimowe, że „nie dowieźli”, że „nie ma”, „nie rzucili” itp. Aby właśnie dziecko i dorastający czło-

wiek dojrzały zdawali sobie zawsze sprawę w jakim stopniu od nich samych zależy to, co się wokół nas dzieje.

Zb. Koczerga: Jeśli pytam o te wzorce to dlatego, że pamiętam też o czym mówił na sesji prof. Klemens Szaniawski. Wspomniał Pan o Januszu Korczaku i Joseph'e Conradzie Korzeniowskim. Przed przyjściem tu do Panów wynotowałem sobie taką krótką wypowiedź Marii Dąbrowskiej: „Z poczucia obowiązku, z odpowiedzialności ludzkiej wobec podjętego zadania i wobec siebie samego Conrad uczynił żywiół, nieomal piątą element świata”.

K. Szaniawski: To jest wspaniały tekst. Dobrze, że Pan go przypomniał. Ja bardzo dawno czytałem to, co Dąbrowska powiedziała o pisarstwie Conrada. Niby wyleciało z pamięci, ale musiało gdzieś być w podświadomości, skoro dzisiaj pośrednio wypłynęło w mojej wypowiedzi.

Zb. Koczerga: Mówiąc o conradowskich bohaterach, zatrzymał się Pan dłużej przy jego autobiograficznym opowiadaniu, przy „Młodości”.

K. Szaniawski: Bo też to jest jeden z moich ukochanych tekstów conradowskich. Myślę, że to jest w ogóle jedno z piękniejszych opowiadań w literaturze światowej.

Pamiętają Panowie tę scenę kiedy Marlow — niby narrator w „Młodości”, ale naprawdę to jest oczywiście Conrad — kiedy opowiada on o swoim pierwszym zetknięciu z tym, co jest istotą żeglarstwa, a w tym żeglarstwie z tym, co jest istotą odpowiedzialności. Kiedy sama walka z przeciwnościami, samo poczucie, że wypełnienie sumienne tego, co do niego należy jest dla Marlowa właśnie istotą życia. To dociera do czytelnika, bo jest mu przekazane w formie niezwykle plastycznej i przejmującej. A wydaje się może, że tam są jakieś takie aż w romantyzm przechodzące, już niepotrzebne gesty. Ale to tylko pozór, że one są niepotrzebne. One człowieka przekształcają, kiedy jest sytuacja krańcowo dramatyczna.

Barka, na której płynął Marlow, jest już skazana na zagładę, utonie. Marynarzom płonie pod stopami ładunek węgla, ale i wtedy ta barka traktowana jest przez za-

łogę jak żywa istota. Starannie zwija się na niej żagle wiedząc przecież, że to nie ma właściwie praktycznego sensu. To właśnie poczucie odpowiedzialności wobec przedmiotu, który tutaj jest personifikowany — Conrad ma do statku zawsze stosunek jak do żywej istoty — skłania żeglarzy do takiej reakcji. Oni traktują swój statek jak żywą, bliską istotę. To nie jest tylko przedmiot. To jest coś więcej nawet niż pływający dom. I jest coś przejmującego w tym wykonywaniu obowiązku do końca wobec tej „istoty” tak, jak wykonuje się do końca obowiązek wobec bliskiej osoby nawet wówczas, kiedy jest ona skazana na zagładę. Gdy umiera.

Uważam, że ten fragment, kiedy Marlow po raz pierwszy, jako ten najmłodszy z dowódców na statku, przejmuje pełną już odpowiedzialność będąc dowódcą małej szalupy, na której wraz z dwoma majtkami dociera do portu przeznaczenia, że ten fragment jest jednym z piękniejszych literackich obrazów właśnie odpowiedzialności. Rodzenia się odpowiedzialności.

L. Janiszewski: Ten i inne literackie przykłady zmuszają nas do pewnej refleksji socjologicznej. Otóż okazuje się, że łatwiej jest odpowiedzialność realizować w społecznościach morskich i sytuacjach dość specyficznych w przeciwieństwie do społeczeństwa lądowego, gdzie ta wartość urzeczywistnia się trudniej. Wydaje mi się, że gdybyśmy dzisiaj przeprowadzili badania porównawcze między wynikami badań, jakie otrzymujemy w społecznościach lądowych (w przedsiębiorstwach lądowych) a morskich, doszlibyśmy pewnie do wniosku, że wiele z tych uogólnień literackich Conrada potwierdza się w rzeczywistości. Tak, to jest chyba jakaś specyfika morza, panie profesorze, i należałoby sobie życzyć, aby te wartości, o których teraz myślimy, upowszechniły się w całym społeczeństwie. Wtedy moglibyśmy powiedzieć, że społeczności morskie wnoszą do kultury lądowej, do społeczeństwa lądowego wartości, które pozostają wzorcami dla wszystkich.

M. Hempoliński: Jeśli można, jeszcze dwa słowa filozofa do tego pięknego przykładu omówionego przez profesora Szaniawskiego.

Czy w zachowaniu tych marynarzy nie przejawia się jakaś bardzo silnie ukazana postawa niezrezygnacji z bycia do końca sobą, z bycia człowiekiem, ze spełnienia podjętych funkcji, zobowiązań? Odpowiedzialność zawsze wiąże się z brakiem rezygnacji, z pewną konsekwencją, z dążeniem do końca, jak tylko to jest możliwe, z wcielaniem w życie tych wartości, które są właśnie ludzkie, które tworzą moją osobowość, istotę człowieczeństwa. Stąd bardzo piękny jest ten fragment z przytoczonych na wstępie naszej rozmowy potocznych wypowiedzi, że być człowiekiem to znaczy być odpowiedzialnym za coś.

L. Janiszewski: Z tym, panie Profesorze, że te właśnie cechy wspinała, że te wartości są najbardziej widocznie wpisane w rolę społeczne zawodu marynarza, zawodu żeglarza...

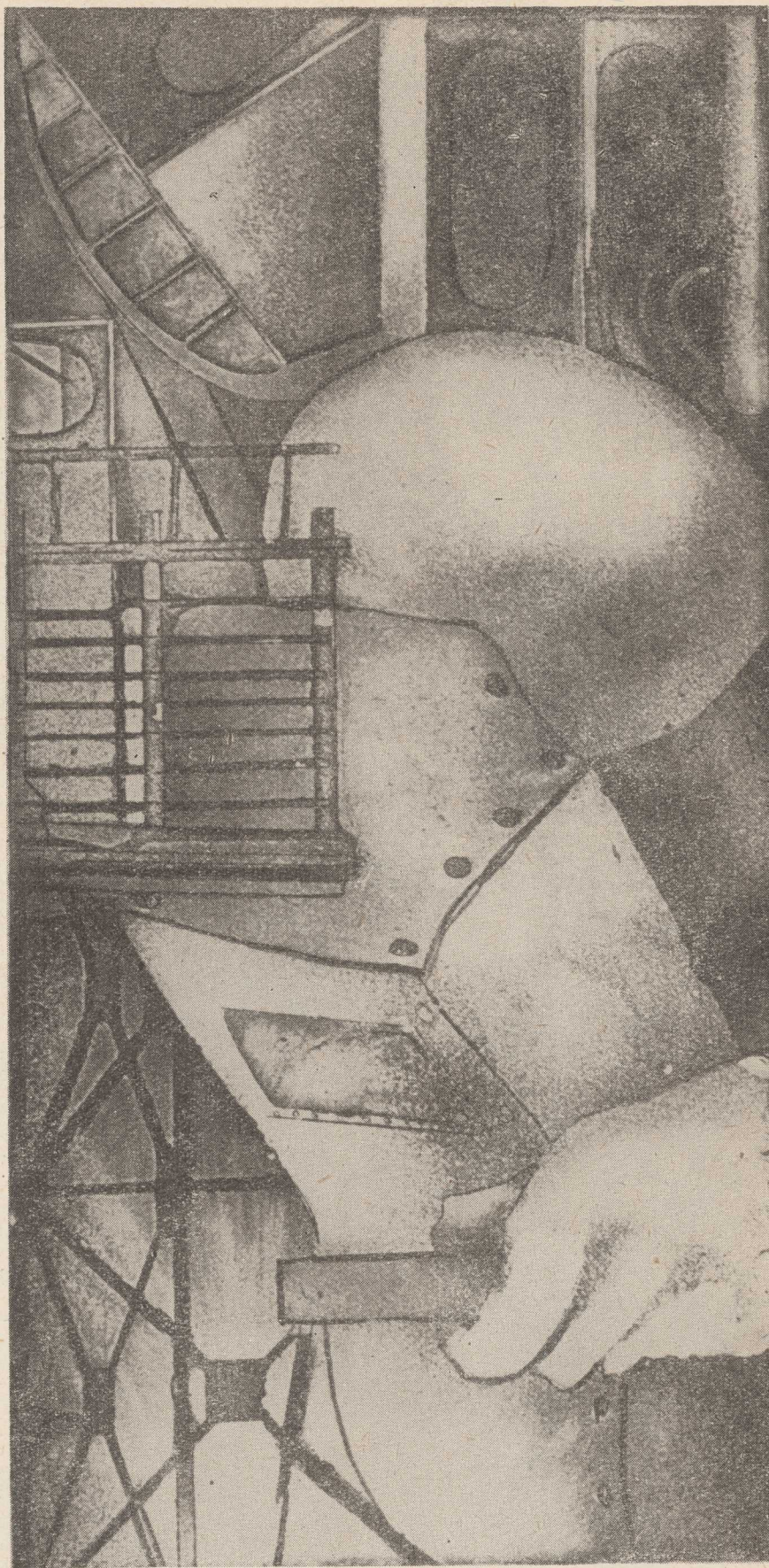
M. Hempoliński: Może szczególnie w tych zawodach, lecz nie wyłącznie.

L. Janiszewski: Są one wypisane i jak gdyby społecznie tutaj „wmontowane”.

M. Hempoliński: Nie ma tam bowiem ucieczki od odpowiedzialności.

L. Janiszewski: Nie ma ucieczki i nie ma możliwości dezercji. Nie ma możliwości zaniechania ze względu na te szczególne sytuacje, których na łodzi nie doświadczamy.

K. Szaniawski: Myślę, Panowie, że to jest wielka szkoda rzeczywiście, że tak często nam się zdarza, iż nie potrafimy dopatrzeć się w tym codziennym, prozaicznym „ładowym” wypełnianiu obowiązków, w robieniu tego, za co jesteśmy w istocie odpowiedzialni — że się nie potrafimy w tym dopatrzeć tej poezji, która tak uderza nas w przykładach, o których przed chwilą mówiliśmy; w tych przypadkach dotyczących ludzi morza. A szkoda. Gdyby ta odpowiedzialność na co dzień, to nieefektywne wykonywanie tego, co się na siebie przyjęło, gdyby to przemawiało do nas tak dobitnie jak choćby te literackie przykłady, gdyby nas nie raziło swoją prozaicznością — może bylibyśmy lepsi pod tym właśnie względem, który dziś był rozważany. Może byśmy byli bardziej odpowiedzialni.



fol. W. Termanowski

KAZIMIERZ KARDASIŃSKI, „Spawacz” — akwetinta

PODGAJE

ALINA GŁOWACKA

Rozklekotaną nysą szczecińskiej telewizji jedziemy w lasy drawskie. Jest druga połowa marca 1979 roku. Siedzący obok kierowcy pułkownik Zbigniew Furgała pilotuje nasz samochód pewnie i bezbłędnie. Uprzedza o każdym zakręcie, każdym wzniesieniu, każdym skrzyżowaniu lepiej niż rzadkie tu znaki drogowe. — Sam byłem zdziwiony — myśli głośno — gdy po raz pierwszy przyjechałem tu z reżyserem Komorowskim i operatorem Wójcikiem, że tak dobrze rozpoznę te strony. Umiąłem w lesie pokazać każdą dróżkę, którą przechodziliśmy. To było na przełomie stycznia i lutego — tak jak wtedy... Dokładnie w tych samych dniach rozpoczęło kręcenie filmu.

— A po raz pierwszy po wojnie jak pan się tu znalazł?

— W 1962 roku odsłanianie pomnik w Podgajach — zostałem zaproszony na tę uroczystość. Było dużo młodzieży, harcerzy, miejscowych kombatanów, żołnierzy — osadników. Bardzo mnie serdecznie przyjął. W 45 roku byłem w randze porucznika. Dziewiętnastoletni porucznik — śmieje się do wspomnień. — Mam dwóch synów — starszy ma 27, młodszy 22 lata. Porównuję moje dziewiętnaście lat z ich młodością, mój stosunek do życia w tym wieku — niebo a ziemia. Ale to dobrze, to dobrze. Trzeba się tylko cieszyć, że ich życie tak nie doświadczyło.

Dojeżdżamy do celu. Jakaś mała wioseczka na południe od Kalisza Pomorskiego. Pełno tu autokarów, samochodów wojskowych, stoją dwa wozy strażackie. Mimo mrozu cała wieś wyległa na dwór i ciasnym pierścieniem otacza krąg, którego punkt centralny stanowi drewniana stodoła poczerniająca od starości.

Przedstawiamy się dwom najważniejszym w tym tłumie osobom: reżyserowi Pawłowi Komorowskiemu i operatorowi Jerzemu Wójcikowi. Dziennikarzy przyjechało sporo. Jest ekipa Polskiej Kroniki Filmowej.

— Zgliszczą będziemy robić pewnie jutro — reżyser zwierza się Bogdanowi Wojtczakowi ze szczecińskiej telewizji — bo na zgliszczach wracamy do czarno-białego filmu. Pożar to jedyna sekwencja kolorowa.

— Stodołę zbudowaliście? — pytam.

— Nie. To stara stodoła.

— Cała rzecz w tym filmie — wyjaśniają mi za chwilę kaskaderzy w białych kombinezonach niemieckich narciarzy — to wybuchy i parę efektów specjalnych. Nie będziemy pani mówili, jak się to robi, bo to nasza tajemnica, ale praca jest dosyć niebezpieczna — jak wszystko co ma związek z pirotechniką. — Ten, co tu idzie — to słynny Ruina. Rozwala wszystko, co mu się nawinie pod rękę. Nas też.

— Macie pełne zaufanie do swego kolegi?

— Inaczej nie kręciłby się bezkarnie wśród nas.

— Kiedy coś się wreszcie zacznie? — niecierpliwi się pan Gienio Ejsmont z naszej szczecińskiej ekipy.

Już polewają napalmem. Za 15 minut będzie płonąła. Napalmem? — dziwi się ktoś. — To może być niebezpieczne.

— Oczywiście — potwierdza reżyser. — Radzę państwu zachować dystans do sprawy.

— Wszystkich, którzy nie pracują, proszę o cofnięcie się! — krzyczy bezskutecznie kierownik planu.

Ja pracuję, nie odstępuję więc reżysera. — O czym panowie robią film? Czy będzie to jeszcze jeden obraz jakiegoś tragicznego epizodu II wojny światowej?

— Na pewno będzie to jeszcze jeden film wojenny. O takich tragicznych epizodach nakręciliśmy dużo i będziemy pewno jeszcze przez wiele lat kręcić. Postanowiliśmy sobie za cel skoncentrować się w filmie głównie na śmierci tych trzydziestu dwóch ludzi spalonych żywcem, wyrwanych z wojska i życia tuż przed zakończeniem wojny. Przecież za dwa miesiące było już po wszystkim. Wydaje nam się, że zbrodnia w Podgajach przerasta sporo wypadków, które zaszły w II wojnie światowej. To coś więcej niż wiele bohaterских czynów czy tragicznych epizodów, jakie się nieraz w filmach ogląda. I trzeba przypomnieć to zdarzenie, które przekracza wszelkie ludzkie normy.

Nie ma czasu na dalszą rozmowę. Plan rozjarza się reflektorami. Reżyser wydaje ostatnie dyspozycje. Podchodzę do stojącego samotnie w pewnym oddaleniu pułkownika Furgały.

— Patrę na te efekty, na reflektory oświetlające stodołę i coś się w pamięci otwiera. Nie sądziłem, że ulegnę takiemu wzruszeniu. Nasz 3 pułk, w tym 4 kompania, podchodzi do wsi Podgaje z przekonaniem, że we wsi nie ma Niemców. Po wyjściu z lasu i zbliżeniu się do wsi — mniej więcej na odległość 200 metrów — zostaliśmy ostrzelani bardzo silnym ogniem z broni maszynowej, moździerzy i armat. Początkowo sądziliśmy, że to może jakaś niemiecka grupa osłonowa. Wkrótce jednak doszliśmy do wniosku, że musi to być większa jednostka, która broni wsi. Nasze zadanie polegało na tym, żeby zająć Podgaje i utrzymać wieś do rana, do chwili podejścia pułku.

Ilu was było?

— Kompania, a więc około 80 ludzi. A Niemców, jak się później okazało, było we wsi ponad 4 tysiące. Mieli oni za zadanie utrzymać wieś przez 2—3 doby do czasu przejścia wszystkich sił niemieckich, które były w styczności z naszymi wojskami przez pas osłaniania. W tym pasie Podgaje były jednym z punktów oporu. Stąd tak uporczywa walka Niemców o utrzymanie wsi. Walka na przedpolu zaczęła się około 17. Dwie godziny później 4 kompania została kompletnie okrążona. Nie mogliśmy cofnąć się do swoich za rzekę Brdę, bo byliśmy silnie ostrzeliwani od strony lasu, ani pójść naprzód, bo rażono nas ogniem od strony wsi. Broniliśmy się tak długo — jak długo mieliśmy amunicję. Potem zostaliśmy bez broni. Musieliśmy poddać się. W czasie walki na przedpolu, która trwała około trzech godzin, zginęło trzydziestu paru żołnierzy, liczę w tym ciężko rannych, których potem dostrzeliwali Niemcy, zabierając nas żywych i lekko rannych do niewoli. Po rozbrojeniu zaprowadzono nas do wsi i osadzono w stodołę, rzeczywiście przypominającej tę z planu filmowego. Około 22 zaczęto kolejno brać żołnierzy na przesłuchanie, Niemcy dopytywali się o rodzaj, siłę liczebną i stan uzbrojenia jednostek, które szły za nami. Żołnierze nie odpowiadali na te pytania. Byli więc bici i kolejno wrzucani na powrót do stodoły. Jeden z ostatnich przesłuchiowanych znał niemiecki. Powrócił do nas z wiadomością, że oficer w randze kapitana wydał rozkaz rozstrzelania jeńców. Wtedy zapadła decyzja, że skoro nie ma innych szans — musimy ratować się ucieczką. Pilnowali nas dwaj wartownicy — od strony podwórza i od strony pola. Tego od strony pola wciągnęliśmy do wewnątrz. Został uduszony. Wtedy przez uchylone drzwi zaczęliśmy wymykać się w pole. Niemcy spostrzegli ucieczkę niemal natychmiast, jak tylko pierwsi uciekinierzy oddalili się na odległość 100, 150 metrów w kierunku lasu. Nie wszyscy zdążyli nawet wybiec ze stodoły. Stodołę szybko okrążono, a za uciekającymi zorganizowano pościg. Gonili nas niemieccy narciarze, strzelając po żołnierzach. Ucieczka była trudna, bo śnieg był bardzo głęboki, taki jak teraz, za kolana. Nasi żołnierze byli utrudzeni całodziennym marszem i wieczorną walką. W efekcie wielu uciekających zastrzelono na polu, do lasu dobiegło nas kilku. Schwytanych Niemcy zamknęli na powrót do stodoły i przypuszczam, że tej samej nocy zostali powiązani drutem kolczastym, jak stwierdzono po wejściu do Podgajów, i spaleni. Mnie udało się dobiec do lasu i schronić pod

gęstymi świerkami. Miałem nadzieję, że rano nasz pułk ruszy do natarcia, przejdzie las i mnie odnajdzie. Tak też się stało. Odnaleźli mnie nieprzytomnego pod świerkami. Otrzymałem pomoc sanitarną i w ten sposób udało mi się uratować. Ocaleli jeszcze dwaj inni żołnierze. Jeden zginął w czasie forsowania Odry pod Siekierkami, drugi w czasie walk o Berlin. Zostałem jednym, jedynym żyjącym świadkiem tych zdarzeń.

Ostra salwa z broni maszynowej przerywa te wspomnienia. Zapalona seria pocisków świetlnych — płonie stodoła. Jęzory ognia z sekundy na sekundę wydłużają się, potężnieją. Poruszona opowiadaniem pułkownika Furgały patrzę w te płomienie ze zgrozą. Obok mnie terkoczą kamery — pstrykają aparaty fotograficzne. Okazja jedyna w swoim rodzaju.

— Jak odniósł się pan do propozycji reżysera, aby pana rolę w tym filmie zagrał pana syn Paweł?

— Z mieszanymi uczuciami — odpowiada pułkownik. Wydawało mi się, że tego nie da się zagrać bez takich doświadczeń w autobiografii, jakie ja mam za sobą. Co prawda syn zna te wypadki z moich opowiadań, bo czasami rozmawiałem z synami o przejściach wojennych, ale to chyba nie to samo. Z drugiej jednak strony daje mi to moralną satysfakcję, że syn niejako „dla potomnych” utrwali moją tragedię.

Młody Furgała powie mi potem: „To jest taka moja prywatna przygoda z filmem. W „cywilu” jestem mechanikiem, pracuję w Kielcach w dużym zakładzie produkcyjnym. Wolę swój normalny zawód.

— Czy można powiedzieć, że pan wzrastał w atmosferze spraw, o których jest mowa w filmie?

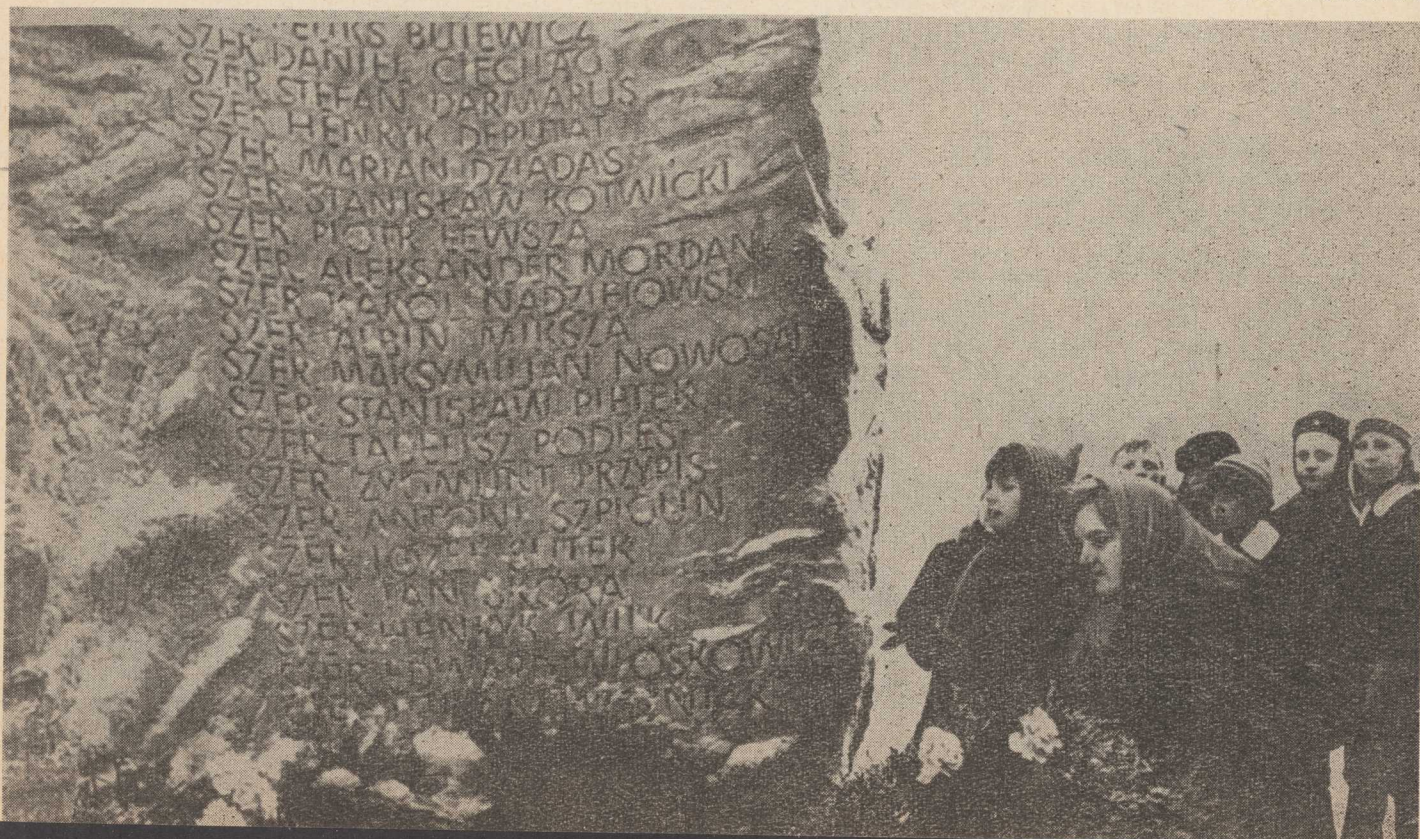
— Chyba nie. W gruncie rzeczy ojciec bardzo niechętnie mówi o tym. Czytałem sporo na ten temat, ale wspomnienia rodzinne były rzadkością. Chyba rozumiem ojca. On to przeżył, to jest w nim, to jest jego. Trudno o tym mówić. Nawet najbliższym.

— A wersja filmowa bardzo różni się od tego, co pan wie o zdarzeniu?

— Raczej tak. Ale przyznam się pani, że wszystko razem trudno mi zrozumieć. Moja wyobraźnia tego nie ogarnia. Ja jestem z innego pokolenia. W czasie kręcenia filmu nie opuszcza mnie świadomość, że mam do czynienia z fikcją, najbardziej „wstrząsające” momenty powstają na moich oczach, są wielokrotnie powtarzane i to wcale nie jest straszne. Mam odtworzyć postać ojca z dni wojny. To chy-

Dzieci ze wsi Podgaje u stóp pomnika upamiętniającego nazwiska 32 żołnierzy polskich wziętych do niewoli, spalonych żywcem przez hitlerowców

Fot. S. Pleśniarowicz



ba nie jest możliwe w ogóle. Zagram go, ale nim nie będę. Moje pokolenie nie spotkało się z taką rzeczywistością. Brak mi doświadczeń niezbędnych do uwierzytelnienia odtworzonej postaci. Tak ja uważam.

Reżyser Komorowski: — Z tą barierą braku doświadczeń spotykamy się na każdym kroku. W naszej ekipie jest najwyżej pięciu, sześciu ludzi, którzy są w stanie tę barierę jakoś przekroczyć. Po prostu pamiętamy wojnę. Natomiast większość ludzi z nami współpracujących, w tym aktorzy, nie mają o tym w ogóle pojęcia. Muszą więc w jakiś sposób nam zawierzyć. Nam nie chodziło o to, żeby młody Furgała zagrał postać swego ojca. Bo to rzeczywiście jest niemożliwe. Nie jest on aktorem, nazywa się Furgała i jest synem autentycznego pułkownika Furgały, któremu udało się wydostać ze stodoły. Zestawienie tych dwóch ludzi, z których jeden jest naszym konsultantem, a drugi występuje przed kamerą — to znaczy coś więcej niż uczestniczyć w tworzeniu filmu. W tym jest po prostu jakiś sygnał historii.

A stodoła płonie. Ogień rozszalał się na dobre. Trzeszcza wysuszone deski. Podsuwamy się wszyscy bliżej, żeby ogrzać się trochę. Na tle ściany ognia fotografują się trzej młodzi żołnierze. To będzie zdjęcie pamiątkowe uwieczniające ich współpracę z Polskim Filmem. Mija właśnie drugi miesiąc pobytu w ekipie filmowej. Są w służbie czynnej, ale przyjechali z sześćdziesięcioosobową grupą odkomenderowani z pułku do prac specjalnych na rzecz gospodarki narodowej. Duża przygoda. Choć wcale niełatwa. Nieraz przez parę godzin trzeba leżeć na śniegu dla jednego krótkiego ujęcia. Ale będzie zadowolenie, jak zobaczy się własną twarz na ekranie. Ta grupa w filmie stanowi obsługę rusznicy. Wszyscy zginą na ekranie.

— Wylali na nas farbę, krew się leje, masakra zupełna od wybuchu jednej petardy — śmieją się. — Rodzice i dziewczyny przeżyją szok, jak nas zobaczą martwych, ale za to jak się ucieszą, że jednak żyjemy.

Pod zdjęciem pamiątkowym będą figurowały nazwiska: Jerzy Brawek, Piotr Pałka, Grzegorz Banasiński.

Wiatr przybliżył teraz ogień w naszą stronę. Musimy się cofnąć.

— Ciekaw jestem jak oni w filmie pokażą głosy palonych ludzi — zastanawia się pułkownik. — Czy to się uda odtworzyć. Mnie już przy tym nie było. W tym czasie ja już byłem w lesie.

Odpowiedź na te pytania znajdujemy następnego dnia w Podgajach, w tamtejszej Izbie Pamięci Narodowej. Opiekunka Izby, pani Bronisława Szrederowa, pokazuje nam wyjątkowy dokument — wpis do Księgi Pamiątkowej. Henryk Dwornik mieszkaniec Raciborza, jako 14-letni chłopak wywieziony został na roboty przymusowe do Podgajów. Jest kierownicą, czasami przyjeżdża do Podgajów. Napisał w Księdze Pamiątkowej:

„To było straszne, gdy łapano tych żołnierzy, którzy chcieli koniecznie dostać się do swoich. Schwytanych wiązano po trzech drutem kolczastym. Bito i katowano. Potem zamknięto do stodoły. Przypominam sobie głosy Niemców wołających o benzynę. Siedziałem wtedy jeszcze z jakimś chłopakami w piwnicy. Jeden z nas, odważniejszy, wyjrzał na chwilę przez okienko i zawołał: palą naszych. Zrobiło się jasno od rakiet i ogni, jakie płonęły nad Podgajami. Były to straszne ognie, bo paliły ludzkie, żywe istoty, młodych ludzi, których głosy jeszcze teraz, gdy piszę to wspomnienie, słyszę jak wołają: zastrzelcie nas, jesteście żołnierzami!”

Fragment ten nagrany głosem Bronisławy Szrederowej odtwarzam potem w hotelu, w Kaliszu Pomorskim, reżyserowi Pawłowi Komorowskiemu i operatorowi Jerzemu Wójcikowi. Nie znali go. Robi duże wrażenie.

— Główna trudność tego filmu, tak mnie się wydaje — podejmuję przerwana na planie rozmowę — polega na tym, że trzeba pokazać to, co było w ludziach. Ich stany emocjonalne, desperację, strach, rozpacz...

— To wszystko prawda — mówi Jerzy Wójcik, który razem z Pawłem Komorowskim jest autorem scenariusza. — Tylko czy to będzie miało taki wyraz, o którym pani mówi, zobaczymy dopiero na końcu. Sam proces zdjęciowy to jest zaledwie jedna faza pracy nad filmem i za wcześnie mówić o jakiegokolwiek formie już dokonanej. Mamy pewne zamierzenia, przedyskutowaliśmy wiele spraw, jesteśmy w trakcie pracy i wszystko to, co myślimy o formie filmu,

jawi nam się właśnie w dyskusjach i w tych momentach filmu, które są szczególnie dotkliwe. Dała nam pani przed chwilą przesłuchać ten list o żołnierzach, którzy krzyczeli: zastrzelcie nas. To są momenty, które bardzo nas inspirują i takich momentów w dotychczasowej pracy było wiele, ale jak to będzie naprawdę — o tym mówić za wcześnie. Jest jeszcze cały okres udźwiękowienia i montażu i dopiero po tym wszystkim można mówić czy się osiągnęło to, o czym się marzyło i myślało, czy nie. Teraz jesteśmy jeszcze w trakcie pracy, w środku. Praca dokumentalisty radiowego nauczyła mnie pokory wobec faktów.

— Po spotkaniu z pułkownikiem Furgałą wydaje mi się, że trudno o coś bardziej wstrząsającego niż sucha, rzeczowa relacja człowieka, który coś naprawdę przeżył. Jak to jest w waszej pracy? Czy panowie uważacie, że artysta zawsze jest w stanie zmierzyć się z prawdą?

— To jest bardzo istotne, o czym pani mówi — odpowiada Jerzy Wójcik. — Tak się jednak złożyło, że reżyser Paweł Komorowski ma w sobie cechy dosyć rzadko spotykane w naszej kinematografii: umiejętność pokazania portretu zbiorowego, z wielkim taktem i skromnością w stosunku do ludzi, których w tym portrecie pokazują. No i, mogą tak to chyba powiedzieć, z dużą dyscypliną intelektualną w sposobie interpretowania tych bohaterów. A w tym temacie to są chyba najważniejsze sprawy.

Paweł Komorowski: — Jest to bardzo skomplikowane szczególnie z punktu widzenia dokumentu i tego, co pani robi. My na przykład kategorycznie nie nazwiemy filmu: „Podgaje”. Będzie się nazywał „Żołnierze”. Nie możemy brać odpowiedzialności za życiorysy tych ludzi, którzy spłoneli. Raz, że ich nie znamy, a dwa — chyba nie o to chodzi. Chcemy opowiedzieć o epizodzie, który ma pokrycie historyczne, który się zdarzył. I to pozwala nam na pokazanie tego w ogóle. Staramy się ten epizod odtworzyć możliwie wiernie w zarysach, które są sprawdzone w zapisach, w relacjach ludzi, którzy tutaj byli.

Pani Bronisława Szrederowa mieszka w Podgajach od 29 lat. W Izbie Pamięci, do której przyjechaliśmy wspólnie z pułkownikiem Furgałą, długo w twarzy mego bohatera szuka podobieństwa z fotografią dziesięcioletniego porucznika Furgały wiszącą na jednej ze ścian. — Trochę pan się zmienił, ale jest podobieństwo rysów. Tak mi przyjemnie POZNAC PANA. Mój mąż, który przez wiele lat był przewodnikiem tu w Podgajach, bardzo chciał kiedyś spotkać się z panem. Niestety, w czerwcu minęły trzy lata od jego śmierci. Mąż był też żołnierzem, walczył w 39 roku i historia II wojny to była jego pasja. Przejęłam teraz po nim tę Izbę.

— Czy istniały jeszcze zgłiszczą stodoły — w momencie przyjazdu państwa do Podgajów? — pytam.

— Tak. Pamiętam, że przyjechała tu cała ekipa badająca to, co zostało, mieli takie urny, pobierali prochy, które następnie zostały pochowane na Cmentarzu Wojskowym w Drawsku Pomorskim. Niewiele pamiątek pozostało po spalonych. Krzyżyk z fragmentem różańca, klamra od pasa wojskowego, jakiś guzik — to chyba wszystko.

— Jak się ułożyło pana dalsze życie — pytam pułkownika Furgałę.

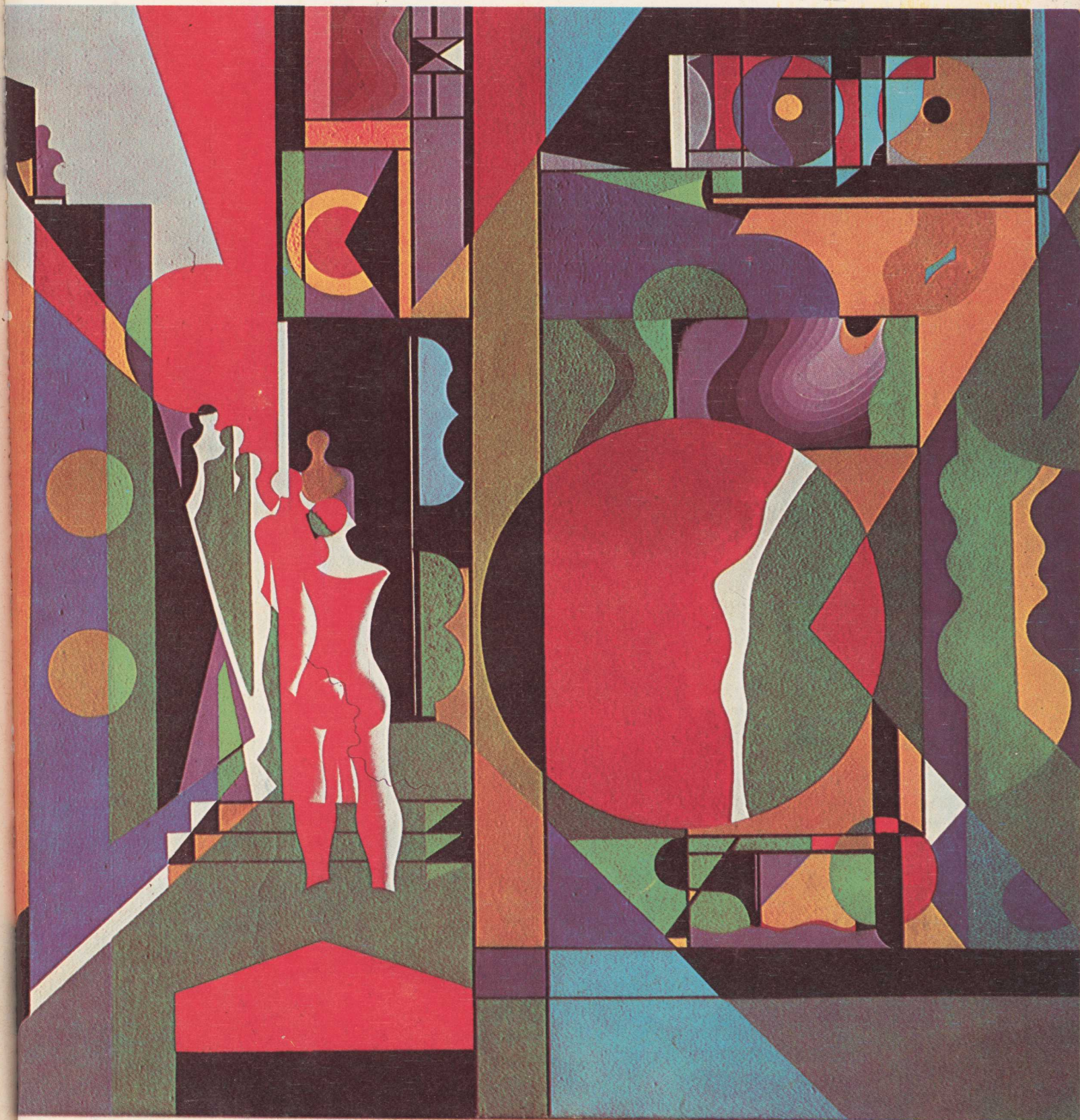
— Po zdobyciu Podgajów jako żołnierz trzeciego pułku brałem udział w forsowaniu Odry, miałem też szczęście brać udział w walkach o Berlin, niestety kilkanaście dni przed zakończeniem wojny zostałem ciężko ranny w obie nogi i triumf zwycięstwa obchodziłem w szpitalu. Po wojnie walczyłem z bandami na Białostocczyźnie, po skończonej szkole w 46 roku zostałem skierowany do Wojsk Ochrony Pogranicza, gdzie pełniłem służbę ponad dwadzieścia lat. Po odejściu z WOP służyłem w kieleckim garnizonie, a po przejściu na emeryturę, na skutek złego stanu zdrowia, pracuję w Politechnice Świętokrzyskiej jako wykładowca historii nauk społecznych. Mam żonę, dwóch synów. Starszy, którego pani poznała, jest po studiach inżynierskich na Politechnice Śląskiej, młodszy kończy studia weterynaryjne w Akademii Rolniczej w Lublinie.

— Obserwując pana pomyślałam sobie, że po tej ziemi tu na Wale Pomorskim stąpa pan jak po wielkim cmentarzystku.

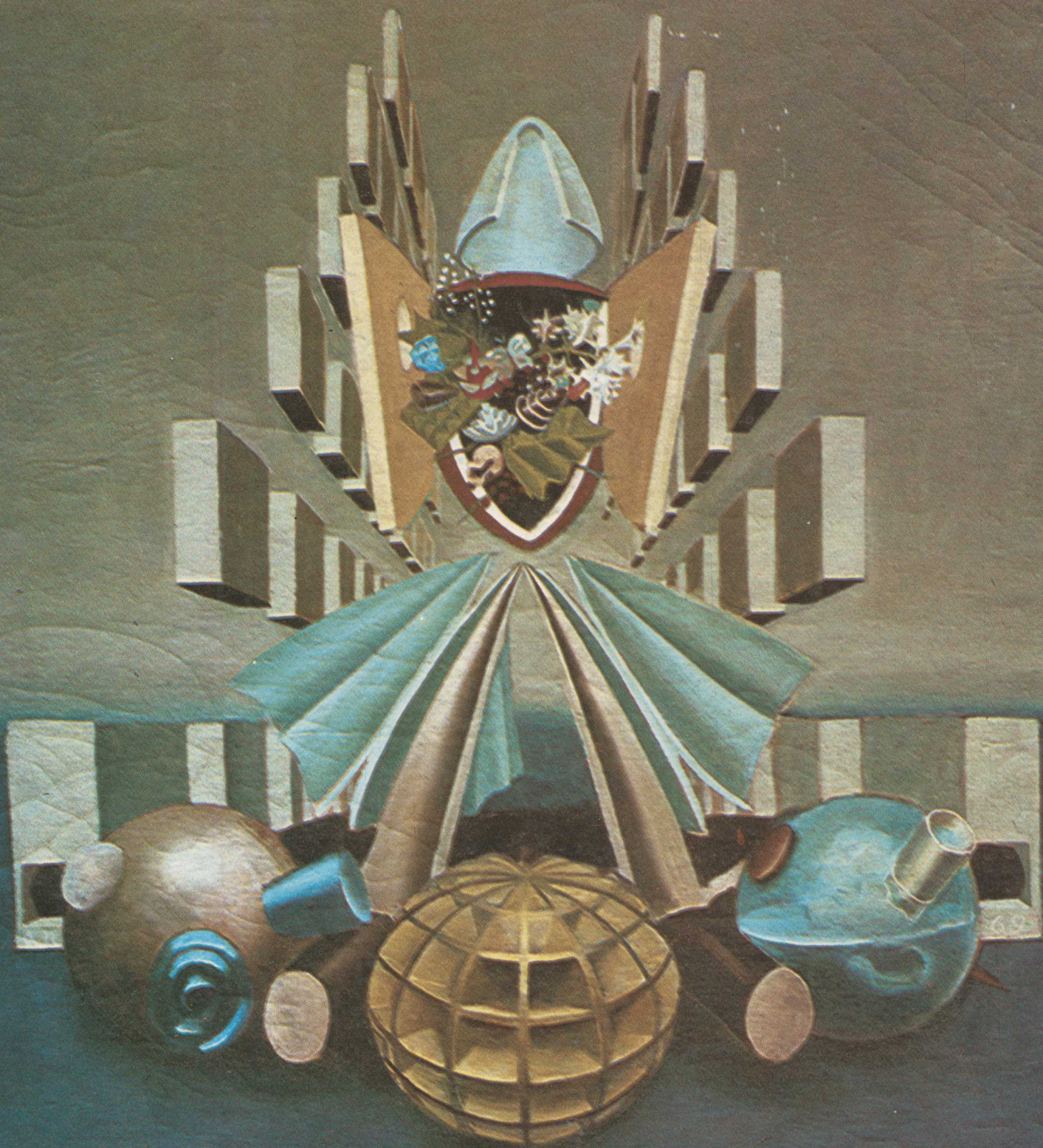
— Tak. I przychodzi wtedy do głowy refleksja, że mógłbym być każdym z tych poległych. I tylko przypadek, szczęśliwy los zdarzył, że udało mi się uciec z miejsca tragedii. Może dlatego noszę w sobie moralny nakaz, żeby przy każdej sposobności opowiadać, zwłaszcza młodzieży, o tym, co zdarzyło się w Podgajach. Chcę przynajmniej w taki sposób oddać cześć moim poległym kolegom.

LASZLO OVARI, „Ulica” — olej. Własność Muzeum Narodowego w Szczecinie. Praca eksponowana na IV Prezentacji Malarzy Krajów Socjalistycznych w 1971 r.

fol. W. Termanowski



fot. W. Termanowski



GŁOS W DYSKUSJI NAD POETYKĄ RADIOWEGO REPORTAŻU LITERACKIEGO

Znawcy przedmiotu mówiąc o historii reportażu, jego początków szukają w starożytności i przypisują miano „reporter” Cezarowi, Pliniuszowi lub Trajanowi. Inni pierwszymi reporterami nazywają kupców i żeglarzy epoki wielkich odkryć geograficznych czy też podróżników przemierzających wcześniej monsunowe trasy z Ibn Batutą i Markiem Polo na czele. Jeszcze inni twierdzą, że reportaż narodził się wraz z korespondentami wojennymi. Właśnie w czasie wojen krymskich, na łamach „Times’a”, w drukowanych tam relacjach, po raz pierwszy pojawiło się słowo „reporter”. W języku angielskim znaczy ono tyle co: „wręczać, oddać, objaśniać”. I od tej chwili sprawozdania i relacje z ważnych wydarzeń nazywa się reportażami. Z czasem, poszerzając zakres swych zainteresowań stał się reportaż najtrudniejszym, a zarazem najważniejszym gatunkiem dziennikarskiej twórczości. Dziś trudno wyobrazić sobie gazetę czy program radiowy bez reportażu. Obok ogromnego nim zainteresowania twórców obserwować możemy także dużą popularność reportażu wśród czytelników czy widzów. I trudno się dziwić, bo przecież jest to jedna z najbardziej osobistych i intymnych form przekazu. Ta popularność i społeczne zapotrzebowanie na reportaż upoważniły go do penetrowania najbardziej intymnych sfer naszego życia. „Reportaż (...) to skalpel, którym można przeprowadzić umiejętne cięcie przez wszystkie słoje społeczeństwa i pozostawić odkryty teren dalszej literackiej eksploracji” — pisał A. Mencwel („Metafice reportażu”, („Współczesność”, 1961, nr 16).

Reportażysty nie lubią klasyfikacji i podziałów, ale w praktyce stosuje się podział reportażu na: literacki i nieliteracki (publicystyczny). Wyznaczanie ścisłej granicy między jednym a drugim jest niezwykle trudną sprawą.

„Reportaż publicystyczny — pisze K. Iglicka-Goldbergowa — charakteryzuje się przede wszystkim zapisem faktów, które zaobserwował reporter, podjęciem problemu, który reportera zafascynował. Reportaż publicystyczny ma więc za temat, niejako za bohatera — sprawę, zagadnienie, nie zaś człowieka. Reportaż literacki na-

tomiast „wychodzi” właśnie od człowieka, od jednostki. Problemy, fakty, zdarzenia, są w nim tłem do narysowania losów tego człowieka. Nie tylko jednak tłem. Często poprzez obraz losów jednostki reporter atakuje sprawy ogólne — podstawowe dla naszej współczesności. Tym samym, reportaż jest pogłębiony psychologicznie, a równocześnie mniej syntetyczny, mniej konkretny i sprawdzalny”. („Życie Literackie”, 1964, nr 54).

By zakończyć te wstępne uwagi, przytoczę jeszcze jedną z wielu definicji radiowego reportażu, sformułowaną przez Jacka Stworę: „Reportaż radiowy to taki utwór, który został stworzony świadomie i wyłącznie dla radia, przy użyciu dostępnych tylko dla radia środków; stosując taką kompozycję pomocy dźwiękowych, które same przez się emocjonalnie pobudzają słuchacza zmuszając go do myślenia, wywołując wrażenia intelektualne. Reporter radiowy zachowując podstawowe kanony reportażu: autentyczność opisywanego miejsca, zdarzeń i ludzi — przynosi odbiorcy nieco informacji, lecz działa na słuchacza również emocjonalnie, a więc tymi samymi środkami, co każde inne dzieło sztuki”¹.

Uwagi na temat poetyki radiowego reportażu literackiego muszę rozpocząć od kilku „nie”. A więc nie mamy, jak dotąd, całościowego, rzetelnego i autorytatywnego opracowania jakiegokolwiek gatunku radiowej twórczości dziennikarskiej. Nie mamy warsztatu badawczego, terminologii i... chęci, by te sfery naszej działalności systematyzować, badać i opisywać. Nie istnieje też, nawet przy uniwersytetach posiadających wydziały dziennikarstwa, placówka z prawdziwego zdarzenia badająca radiową twórczość dziennikarską. Ale choćby tylko na podstawie sporadycznie drukowanych lub wypowiedzianych uwag na temat radiowego reportażu literackiego można stwierdzić, że jednak są pewne konstytutywne cechy tego gatunku, które dają się wyłowić.

¹ Reportaże, Materiały z seminarium reportażyistów, Warszawa 1967, s. 38.

Z własnego doświadczenia, a także na podstawie wy-
ników dotychczasowych refleksji teoretycznych na temat
radiowego reportażu literackiego, mogę stwierdzić, że do
interesujących spostrzeżeń dojdziemy posługując się przy
badaniu tego gatunku aparatem badawczym pozostają-
cym na usługach literatury.

Zacznę od świata przedstawionego. Najogólniej mó-
wiąc, światem przedstawionym, tak w dziele literackim,
jak i w radiowym reportażu literackim, będzie cało-
kształt przedstawionych spraw, problemów, sytuacji,
przeżyć ludzkich i odczuć. Będzie to „rzeczywistość na-
kreślona mikrofonem” oraz kompleksem zabiegów se-
lekcyjnych i montażowych; rzeczywistość, która zainte-
resowała reportera, i o której chciał on opowiedzieć
słuchaczom. W przypadku radiowego reportażu literac-
kiego świat przedstawiony jest bardzo plastyczny, wielo-
płaszczyznowy, a nade wszystko autentyczny, co w
reportażu literackim, jak wielu znawców przedmiotu
podkreśla, jest najcenniejsze. Wprowadziłbym tu pewną
modyfikację: zamiast słowa „autentyczny” proponuję
„prawie-autentyczny”. W radiowym reportażu literackim,
a także i publicystycznym, słuchamy „prawie autentycz-
nych” głosów, wyczuwamy „prawie autentyczną” atmos-
ferę wydarzeń, tworzymy charakterystyki „prawie au-
tentyczne” bohaterów reportażu, itd. (szerzej zajmę się
tym problemem przy okazji fikcji radiowego reportażu
literackiego). Godzi się jednak zaznaczyć w tym miejscu,
że w radiu pióro najlepszego nawet publicysty czy re-
portera nie jest w stanie oddać specyfiki wydarzenia
bądź ludzkich losów tak, jak może uczynić to reportaż,
w którym bohater opowiada sam o swoim życiu, a
opowieści tej towarzyszy określone tło, zaś narracja wzbo-
gacana jest np. drzeniem głosu, uśmiechem, wahaniami,
itp. Wyobraźmy sobie — idąc dalej w naszych rozwa-
żaniach — opowieść wytrawnego myśliwego polującego
od lat na słoniu („Śmierć słonia” W. Zadrowskiego) za-
rejestrowaną w sterylnej ciszy radiowego studia, pozba-
wioną całego przebogatego tła dźwiękowego, jakie twó-
rzą odgłosy afrykańskiego zmierzchu, odgłosy zwierząt
i owadów... Bez wątplenia taka relacja byłaby urzędni-
czym zapisem: „byliśmy, strzelaliśmy, biegaliśmy, nasłu-
chiwałem”. I nic więcej. Mogę zaręczyć, że po kilku mi-
nutach takiego sterylnego reportażu każdy wyłączyłby
radioodbiornik. Inny przykład to reportaż D. Sidorskie-
go i A. Wielowiejskiego „Droga na Cwilin”. Eliminując
całe tło dźwiękowe tego reportażu o wyprawie góral-
skiej rodziny po siano otrzymalibyśmy rzecz pozbawio-
ną... sensu, zapis stworzony prawie na zasadach poety-
ki dadaizmu.

Spośród składników świata przedstawionego w „lite-
racki” sposób możemy też mówić o akcji i fabule ra-
diowego reportażu literackiego. Każde bowiem z jego
zdarzeń pozostaje w ścisłym związku z innymi. I tak
jak w przypadku dzieła literackiego, tak i w radiowym
reportażu literackim poszczególne składniki fabuły są po-
rządkowane według zasady przyczyny i skutku, zasady
chronologicznej lub teleologicznej. W praktyce, najczę-
ściej spotkamy się z trzecią zasadą, albowiem reporta-
żysta zanim przystąpi do zbierania nagrań wie, jaką te-
żę będzie chciał dokumentować, jakie prawdy przekazać
słuchaczom, — jednym słowem — stosuje uczniowską
zasadę: „co autor chciał przez swoje dzieło powiedzieć...”

Podobnie jak w dziele literackim tak i w radiowym
reportażu literackim spotkamy fabułę jedno- i wielo-
wątkową; występuje tu także przed- i poakcja.

Kolejna sprawa. Wiele niepożumień wywołuje kwe-
stia prawa radiowego reportażu literackiego do fikcji.
W „Słowniku terminów literackich” czytamy: „Fikcja
literacka (...) właściwość świata przedstawionego dzieła
polegająca na tym, że jest on tworem „wymyślonym”
przez autora, nie dającym się weryfikować przez zesta-
wienie z rzeczywistością zewnętrzną wobec dzieła...” Czy
właściwość taką posiada radiowy reportaż literacki? Są-
dzę, że w dużo większym stopniu, aniżeli nam się to wy-
daje. Proponuję następujący tok myślenia: mówi się, że
świat przedstawiony dzieła literackiego jest porównywal-
ny tylko z samym sobą, zapominając o tym, że do jego
stworzenia przyczyniło się całe dotychczasowe życiowe
doświadczenie autora. Radiowy reportaż literacki został
stworzony również przy pomocy podobnego doświadcze-
nia reportażyisty, ale jego świat przedstawiony daje się
umownie porównać z fragmentami rzeczywistości zew-
nętrznej zaistniałej w konkretnym „tu i teraz”. Na przy-
kład świat przedstawiony reportażu „Śmierć słonia” da-
je się porównać z fragmentami kilkudziesięciogodzinnego
polowania na słonia, w którym uczestniczył reporter.
Odpowiedniki tych fragmentów drogą odpowiednich za-
biegów montażowych i selekcyjnych złożyły się na okreś-
loną całość, logiczną i rządzącą się swoimi prawami.
Najwięcej kłopotu sprawia nam tu słowo „wymyślony”.
Właściwie, co należy przez nie rozumieć? Wymyślać —
ot, tyle co tworzyć nową wartość, której jeszcze nie było.
Bałbym się słowa tego użyć nawet w odniesieniu do
science fiction prezentującej np. mieszkańców odległych
galaktyk. Zawsze bowiem te wymyślone twory mają w
sobie „coś ludzkiego” (głos, kształt, motywy postępowania,
uczucia, itp.). Są oni zatem wymyślaniani na podsta-
wie określonych doświadczeń i wszystkiego tego, co wie-
my o sobie. W przypadku dzieła literackiego twórca ma
możliwość całkowicie dowolnego kreowania postaci, fak-
tów, zdarzeń i ich przebiegu. Natomiast reportażyista ra-
diowy ograniczony jest w tym „manipulowaniu” ma-
teriałem nagrany na taśmie magnetofonowej. Zatem
na gruncie reportażu „tworzenie”, „wymyślanie” nowych
postaci i zdarzeń odbywa się na drodze montażu frag-
mentów rzeczywistości sprawdzalnej, ingerowania w ich
naturalny rytm, atmosferę, sposób mówienia bohaterów,
ich słownik, szybkość mówienia (można przecież z oso-
by, np. jąkającej się, „zmontować” oratora).

Do uwag powyższych należy dodać ogromną ilość za-
biegów kompozycyjnych, indywidualnych dla danego re-
portażu. Posłużę się przykładem, który często stosowałem
z ciekawymi rezultatami. Otóż nagrywając np. w róż-
nych miejscach, różnych ludzi — w znacznych nawet od-
stępach czasu — można drogą montażu „jak gdyby” spot-
kać wszystkich rozmówców w jednym miejscu, dysku-
tujących na dany temat.

Modyfikując zatem znaczenie podanego w definicji fik-
cji słowa „wymyślony” i interpretując je jako np. „ulo-
żony niekoniecznie na podstawie ciągu rzeczywistych
zdarzeń” możemy dojść do wniosku, że rzeczywistość
przedstawiona radiowego reportażu literackiego ma wiele
wspólnego z literacką, jest najczęściej dwudziestominu-
towym zapisem o wiele dłuższego i głębszego reporter-
skiego doświadczenia.

Doświadczenie to w dużej mierze bywa inspirowane, kontrolowane, modyfikowane przez reportera — narratora chociażby tylko poprzez takie, a nie inne pytanie, zadane w ten czy inny sposób, w tej lub innej chwili. Słowem, radiowy reportaż literacki charakteryzuje się może nie tyle „wymyślonym”, co „ustalonym” przez reportażyście porządkiem zdarzeń, zespołem cech bohatera, na które chce on zwrócić uwagę.

Mówiąc o fikcji zasygnalizowałem kolejną, ważną dla poetyki radiowego reportażu literackiego kwestię. Chodzi o kategorie: bohater, narrator, autor. Nie będę przytaczał, jak kategorie te są rozumiane przez badaczy literatury, ale od razu zaprezentuję kilka uwag w odniesieniu do radiowego reportażu literackiego. Już w szkole podstawowej tłumaczy się młodemu odbiorcy dzieła literackiego, że nie należy mówić: „Autor w czytance mówi nam o...” Słowo „autor” — nauczyciel z wielkim trudem zamienia na narrator. W przypadku radiowego reportażu literackiego skłonni jesteśmy mówić tylko o autorze, bo w czasie słuchania reportażu, w rozmowach z jego bohaterami słyszymy głos autora-reportażyście przedstawionego przez spikera w zapowiedzi początkowej. Wystarczy tylko wyzwolić się z sugestii narzucanych przez „rzeczywistość” przedstawianych spraw i „tożsamość” głosów „narratora i reportażyście”, by dojść do wniosku, że reportaż literacki jest dziełem, którego świat przedstawiony wyłania się z opowieści narratora. Tak jak w dziele literackim jest on integralnym elementem materii reportażu, ukazującym się wraz z rozwojem wypadków bądź odtwarzającym ich przebieg przy pomocy środków radiowych.

Tworząc poetykę radiowego reportażu literackiego, problemów i zagadnień takich jak te, o których wyżej wspomniałem, omówić trzeba wiele. Proponuję, na zakończenie, kilka uwag na temat coraz modniejszego zjawiska jakim jest „spisywanie” reportażu radiowych. Moda ta, a może raczej potrzeba, wynika z ulotności przekazu radiowego.

Jest rzeczą oczywistą, że nie wszystkie reportaże można „spisać” w sposób wiernie oddający ich specyfikę; stosowanie wyczerpujących objaśnień i didaskaliów często pozornie tylko oddaje „radiowość” reportażu.

Najprościej „spisuje” się reportaż-monolog, portret; najtrudniej — reportaż o dynamicznym przebiegu zdarzeń. Ale sam zapis to pierwsza i nie tak istotna kwestia. Problemy zaczynają się wówczas, kiedy chcemy oddać wspomnianą „radiowość” reportażu, poinformować czytelnika, że w czasie rozmowy reportera z bohaterem reportażu za oknami padał deszcz, w pokoju słychać było „tykanie” zegara przerywane kurantem i że przez cały czas rozmowy bohater reportażu co chwilę brał do ręki filiżankę z kawą... Jeśli na początku „zapisu” umieścimy informację, że pada deszcz, to fakt ten praktycznie rzecz biorąc jest bez znaczenia dla lektury reportażu. Co innego, jeśli efekt deszczu towarzyszysz nam przez cały czas słuchania (czytania) opowieści. Jeżeli „zapis” będziemy co jakiś czas przerywali przypominając czytelnikowi, że za oknem mieszkania bohatera pada deszcz, to zabieg ten będzie pretensjonalny i tylko formalny. W drukowanym na łamach „Kontrastów” reportażu „Śmierć słońca” narracja myśliwego co jakiś czas jest przerywana stwierdzeniem: „po chwili”. Takich wtęgotów

w tym zapisie naliczyłem dwadzieścia sześć. Czytelnik nie wie jednak, co dzieje się wokół myśliwego w tych pauzach, jak długo one trwają, itp. W wersji dźwiękowej sprawa przedstawia się zgoła inaczej. Jeżeli są już jakieś pauzy, to mają one ogromne znaczenie dla całości materii reportażu, wzbogacone o efekty wytwarzają nastrój, atmosferę.

Efekty te mają ogromne znaczenie także ze względu na kształtowanie się narracji. Inaczej bowiem opowiadałby o polowaniu bohater „Śmierci słońca” na plaży, w upalne popołudnie, a inaczej w przedziale kolejki podmiejskiej.

Pozostajmy jeszcze przez chwilę przy wspomnianym reportażu i przyjrzyjmy się jego „zapisowi”. Oto pierwsze objawienie, jakie spotykamy w tekście: „Chór moranów — wojowników masajskich śpiewa dawną pieśń”. Słuchacze, a przynajmniej zdecydowana ich większość, nie wie o tym, że pieśń którą słyszą, jest stara, i że śpiewa ją chór moranów, czyli wojowników masajskich. Czytelnik tego rodzaju informacji dodatkowych otrzymuje wiele. Umieszczenie ich w radiowym reportażu literackim, w formie takiej, jak przytoczone zdanie, jest niemożliwe, albowiem nastąpiłoby zanieczyszczenie gatunku, ingerowanie w świat przedstawiony reportażu w sposób niedopuszczalny.

Z kolei inna kwestia. Czy radiowy reportaż literacki może zyskać coś poprzez „spisanie”? Niewątpliwie tak. Ale odnosi się to głównie do tzw. monologów. Drukowany w trzecim numerze almanachu „Morze i Ziemia” reportaż A. Głowackiej i A. Maciejowskiej jest tego najlepszym przykładem. Dla mnie szczególnie wartościową cechą tego „zapisu” jest właściwy radiowemu reportażowi, a w tym przypadku „spisania”, doskonale zachowany język potoczny, którym posługuje się bohaterka reportażu.

Wspomniałem, że trudno „spisać” reportaż o dynamicznym przebiegu zdarzeń. Niemożliwe jest także spisanie reportażu takich jak „Pasja” J. Stwory. Wieloplaneckość dźwiękowa tego reportażu, jedyny w swoim rodzaju sposób narracji, zabarwiony patosem w dobrym guście, sposób grania aktorów — amatorów odtwarzających Drogę Krzyżową — słowem wszystko, co składa się na arcyzm tego reportażu może funkcjonować tylko na gruncie radiowym. Albo sprawa muzyki w reportażu „One nie lubią ciszy”. Gdyby Krystyna Melion chciała „spisać” ten reportaż, musiałaby ów zapis rozpocząć od zdania: „Niewidomi, młodzi uczniowie szkoły muzycznej w Krakowie grają taki to, a taki utwór”. Zdanie to na czytającym nie zrobi najmniejszego wrażenia; równie niewielkie wrażenie wywoła zdanie wypowiedziane na końcu reportażu: „One grają bez dyrygenta...” Trzeba bowiem słyszeć jak grają te niewidome dzieci...

W swoich uwagach pominąłem całkowicie sprawę literatury faktu i radiowego reportażu literackiego, jego funkcji, miejsca wśród innych gatunków radiowej twórczości dziennikarskiej, języka itp. Ale już choćby z zasygnalizowanych tylko spraw, problemów i kwestii wynika, że opracowanie poetyki radiowego reportażu literackiego wydaje się sprawą interesującą oraz konieczną i to nie tylko po to, aby młodzi reportażyści nie musieli otwierać wielu otwartych już drzwi.



SŁAWOMIR LENCZEWSKI

Przedstawiam się nieraz ludziom jako stary nauczyciel chemii, który się zamienił w młodego lingwistę.

W młodości studiowałem chemię. Uczyłem jej przez 8 lat w liceum pedagogicznym, przez 9 lat w ogólniaku.

Jednocześnie jednak moją odrębną, całkiem prywatną pasją, były języki obce. Jeszcze jako licealista marzyłem o filologii, zwłaszcza romańskiej. Prawie samodzielnie nauczyłem się francuskiego w takim stopniu, że swój uczniowski pamiętnik mogłem pisać w tym języku. Zaczytywałem się we wszelkich książkach po francusku i chwaliłem się przed kolegami, że literaturę francuską znam lepiej od polskiej. Nie przyznawałem się tylko do tego, iż prawie niczego nie potrafię zrozumieć, co mówią z Paryża przez radio.

Podczas pracy nauczycielskiej wróciłem nie tylko do francuskiego, leczabrałem się też do włoskiego, a potem i do innych języków. Traktowałem to jako bezinteresowne hobby, myśląc najwyżej o czytaniu ciekawszych książek w oryginale czy korespondencji z cudzoziemcami. W książkach pojawiały się coraz lepsze podręczniki, samouczki z płytami, rozmówki i słowniki do języków nawet mało popularnych. Rosła też możli-

wość wyjazdów zagranicznych. Było to zachęcające. Doskonaliłem swe metody uczenia się. I przekonałem się, że każdy następny język przychodzi mi coraz łatwiej.

PTTK potrzebowało przewodników dla cudzoziemców i pilotów wycieczek zagranicznych. Zaangażowałem się.

Życzliwi ludzie namawiali mnie, bym wykorzystał praktycznie swe lingwistyczne umiejętności. Trzeba było pomyśleć o egzaminach. Zaczęłem pracować intensywnie i systematycznie. Od roku 1965 do 1970 zdałem egzaminy ze znajomości praktycznej 12 języków europejskich, przeważnie na Uniwersytecie Jagiellońskim lub Warszawskim, przy czym 4 języki romańskie na tłumacza przysięgłego. W ciągu zaś następnych 5 lat zrobiłem zaocznie w Poznaniu germanistykę.

Stopniowo coraz częściej angażował mnie Zespół Tłumaczy Przysięgłych i Technicznych Nr 1 w Szczecinie. W roku 1973 okazało się, że dla fabryki kabli w Załomiu potrzeba tłumacza aż na kilka miesięcy, bo Włosi montują tam szereg maszyn, z którymi mają duże kłopoty. Zdecydowałem się wycofać ostatecznie ze szkolnictwa, przyjmując propozycję stałej pracy w Zespole.

I tak oto mam od 6 lat nowy zawód, bardzo odpowiadający moim predyspo-

zycjom i zainteresowaniom. Od znanych ciągle słyszę, że znalazłem sobie pracę ciekawą i urozmaiconą. Urozmaicenie jest rzeczywiście duże. Raz po raz nowa tematyka, inni ludzie, zmiana środowiska, często inna miejscowość. Ostatnio na przykład: Zakłady Urządzeń Okrętowych w Barlinku, fabryka kontenerów w Płoni, rozmowy w Wyższej Szkole Morskiej z delegacją z NRD. Poprzednio: szereg rozmów w Wydziale Kultury z organizatorami Dni Cleveland w Szczecinie, akrobaci z Berlina, Włoch w fabryce czekolady, Holender w stargardzkim „Luxpolu”, różne rozmowy w Biurze Projektów Budownictwa Morskiego, w porcie świnoujskim, przy maszynie do pakowania masła w Kamieniu, przy maszynach pakujących mydło w Stargardzie, przy piecu elektrycznym do wyżarzania surówki szarej w Dolnośląskich Zakładach Odlewniczych w Szprotawie.

Pierwsze godziny jakiejś nowej dla mnie akcji łączą się jednak często z nieprzyjemnym poczuciem niepewności, kiedy to jeszcze nie orientuję się do meritum sprawy lub działania danej maszyny i obawiam się kłopotów z terminologią fachową. Ale stopniowo idzie coraz łatwiej, a słownik techniczny dodaje otuchy. Bywa nieraz, że

w następnych dniach ma się nieomal relaks, kiedy to zagraniczni fachowcy z rzadka tylko potrzebują porozumieć się z naszymi ludźmi. Siedzę wówczas sobie obok maszyny i przeważnie czytam, zazwyczaj jakąś wartościową powieść w aktualnym języku, by się cały czas utrzymywać w jego klimacie, no i robić lepsze wrażenie. Intensywność mej pracy wzrasta dopiero w ostatniej fazie, kiedy to przychodzą rozmowy podsumowujące w dyrekcji i sporządzenie protokołu. Ale wtedy przecież najlepiej już wiem, co jest co, kto jest kto, o co chodzi i jak się co nazywa.

Duża część mej pracy to tłumaczenia pisemne. Też prawdziwy kalejdoskop tematów i spraw. Bywały np. recepty kulinarne, zagadnienia hipnozy, narkotyków (dla Wydziału Kryminalistyki Politechniki Śląskiej), przepisy polowowe (ponad 100 stron), różne normy techniczne, projekty portów rybackich dla Peru, itd., itd. Teraz mam przed sobą zadanie stosunkowo trudne, bo kilkadziesiąt stron „Instrukcji linii szlifowania krzyżowego” na rumuński, dla Słupska. Jednak chyba dwa razy częściej zdarza mi się robić tłumaczenie z języka obcego, co jest oczywiście łatwiejsze i znacznie wygodniejsze, bo wtedy współpracuje ze mną maszynistka, której dyktuję po polsku, dzięki czemu idzie szybko.

Osobny rozdział, to najróżniejsze listy prywatne, często miłosne, półmiłosne, ćwierćmiłosne. Cały wachlarz ludzkich spraw, niekiedy bardzo intymnych. Bywają różne dramaty, tragedie i komedie. Zdarza się, że poznają stopniowo całą historię romansu jakiejś szczecinianki, zakończonego czasem, niestety, wnioskiem o alimenty. Niedawno pewna zdenerwowana pani przysłała do mnie z listem otrzymalnym od swego Kubańczyka, ale skierowanym jakby do kogoś innego, prosząc, bym jej zaraz przetłumaczył. Nie wiedziała nawet, w jakim to języku. Okazało się, iż był to wiele obiecujący list miłosny do innej cudzoziemki. Roztargniony nadawca widocznie pomylił koperty...

Raz inna pani, dość zaintrygowana, przyniosła dwa listy od swego Włocha mieszkającego w Szwecji, otrzymała je jeden za drugim. Pierwszy list był bardzo czuły, z konkretnymi propozycjami matrymonialnymi i zapowiedzią rychłego przyjazdu na święta. W drugim liście, zredagowanym dzień później, pisał, że tuż przed zakupieniem biletu na prom, dowiedział się przypadkowo od kolegi takie o niej rzeczy, iż znać jej więcej nie chce.

Raz znów przypadło mi przetłumaczyć list miłosny z łamanego języka włoskiego na łamaną polszczyznę, by było jak najwierniej. Pewien pan bowiem przechwycił korespondencję swej żonki do przyjaciela w Italii i zamierzał załączyć do wniosku o rozwód.

Przez dłuższy czas podziwiałem pewną panią w średnim wieku, z trojgiem dzieci, zakochaną bez pamięci w kubańskim marynarzu, ojcu dwojga dzieci. Pisywał dużo i wzruszająco, wysyłając często drogie paczki z prezentami, zwłaszcza dla tych dzieci.

Od czasu do czasu pośredniczę w międzynarodowych ślubach w urzędzie stanu cywilnego. Kilka dni temu miałem ślub polsko-niemiecki w Stepnicy, a niebawem będzie polsko-hiszpański w Szczecinie. Są to zazwyczaj miłe uroczystości. Młoda para zaprasza mnie niekiedy na wesele i nieraz kontynuujemy krócej lub dłużej znajomość na płaszczyźnie towarzyskiej. Raz musiałem pojechać na ślub aż do Koszalina, kiedy to tamtejsza mieszkanka wychodziła za studenta z Czechosłowacji. Najczęściej jednak trafiają mi się śluby polsko-włoskie, zwykle pełne emocji.

Nieraz też przydarzało mi się pośredniczyć w rozmowach telefonicznych z zagranicą.

Występowałem również na rozprawach sądowych, a także w areszcie w związku z grubszą aferą przemytniczą.

Musiałem pomóc w szpitalu, kiedy to para turystów z Hiszpanii w swej podróży poślubnej samochodem przez Europę uległa wypadkowi pod Szczecinem.

Przydarzało mi się też pośredniczyć u seksuologa na rzecz cudzoziemca tuż przed ślubem.

Pewnego dnia pełniłem rolę tłumacza przy egzaminie na prawo jazdy. Kiedy indziej pośredniczyłem w próbnych jazdach. A także w szkoleniu naszych mechaników samochodowych. Musiałem wchodzić wtedy i pod samochód.

Najprzyjemniejszą dotąd akcją miałem jako tłumacz Faridy. Farida okazała się osobą bardzo serdeczną i przyjacielską, o ujmującej osobowości. Na wszystkich mych znajomych robiła takie wrażenie.

Najtrudniejszą natomiast dotąd rolę miałem jako tłumacz z angielskiego na francuski i odwrotnie, na międzynarodowym sympozjum scenografów teatralnych. Tym bardziej, że było to w początkowym okresie mej pracy, przy małym doświadczeniu, i w dodatku bez możliwości zapoznania się z dokumentami.

By utrzymać się na poziomie, muszę dużo czytać w tych „swoich” językach. Jest to zresztą przyjemne i ciekawe, zwłaszcza jeśli idzie o wybitne dzieła w oryginale. A takich mam sporo. Często też kupuję prasę zagraniczną.

Do wszystkich języków mam niezłe nagrania. Słucham ich — m. in. — przy gimnastyce porannej. Dobrym ćwiczeniem jest też prowadzenie pamiętnika w języku obcym. Od paru lat robię tak, że każdego miesiąca roku piszę w innym języku. Koresponduję także z ludźmi różnych krajów.

Również każdy pobyt za granicą podnosi oczywiście, moja sprawność jako poliglota. Jestem zresztą zamiłowanym turystą i oszczędności swe wykorzystuję przede wszystkim na podróże. Najwięcej pod tym względem zadowolenia dała mi wyprawa do Japonii, gdzie jesienią 1975 spędziłem prawie dwa miesiące, w wielu miejscowościach, przede wszystkim dzięki tamtejszym esperantystom. Byli niezwykle przyjacielscy i robili wszystko co mogli, bym się czuł w ich domach i ich kraju jak najlepiej, i abym jak najwięcej zobaczył, dowiedział się, przeżył. Rewanżowałem się im, zwłaszcza prelekcjami o Polsce, z przezrociami.

Zanim wybrałem się do owego kraju, uczyłem się przez rok intensywnie japońskiego, poświęciwszy mu ok. 500 godzin. Chodziło mi o to, by móc rozmawiać nie tylko z esperantystami. Była to zarazem ciekawa dla mnie przygoda lingwistyczna, takie pierwsze wyjście poza krąg języków europejskich. Całkiem odmienna logika budowy zdań, co początkowo wydawało się czymś nieomal nienaturalnym.

Natomiast jesienią 1976 zwiedzałem Wietnam, a w zeszłym roku, na wiosnę, Nowy Jork i Waszyngton. Kilkakrotnie demonstrowałem tam swe przezrocza z Japonii i Wietnamu, co budziło wielkie zainteresowanie. Podobnie, jak parę miesięcy później w Hiszpanii.

W Polsce prelekcji takich miałem oczywiście znacznie więcej, w ok. 10 miastach, przeważnie w różnych klubach.

Niegdyś niektóre osoby z kręgu mych znajomych i przyjaciół, a także najbliższej rodziny, spoglądały z niejakim zdziwieniem na to moje hobby językowe, zwłaszcza jeśli idzie o języki mało popularne, uważając uczenie się ich za niepraktyczną fantazję. Po latach jednak wszystko zaowocowało, czyniąc me życie ciekawszym i chyba pożyteczniejszym.

Uraz kojarzy nam się najczęściej z pogotowiem ratunkowym. Czy uświadamiamy sobie, że instytucja ta nie ma jeszcze stuletniej tradycji? Mniej więcej dziewięćdziesiąt lat temu zaczęto na łamach prasy mówić o przenośnych apteczkach-skrzynkach, zaopatrzonych w „przyrządy do tamowania krwi, w lekarstwa do ratownictwa należące, w bandażę, strzykawki...” Nie było ich podówczas zupełnie w razie jakiegoś nagłego wypadku, na ulicy nie brakowało natomiast współczucia, co podkreślał w r. 1888 autor na łamach pisma „Zdrowie”: ktoś spadł z rusztowania i natychmiast zbiera się gromada przechodniów, starających się pomóc, przynieść choćby ulgę. Mamy dziś pogotowie, czynne przez całą dobę i na ogół bardzo dobrze wyposażone. Nie brak w kraju ludzi pamiętających jeszcze trakcję konną i pierwsze, bardzo prymitywne karetki. Łatwo dostrzegalny postęp.

* * *

Poczytnym wtedy periodykiem była „Biesiada Literacka”. W jednym z roczników znajdujemy skierowane do redakcji zapytanie: „Czy zawód aptekarski dla kobiety jest właściwym?” Czytelniczka anonimowa. Redakcja odpowiada:

„Godło, które szanowna pani w nagłówku swego listu położyła: „Praca w jakim bądź kierunku ani poniżyć, ani hańbić, ani ujmy nikomu przynieść nie może” jest pięknym; lecz wszystko musi mieć swoją granicę i zakres, bo wszystko podlega prawom naturalnym, których przekraczać bez-

Życie ludzi jest zawsze współzyciem. Uraz zadany świadomie, uraz mimowolny: bywa, że obie strony dałyby wiele, aby można było cofnąć czas choć o ułamek sekundy. Jakże więc przedstawia się współzycie ludzi na co dzień? Czy dostrzega się jakieś zmiany, jakiś postęp? Wreszcie — uraz to fakt dokonany. Jak wygląda sprawa pierwszej pomocy, czy pomoc taka istnieje? Czy i tu mówi się o profilaktyce?

* * *

Wielkie miasto, pośpiech, kolejki, zniecierpliwienie. Interesant płaci dwudziestozłotówką, należy mu się pięć złotych reszty. Osoba siedząca za okienkiem wydaje mu piętnaście złotych. Pada skierowane w najlepszej chyba wierze pytanie: — „Czy pani się nie omyliła?”

To nie podniesiony ton, to nie jest nawet krzyk; jest wrzask: — „Co pan sobie tu wyobraża!”...

Za chwilę osoba ta jest potężnie skonfundowana i... dziękuje. Uśmiecha się — z jaką pokorą! — i jeszcze raz dziękuje. Choć w gruncie rzeczy 10 złotych to nie jest kwota.

Czy pierwsza reakcja tej bardzo młodej osoby, omylnej jak wszyscy, jest wyrazem przemęczenia, czy „wzmoczonego samopoczucia” wynikającego być może z braku zaufania do siebie samej? Nie panuje nad sobą: nerwy zawiodły. Wzmoczone samopoczucie? To samo. Pytanie: co tej osobie jest potrzebne: dorada? Porada? Wskazówka? Czy

ROMUALD
WIESŁAW GUTT

URAZ I POSTĘP

karnie nie można. Zawód aptekarski jest względnie korzystnym, daje pewne utrzymanie, należy do wielce szlachetnych, a nawet ciekawych, dla kobiety jednak z wielu względów się nie nadaje...”

Wymaga — czytamy — mozolnego kształcenia, pochłania czas od rana do wieczora, nadto wyziewy apteczne działają szkodliwie nawet na silne organizmy,

„cóż dopiero mówić o delikatnych, które są udziałem rodzaju niewieściego?”

Wreszcie argument nie do odparcia: zastanowienia wymaga to, że młoda paniątka „miałaby za kolegów ludzi młodych, z którymi ciągle obcowanie mogłoby dla niej być zgubnym”, stąd jeden tylko wniosek: zawód aptekarski nie jest odpowiedni dla kobiety. Postęp na tym odcinku chyba jeszcze łatwiej dostrzegalny?

* * *

Uraz psychiczny — uczył profesor Antoni Kępiński — może spowodować większe nawet spustoszenie niż uraz fizyczny. Bywają tu urazy zadane świadomie, ze złej woli, będące następstwem premedytacji, inne są mimowolne, wiążą się z bezmyślnością lub głupotą. Czy wtedy zawsze bywają uświadomione?

Wszystkie publikacje profesora Kępińskiego w mgnieniu oka znikają z półek księgarskich, tak i monografie pióra Karen Horney czy Hansa Selyego i innych autorów piszących o nerwicach czy psychonerwicach. Chłonność rynku świadczy o zapotrzebowaniu.

może wypoczynek? Wreszcie, co także nie musi być wykluczone, może powinna pełnić jakieś inne, mniej odpowiedzialne stanowisko? Może to przerasta jej możliwości i z dnia na dzień stan nerwów będzie się stawał gorszy?

Konflikt rodzi konflikt. Urażona ambicja, potem konfuzja i pokora. Zsumować to, podzielić, coś tam z tego wyjdzie. W życiu na co dzień nie będzie jednakże miejsca na taką statystykę...

* * *

Ludzie oddziałują na siebie. Pomagają sobie, czasem szkodzą. Gdy pozostają bierni, także oddziałują, nie wiedząc nawet o tym. Podręczniki psychologii czasem bywają grube, opasłe, na ogół nie omawia się na ich łamach zagadnień „samo przez się zrozumiałych”. Ludzie żyją i współ-żyją. Dobrze, źle...

Oto stołeczny ranek. Na przystanku tramwajowym kobieta z okazałym bagażem ręcznym zwraca się do młodej istoty z pytaniem czy nadjeżdżającym tramwajem dotrze do dworca autobusowego?

— „Autobusowego? Nie, pani musi...”

Wtrąca się mężczyzna w średnim wieku:

— „Ależ kochana, czego pani w błąd wprowadza? Dojeżdżcie pani, na trzecim przystanku pani wysiądzie...”

Nie zdążyła podziękować, gdy wtrąca się inny mężczyzna: — „Na jakim trzecim? Znaczy się co, od Potockiej pieszo będzie dyrdać? Na czwartym pani wysiądzie; ja też tam jadę...”

W jakim stopniu ta gotowość informacyjna jest wyrazem życzliwości międzyludzkiej, w jakim zaś stanowi chęć okazania większej biegłości? Czy wyższości? Jedno jest pewne, że w prawie każdej sytuacji życiowej nieodzowne jest współdziałanie. Potrzebne, cenne, nieodzowne jest także poczucie zadowolenia. Obustronnego.

* * *

Ile kłopotów sprawiają niedokładności interpretacyjne! Reakcje emocjonalne bywają uzależnione od pierwszego wrażenia. Jaka bywa ich proporcja do istoty rzeczy? Czy właściwa?

... niedzielne popołudnie, nie ma ścisku w autobusie. Wsiada osoba w średnim wieku z dwiema dziewczynkami w wieku szkolnym. Jedna usadawia się z matką, druga, zającą lody, siada obok kobiety w wieku — powiedzielibyśmy dawniej — balzakowskim, odświętnie ubranej. Osoba ta odsuwa się i troskliwie zagarnia fałdy eleganckiej spódnicy. — „Z lodami się nie siada!” — mówi do dziewczynki.

Ma rację. Należałoby tego przestrzegać? Co na to mamusia? Z całą pewnością zwróci córce uwagę i poleci, aby się przesiadła. Jest dużo wolnych miejsc. Nie, nic z tego. — „Ależ mnie się dewotka znalazła!” — mówi do starszej dziewczynki. Wszystkie trzy parszczą śmiechem. Zatraskana o swoją garderobę pasażerka marszczy gniewnie czoło, spogląda w tył, odwraca nagłym ruchem głowę i milczy. Autobus pnie się w górę, staje na światłach, za chwili-

slalom trenować? Komu to dziś dają prawo jazdy? Pojęcie facet nie ma o prowadzeniu!”

Kierowca milczy. Stojący tuż za nim pasażer odwraca się i poucza:

— „Pan nie widzi, pan nie mówi!”

— „A pan to zapewne myśli, że ja pierwszy raz w życiu autobusem jadę?”

— „Więc pan szanowny zderzenie życzy, czy jak?”

— „Kochany, ja sobie życzę spokojnej jazdy, życzę sobie umiejętnego prowadzić kierowcy!”

Ow przez cały czas milczy. Na jednym z przystanków malkontent wysiada. Obrońca kierowcy pyta:

— „No i co, pan szanowny zadowolony, że bez kraksy dojechał?”

Nie ma odpowiedzi; kierowca pyta: — „To ten?” — „Ten!” Wychyla się z wozu:

— „Panie, pan siwy człowiek, a taki głupi? A książeczkę do nabożeństwa do rączki i do kościółka! Pomodlić się, żeby Bozia na stare lata rozum dała!”

Malkontent oddalił się od pojazdu. Dalej — w drogę.

— „Jak by co do czego — mówi do kierowcy młody człowiek — to ten facet pierwszy by bużkę rozdziawił...”

Na to kierowca:

— „E, panie, takie już życie mamy, co się tu dziwić? Wszystko w pośpiechu, tu załatwić, tam zdążyć...; tak się mówi, panie, ale faktycznie to my już wszyscy jesteśmy nerwowi...”

NA CO DZIEŃ

lę przystanek. Milcząca pasażerka podchodzi do wyjścia. Krok po stopniach i zatrzymuje się jednak:

— „Kto? Ja dewotka? Ach ty! Ja ci pokażę dewotkę! Ja ci pokażę, pod którą latarnią twoja mamusia stała!”

Wysiada rozgorączkowana, ujawnia to drżenie rąk i barwa twarzy. Po co to było? Autobus rusza. Jawi się myśl: przez ile godzin utrzyma się to zdenerwowanie, czy łatwy będzie powrót do równowagi? Interpretacja trochę mylna, mamy fakt dokonany. Kolejna myśl: czy nie należałoby wdrażać dzieci szkolnych do ładu? Kto ma tego uczyć?

Jak wygląda dzień powszedni osoby mylnie interpretującej zasłyszane słowo? Czy potrzebna byłaby jej porada lekarska? Żyje w bezustannym, jak widać, napięciu. Gdzie pracuje, co robi? Jaki jest jej zasób słów i rodzimego języka? Żyje w napięciu i znosi to do pewnych granic. Teoria hydrauliczna? Bodźce gromadzą się, sumują i muszą znaleźć upust?

* * *

Napięcie nerwowe można znosić do pewnych granic, zwłaszcza gdy istnieje poczucie odpowiedzialności. Gdy granice zostaną przekroczone, wyładowanie będzie prawdopodobnie pełne?

...Tak się składa, że autobus musi co chwilę wykonać ułamek. Jeszcze jeden! Pasażer w głębi wozu wyraża niezadowolony:

— „Cóż to za kierowca dzisiaj nas wiezie! Czy on musi

On sam to najlepiej pojmuje. Cóż dodać? Jesteśmy w różnym stopniu, w różnej skali. Boy pisał kiedyś, „Zmysły, zmysły”, może teraz pora, aby pisać „Nerwy, nerwy”?

* * *

Rollo May: „Miłość i wola”. Książka rozchwyтана błyskawicznie. Dwukrotnie wyższy nakład także nie zaspokoiłby potrzeb. Autor wskazał, jak bardzo potrzebna jest komunikacja międzyludzka i w jakim stopniu została zniszczona; pisze o tym, jak ludziom dokuczają samotność, odosobnienie, jak zatracają się sens i wartość tego, co ma wypełnić dzień. May przedstawia mieszanekę: seks, eros, przyjaźń i zdolność do poświęcania się dla czyjegoś dobra. Koktail sporządzany bez określonej receptury, zależny od okoliczności i potrzeby. O składzie zadecyduje dwoje ludzi. Obcowanie ludzi, bardzo nawet młodych, od lat już nie jest uważane za zgubne, redaktor „Biesiady” musiałby zmodyfikować swą ocenę już w niewiele lat po przełomie stulecia.

Czy jednak Rollo May uwzględni wszystkie elementy? Lubimy krzyżówki, popularne są najrozmaitsze quizy. Zatem: quiz. Czyjego pióra jest następujący fragment, z jakiej książki pochodzi, kiedy rzecz ta została wydana?

„...zarobił trochę pieniędzy, które przyniósł swej kochance nie sobie nie zostawiając. Odtąd przestała go kochać. Pogardzała nim z powodu tak małych zarobków i dawała mu odczuć swą obojętność, znużenie i niesmak. Czyniła mu nieustanne wymówki, złośliwości, wyrządzała zniewagi;

a jednak trzymała go przy sobie: z innymi bowiem bywało gorzej, a nawykła była do domowych kłótni. Zresztą poza domem prowadziła życie bardzo czynne..”

To Anatol France i „Bunt aniołów”, wydany w roku wybuchu pierwszej wojny światowej. Szmąt czasu. Czy jednak powyższy fragment nie mógł pochodzić z książki równie dobrze o pół wieku wcześniejszej, co i o tyleż późniejszej?

Na łamach jednego z dzienników zachodnioeuropejskich pojawiła się przed pewnym czasem notatka — sprawozdanie z sali rozpraw, zatytułowane: „Krwawy koniec domowej tyranii”. On 56 lat, ona o dwa lata młodsza; współżyli od dziesięciu lat „na wiarę”. Mężczyzna zmęczony uprzednim wieloletnim współżyciem z żoną alkoholizką; kobieta — bez określonego zawodu, trudna na co dzień, o czym świadczą zeznania sąsiadów. Tyranizowała partnera na każdym kroku. Wyśmiewała go, zabierała mu pieniądze, nadto wyłudzała je od jego matki — staruszki. Dzień za dniem trudny. Gdy po siedmiu latach mężczyzna wyprowadził się, znalazła drogę i argumenty, aby ponownie być razem. Zgodził się. Cóż, notatka prasowa to mało. Oboje mieli za sobą niełatwe lata wojny. Mężczyzna wrócił z niewoli z jakimiś bardzo przykrymi wspomnieniami. Partnerka wiedziała o tym i wywlekała te sprawy, zamierzając dokuczyć. Gdy podejmowali wspólne życie, oboje chcieli je przeciw jakoś ułożyć. Sądzi, że w takim układzie życie nabiera treści, szybko jednak zaczęły się najróżniejsze przykre sceny. Partnerka, jak widać, potrzebuje tych rze-

sąsiadów. Jeden z nich, starszy o trzy lata od oskarżonego, urzędnik, zeznaje:

— „Gdyby on tego nie zrobił, wysoki sędzie, wówczas ja bym to uczynił!”

Przykre: nie ma sąsiada, który zeznałby choć słowem na korzyść tragicznie zmarłej dozorczyńni. Świadkowie wyrażają zdumienie, jak ten człowiek mógł wytrzymać przez dziesięć lat? Lecz on sam nie potrafiłby chyba wytłumaczyć: jak?

Tragiczny epilog. W skali światowej niewielkie wydarzenie, ma jednak rozmiar katastrofy. Nawarstwiało się od dawna? Czy nikt nie potrafił przerwać błędnego koła?

* * *

Zdarzają się radości i zmartwienia, jest poczucie klęski lub szczęścia, zdarzają się poniżenia, satysfakcje, różnie to bywa. Na bieżąco kłopotów z reguły więcej, gdy spoglądać wstecz, kłopoty giną, a przynajmniej maleją. Na co dzień zdarza się wiele, jest duma i poczucie godności, bywa i odwrotnie. Co i kiedy się ujawnia?

...w połowie jezdni, zresztą nie na pasach, nagle znalazła się kobieta. Wykonała krok w przód i krok w tył. Taksówka hamuje, kobieta przechodzi.

— „Dziwne stworzenia — ocenia kierowca. — Panie, pan nigdy nie wie, co w tej główce zaśpiewa, w ostatnim momencie pójdzie pod koła i cześć!”

— „Tak, czasem bywają mało zrównoważone...”

URAZ I POSTĘP

c.d.

czy. Dlaczego sprowokowała powrót partnera, gdy odszedł od niej? Dlaczego nie miał już siły, by utrzymać decyzję? Czy widział bezsens zaczynania czegokolwiek na nowo? Czy pojmował, że to już u schyłku dnia? Sięgał często po najróżniejsze tabletki...

Awantury — zeznają sąsiedzi — trwały nierzadko do późnej nocy. Dzieje się to wszystko w jej mieszkaniu służbowym; jest dozorczynią domu. W swym przekonaniu jest także panią domu i sąsiedzi wielokrotnie słyszeli jej zapowiedź: „Ten stary stąd wyleci!” A stary następnego dnia idzie do pracy, wraca do domu, tam — na nowo wojna...

Któregoś dnia, po gwałtownej wymianie zdań, kobieta spokojnie zasnęła, mężczyzna nie mógł znaleźć sobie miejsca, nie mógł zasnąć. Wstał, sięgnął po jakieś tabletki, po jakieś leki uspokajające; zdrzemnął się trochę. Jest rano zamroczony, wie tyle, że ma iść do pracy, trudno mu jednak utrzymać się na nogach. Przedawkował leki, mało prawdopodobne, by znał ich działanie uboczne. Jest zdyscyplinowany, wie, że musi iść do pracy. Słucha głośniejszych komentarzy o śmierdzącym leniu, którego trzeba gonić kijem do roboty, wysłuchuje i tego, że zanim wyjdzie, musi wyszorować schody. To właśnie słyszy — tak zeznawał w sądzie — i to jedno mu utkwiło: schody, schody... — W pewnym momencie śmierdzący leń przestaje panować nad sobą, sięga po młotek...

Sam zawiadomił policję. Wreszcie — rozprawa. Zeznania

— „Ale, panie, one są nie do rozczesania! Takie same niby, a każda inna. Jedną to proszę pana za chłopem maratońskim biegiem poleci, druga znów zimna, że nie do wyobrażenia. Znasz pan takie, co?”

— „Różne bywają temperamenty”.

— „Bo moja żona to z tych zimnych!”

— „Bywa i tak”.

— „Panie szanowny, z moją to ja nie mogę tak, jak z każdą jedną: „No, już — kładź się tutaj!” Niczego takiego. Ja, panie to za każdą razą tak jak z narzeczoną. No, nie powiem, żeby akurat zawsze z kwiatami, ale zawsze jest od początku!”

— „Cóż, widzi pan, niektóre bardzo lubią właśnie przedgrywkę...”

— „Właśnie, to te zimne! Ale taką żonę mieć to lepiej”.

— „Dlaczego pan tak sądzi?”

— „A, bo widzisz pan, przedtem, zanim taksówkę miałem, to ja uganiałem ciężarówką, co i raz na delegację. No to jestem ja gdzieś daleko, przygruchałem — jak to na delegacji! — kelnerkę jaką ze stołówki, wracam od niej nad ranem i tak nagle myślę sobie: ty, a może w tenże moment przy twojej innej jakiś facet leży? Ale, myślę, nie, skądże, nikt nie leży, bo przecież ona z tych zimnych...”

Prawdopodobnie są wszelkie podstawy po temu, aby małżeństwo to można było określić jako harmonijne i udane. Jak sobie układa życie partnerka rozmówcy? Trudno

orzec, chyba jednak jest zadowolona równie jak mąż. Ale gdyby wydała pamiętniki...

* * *

Życie harmonijne, życie burzliwe, różnie to bywa. W jednych sytuacjach czy układach nie zachodzą najmniejsze nawet zakłócenia, w innych urazy sumują się na każdym kroku. Czy istnieje możliwość zapobiegania? Gdyby nie te mini-przypadki codzienności, nie byłoby zapewne spraw poważnych. Jak zapobiegać?

... udało się złapać taksówkę. Dobiega młoda istota, chce jechać w tym samym kierunku. Zgoda. Ruszamy. Zadowolona, wysiada nieco wcześniej, jest ogromnie wdzięczna. Ruszamy dalej.

— „...ale z babami, pan wie, nigdy nie wiadomo — mówi kierowca. — Pan jej dobrze, a ona tak zastrzeli, że pan przysiądzie! A żeby to chociaż zawsze było wiadomo, o co buzię otwiera?”

Trzeba przyznać, że doprawdy, nie zawsze wiadomo. Życie uczy.

— „...ja, panie szanowny, to jeżdżę dziesięć, bywa dwaście godzin. Ciężka praca, ale zarobię tak, że moja nie musi pracować. No to jak, chcę mieć dom? Należy mnie się? Należy. Ale bywa, przyjadę coś tam zjeść (bo to w domu, pan wie, najlepiej smakuje), a moja już — ma gadane! To jej się nie podoba i tamto. Powywleka nieraz,

nie usłyszy, bo trzeba drugiego rozumieć, pan to pojmuje?”

— „Tak, a czy wywiesiła kiedy tę chorągiewkę?

— „E tam, nie, takie gadanie. Tyle, że gasi, bo powiedz pan sam, czy gdzie indziej miałaby lepiej?”...

Nie orzekniemy, czy miałaby gdzie indziej lepiej, idzie o coś innego: może ów przypadkowy rozmówca podsuwa dobry pomysł z taką sygnalizacją chorągiewkami? Może ludzie nauczyliby oceniać się najpierw we własnych oczach? „Nerwy, nerwy”: szkodzą otoczeniu, szkodzą bezpośrednio zaangażowanym, jednym tylko podświadomie, u wielu znajdują wyraz w wahaniami ciśnienia tętniczego, w dolegliwościach ze strony przewodu pokarmowego itp. Może samo wywieszanie chorągiewki mogłoby stanowić moment otrzeźwienia?

Nie brak urazów psychicznych, trudno jednakże wyobrazić sobie odpowiednik pogotowia. Nie każdy jest zadowolony z życia i współżycia z bliźnimi. Urazy będą się sumować, organizm to bankier się cierpliwy, spisujący jednakże wszystko bardzo dokładnie. Czasem wypada płacić bardzo wysokie odsetki.

Postęp zastanawia niejednokrotnie, po co uczniom szkół średnich uczenie się na pamięć dat? Bitwa pod Mantyną, pod Kannami, pod Zamą? Wszystko to piękne, niewiele osób pamiętania po latach, kto z kim się bił i o co się bili. Trzeba dodać, że na to ostatnie pytanie najczęściej sami uczestnicy nie mogliby udzielić odpowiedzi. Gdyby tak u-

NA CO DZIEŃ

panie, starocie, coś sprzed lat, może pięć, może więcej. Coś tam zrobiłem nie tak, przestępstwo znaczy się jakieś popełniłem, odcbezczałem już za to niejeden raz, a teraz na nowo, słowo leci! A nawet mówią o nas, że i tak dobre stadło małżeńskie i nie powiem, nie najgorsze, tylko pan wie, jak zacznie gadać! No i o co, pytam nieraz...”

Cóż, karę za przestępstwo odbywa się w zasadzie tylko raz. O karze nadto będzie mogła być tam jedynie mowa, gdzie miało miejsce jakieś wykroczenie. Czy zawsze zachodzi w takich układach? Powiedzmy jednak, że istotnie, określenie „kara” mogłoby być uzasadnione, przecież po upływie lat uległaby chyba wymazaniu? Nie mówiąc już o amnestii. Otóż w tym kodeksie tego nie ma...

„...znaczy się, jak ona mnie tak szumi — ciągnie rozmówca — to ja mówię: kochana, dalej jadę, daj mi zjeść, a na przyszłość to się umówmy: jak u ciebie sztorm, wywiesz na balkonie czarną chorągiewkę, wtedy ja nawet do windy nie wejdem, tylko zjem na mieście, a jak ci już przejdzie, wywieszisz białą. Tylko teraz nie wyprowadzaj mnie z nerw!”

— „No i co?”

— „Cóż, ja się i tak nie zdenerwuję, pan wie, bo w gruncie rzeczy po co? Powiem i tyle. Jeszcze zanim ja wyjde, ona już cichnie, bo jak by nie było, gdzie jej tak będzie? Nie wie, co to lista obecności, w żadnych kadrach nie musi się tłumaczyć. A nie wyrobi się, to i tak złego słowa

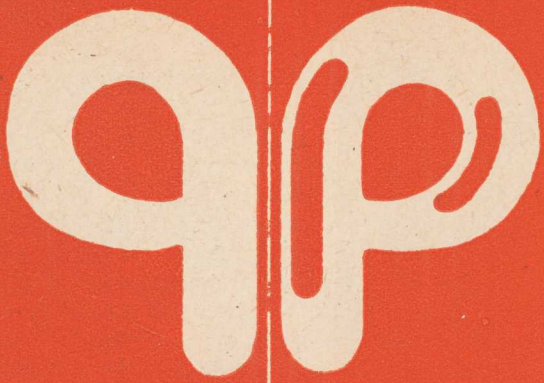
czyć sztuki życia i współżycia? Gdy szczęśliwi nabywcy książki „Wola i miłość” pokazywali zdobycz, padło z ust młodej istoty, że takich właśnie rzeczy powinno się uczyć w szkole. Gdy docierają do świadomości później, jest już cokolwiek za późno, przynajmniej w jakimś kontekście, mało ważnym w znaczeniu ogólnym, niezwykle ważnym w życiorysie ludzi.

Nikt dziś nie będzie odradzał czytelnikom studiowania farmacji czy medycyny.

Nadal redakcje udzielają jednak odpowiedzi w sprawach bardzo osobistych. W popularnych tygodnikach bywają przedstawiane anonimowo różne drobiazgi z życia codziennego. Drobiazgi dla ogółu czytelników, dla osób pytających są — względnie były — to sprawy raczej ważne, może nawet — przynajmniej na jakiś czas — pierwszoplanowe?

Mamy postęp. Uległy zmianie programy szkolne, jest wiele różnych ułatwień. Choćby wspomniane na początku pogotowie ratunkowe, dysponujące karetkami reanimacyjnymi, aparaturą diagnostyczną, salami zabiegowymi. Otóż pogotowie mogące udzielić pomocy w urazach psychicznych każdy powinien nosić w sobie. Powinien być przygotowany do życia na co dzień. Zapewne byłby potrzebny jakiś konkretny program, tymczasem jednak może sygnalizowanie chorągiewkami mogłoby spełnić jakąś rolę?

Wszelka wiedza, czegokolwiek by dotyczyła, wywodzi się z empirii.



JADWIGA SAŁYGA

PREZENTACJE MALARZY KRAJÓW SOCJALISTYCZNYCH

Od połowy lipca do 20 września można oglądać w salach szczecińskiego Zamku Książąt Pomorskich dzieła malarskie nadesłane z dziesięciu państw na VIII Prezentację Malarzy Krajów Socjalistycznych. Nie ulega wątpliwości, że jest to nie tylko najpoważniejsza impreza w tegorocznym planie wystaw plastycznych, odbywających się w naszym kraju, ale również jedyna w swoim rodzaju płaszczyzna konfrontacji sztuki państw naszego obozu. Ranga i znaczenie zrodzonej w Szczecinie imprezy jest wyjątkowa. Przekracza nie tylko granice regionu, lecz także kraju.

W tym roku do dysputy o sztuce socjalistycznej oraz o możliwościach zachowania w XX wieku odrębnych cech narodowych skłaniają płótna: Mari-Terez Gospodinowej, Todora Chadżinikołowa, Enczo Pironkova (Bułgaria), Vlastimila Beneša (Czechosłowacja) Christiana Heinze, Karla Ratscha (NRD), Horii Bernea (Rumunia) Józsefa Baska, Pála Cezsona (Węgry), Jurija Pawłowa (Związek Radziecki), Zbigniewa Karpińskiego, Ryszarda Tokarczyka i Jerzego Zabłockiego (Polska), a także egzotycznych artystów z Kuby — Luis Martinez Pedro, Wietnamu — Duong-Ngoc-Canh, Tram-Nguen-Dan i Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej — Tsong Zon Yo, Kim Hon Sim, Hong Yon Su.

Przedstawiciele poszczególnych państw uczestniczyli w drugiej połowie lipca w zorganizowanym w Kamieniu Pomorskim plenerze malarskim i sympozjum krytyków sztuki. Plon tego spotkania pokazano na wystawie poplenerowej.

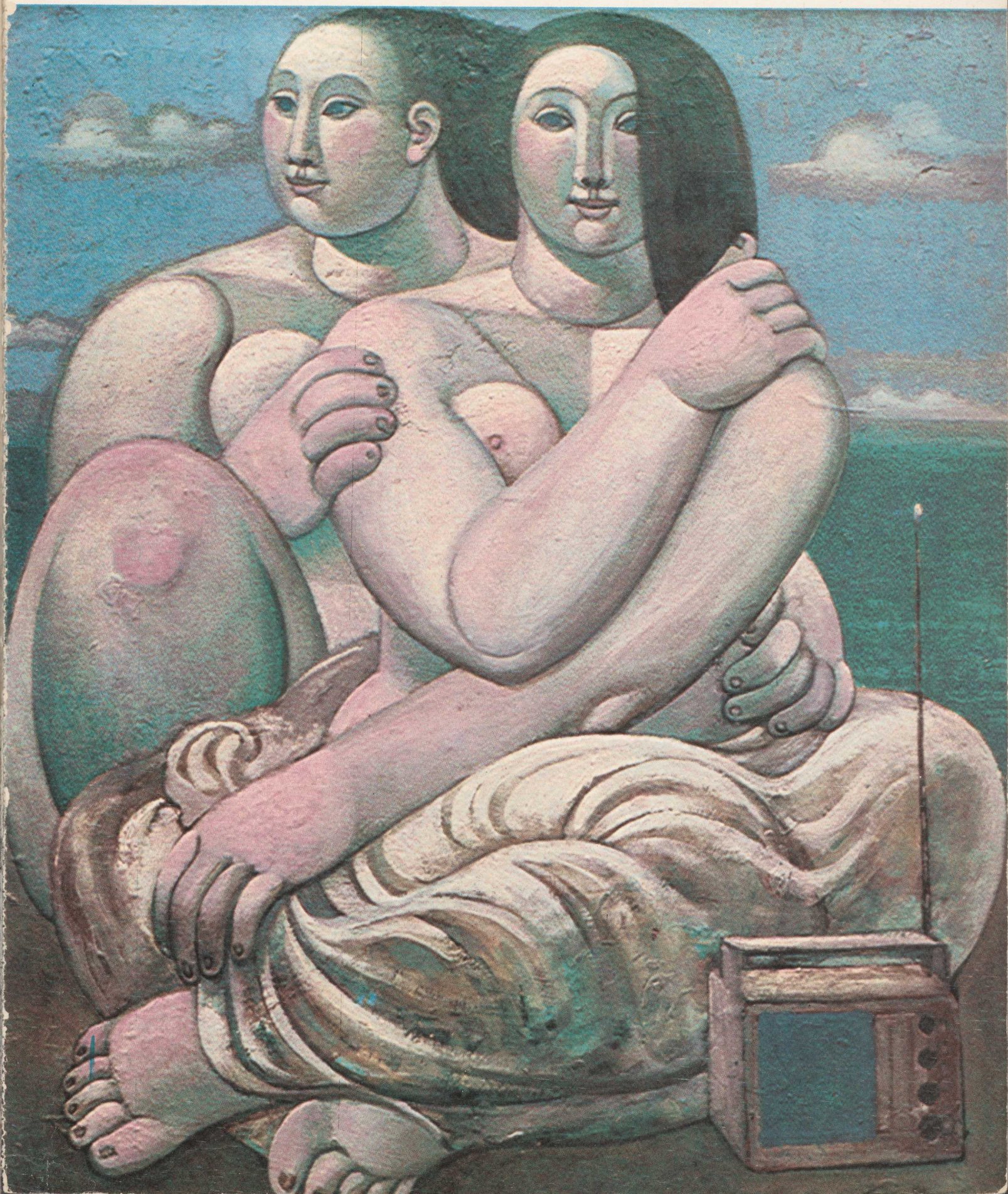
Równolegle z ekspozycją prac nadesłanych na VIII Prezentację Malarzy Krajów Socjalistycznych w szczecińskim Muzeum Narodowym trwa wystawa sztuki państw socjalistycznych. Do powstania tej unikalnej kolekcji w znacznym stopniu przyczyniły się Prezentacje Malarzy Krajów Socjalistycznych.

Zbiory sztuki współczesnej bratnich krajów socjalistycznych w Muzeum Narodowym zainicjowane zostały w 1965 r. Wówczas grupa poetycko-plastyczna „Metafora”, a w niej Guido Reck i Henryk Naruszewicz, zaprosiła do wspólnego spotkania w naszym mieście grupę malarzy i poetów „Radar” z Pragi czeskiej, malarzy z bułgarskiego miasta Płowdiw oraz artystów z Sarajewa i Bukaresztu. Spotkanie odbyło się w pełni lata. Gościny udzieliło właśnie Muzeum Narodowe. Interesującej prezentacji płócien towarzyszyły wiersze odręcznie wykaligrafowane na kartach umieszczonych pomiędzy obrazami, przydając wystawie niezwykłą atmosferę. Obrazy Afana Ramića, Enczo Pironkova, Christo Stefanowa, Jona Pacea zapoczątkowały kolekcję szczecińskiego Muzeum. Prawie wszystkie dzieła tej kolekcji zostały zakupione w Szczecinie. Uzupełniły ten zbiór obrazy powstałe na międzynarodowych plenerach organizowanych na Pomorzu Zachodnim przez tutejsze środowisko plastyczne oraz Towarzystwo Przyjaciół Szczecina. Powiększająca się z roku na rok kolekcja malarstwa, a także (choć w niewielkim stopniu) rzeźby, uzupełniana była następnie grafiką pozyskiwaną w pierwszym rzędzie na Międzynarodowym Biennale Grafiki w Krakowie. W taki to sposób zbiory sztuki współczesnej krajów socjalistycznych w szczecińskim Muzeum osiągnęły bez mała liczbę stu pozycji. Kolekcję przedstawiono publiczności po raz pierwszy w roku 1971, towarzysząc IV Prezentacji.

W 1974 r. czterdzieści prac z tego zbioru zaprezentowano w Koszalinie. W szczecińskiej kolekcji nie brak obrazów indywidualności znaczących we współczesnej sztuce bratnich krajów, jak: Jon Pacea, Gheorghe Anghel, Marihn Gheraisim z Rumunii, Petcar Doczew, Emil Stojczew, Nadieżda Kutieva z Bułgarii, Susanne Kandt-Horn i Frank Ruddigkeit z Niemieckiej Republiki Demokratycznej, László Ovari, János Fajo, Atilla Csája z Węgier czy Liwia Endzelina z Łotewskiej SRR. W sumie jest to kalejdoskop barwny i ponętny, ale nie pretendujący do wyczerpującego obrazu tendencji przejawiających się we współczesnej sztuce krajów socjalistycznych. Niemniej zasadność podjęcia przez szczecińskie Muzeum Narodowe trudów gromadzenia zbiorów sztuki współczesnej krajów naszego obozu jest oczywista. W dobie obecnej, gdy więź braterstwa krajów socjalistycznych gruntuje się i zacieśnia, istnienie, a także wzbogacanie muzealnego zbioru jest zrozumiałą konsekwencją tego działania. Posiadanie zbioru zobowiązuje nie tylko do opracowywania i udostępniania, ale i szeroko pojętej dokumentacji w szczecińskim Muzeum, która została już zapoczątkowana. Właściwością muzealnych kolekcji jest zyskiwanie znaczenia z upływem czasu. Systematyczne gromadzenie pozwala na zanotowanie wydarzeń i tendencji epoki. Zarówno ekspozycja obrazów z kolekcji szczecińskiej, jak też kolejna, VIII Prezentacja Malarzy Krajów Socjalistycznych są wyrazem umacniania braterskich więzi cementujących nasze narody. Niebanalne zadanie w tym dziele przypada plastyce, która stanowi niezastąpiony pomost do zbliżenia i lepszego poznania się różnych społeczeństw.

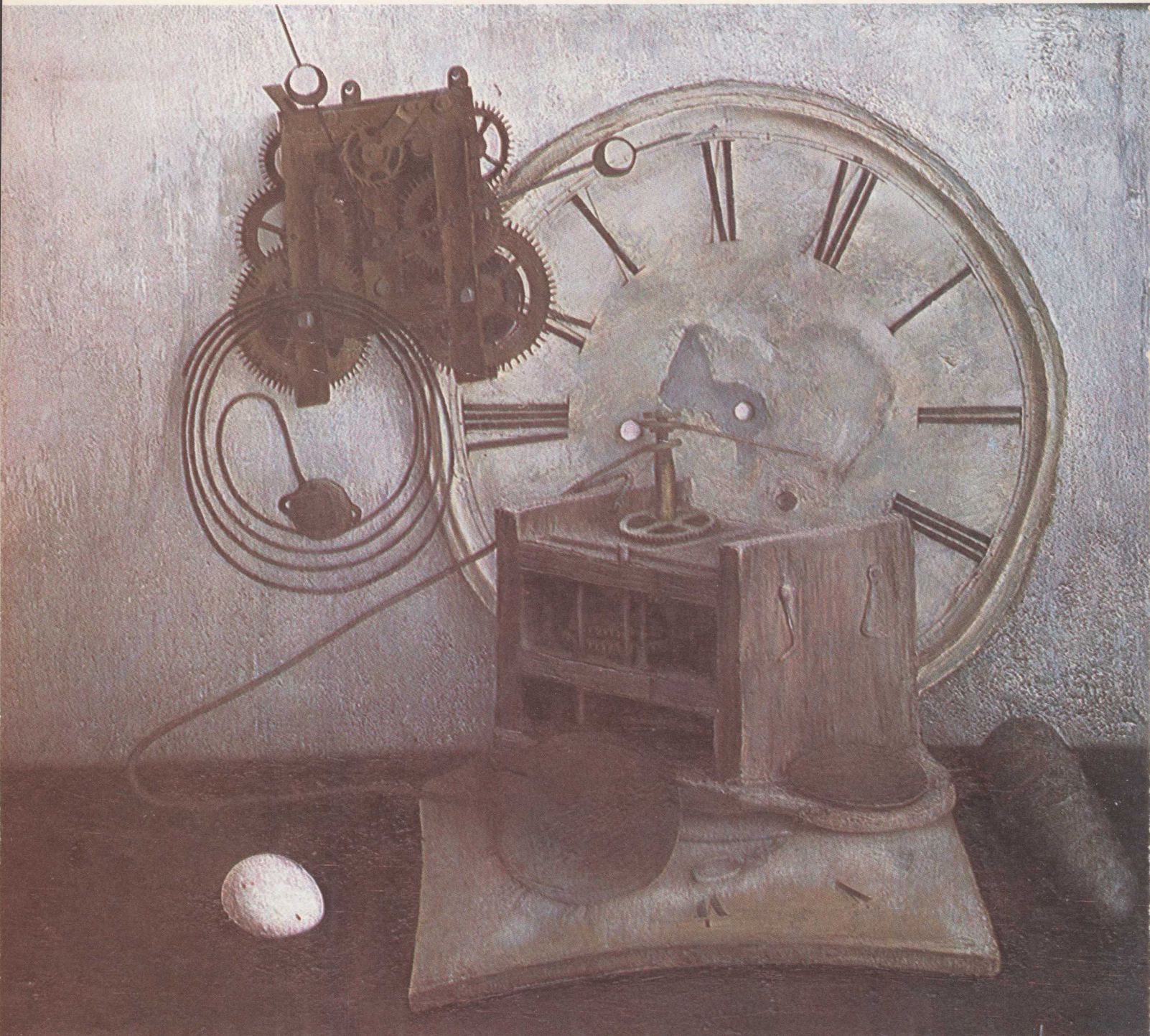
SUZANNE KANDT — HORN, „Kobiety nad morzem” — olej. Praca eksponowana na VII Prezentacji Malarzy Krajów Socjalistycznych w 1977 r.

fot. W. Termanowski



LIWIA ENDZELINA, „Martwa natura z jajkiem”. — olej. Praca eksponowana na III Prezentacji Malarzy Krajów Socjalistycznych w 1969 r.

fot. W. Termanowski



Nauka

Pochylona nad książką
uczysz się tej magicznej sztuki
teraz najlepsza pora
— tuż przed snem.

Jak przed prawdziwą podróżą
pakujesz bagażę,
przeglądasz mapy.

Wiedza jest zawsze potrzebna,
żeby powrócić.

Kiedy przygotujesz karete,
biały całun i miękkie poduszki,
strój przewiewny,
wodę w kryształowym dzbanie,
tam już czekają egzotyczne kraje,
więc zamykasz oczy,
całujesz na pożegnanie
— jutro wrócę
i konie wyciągniętym kłusem
wypadają za bramę raję.

Życie to właśnie jutro
i pewność — wrócę.

Najdłuższa podróż jeszcze daleko przed nami,
kiedyś powiesz — śniło mi się życie.

Katastrofa kolei podziemnej

Nie widać skręconych szyn
spiętrzonych wagonów
ani ciał
ani ich szczątków

Nikt nawet nie usłyszał zgrzytu stali
i tamanych piszczeli
jęku rannych
i płaczu matek

życie skierowano okrężną trasą
na chwilę zapaliło się czerwone światelko
i zgasło, żeby nie budzić paniki.

Sposób bycia

Już w szkole
pociągi jeżdżą
z miejscowości A do B
— „podróże kształcą”.

Pomni tej nauki
dążymy do białej funeralnej krainy.
Lecz zanim pociąg z hukiem przeraźliwym
przemknie nad wodami Lety
następuje powszechne wątpienie.
Bo w tej podróży długiej
jesteśmy śmiertelnie zmęczeni
i choć nie oczekuje nas królewskie łożę,
pokorni bohaterowie trwamy do ostatniej
chwili.

Problemem podróży zajmują się kolejarze
i filozofowie.

Nazwiska Kartezjusza nie znajdziemy jednak
w rozkładach jazdy.

Wieczór

Późno już,
wolframowe nerwy żarówek
są zmęczone do łez.
Rozkwitające poematy więdną
strona po stronie,
a słowo twoje ledwie trwa
i ciało zasypia jak przeczytana książka.
Taka cisza

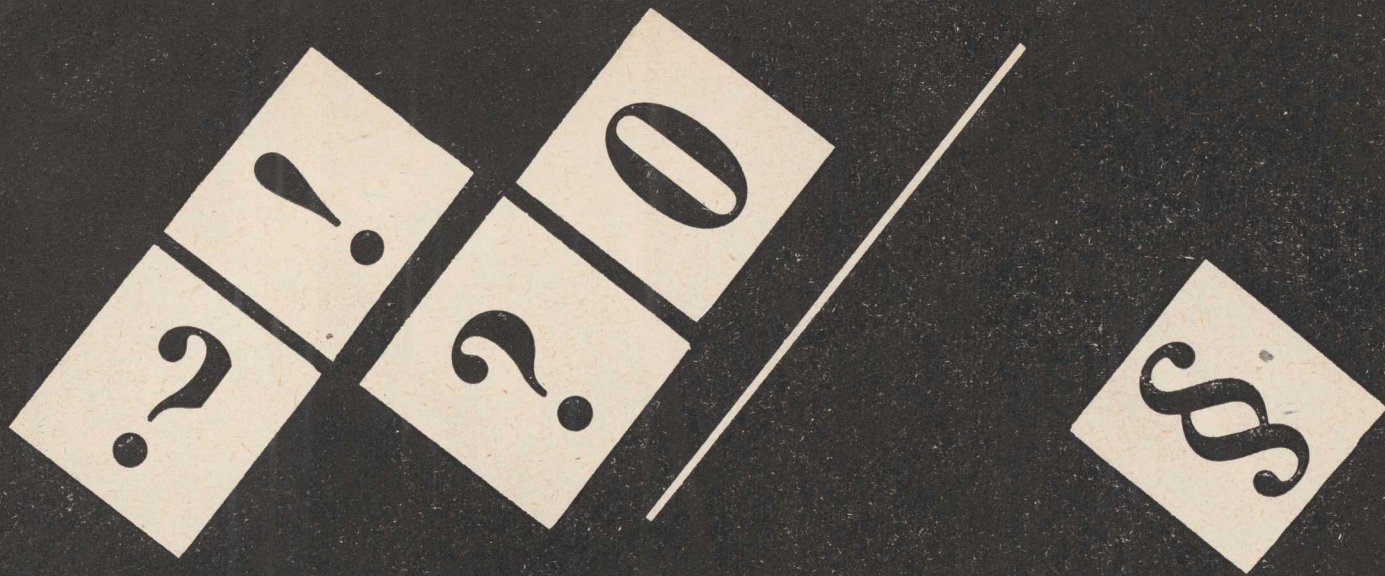
— „przysięgłabym, że wiatr mówi zdanie
łacinskie”.

Chodźmy spać,
nasze życie wisi na włosku zegara.

Przebudzenie

Wczoraj wieczorem,
kiedy zegary nabrały wody w usta,
zapomniałaś o ziemi,
co pod paznokciami
wyznacza linię śmierci.
Zapomniałaś o tym,
że bramy raję ciągle stoją otworem.
Leżąc ufnie u mojego zebra
zapomniałaś o wygnaniu i potopie,
ale już za chwilę upadną ciężkie krople czasu,
błyszczyący topór słońca odetnie jabłko...

Spadając z drzewa smu
odkryjesz tragiczne prawo grawitacji.
A może wolisz pokonując strach uciec
do najbliższej gwiazdy?
Ziemia czeka na ciebie nieubłaganie
i ty testujesz do niej
od horyzontu do horyzontu.
W jej wnętrzu zatrzyma się wahadło naszego życia.



JADWIGA JOANNA KRZYŻANOWSKA

MÓJ DOM NIEPEWNY

MIRA lat 8

Mam siostrę bliźniaczkę, która ma na imię Asia. W szkole uczę się lepiej od Asi, ale w domu myślą, że jestem gorsza. Mieszkamy u babci. Tatuś odwiedza nas w niedzielę i więcej bawi się z Asią, bo ona jest podobna do niego. Dlatego tatuś daje jej więcej pieniędzy na książeczkę SKO. Asia ma już 180 złotych na książeczkę, a ja tylko 80 złotych. Do szkoły wszystko kupuje nam mamusia, chociaż przyjeżdża bardzo rzadko. Wtedy chodzi z nami po sklepach, kupuje kaptcie, zeszyty, piórniki, a tatuś kupił tylko raz landrunki, gumę do żucia i dwie książki. I więcej nic. Najwięcej kocham swoje dwie starsze siostry Zosię i Misię, ale ich dawno nie widziałam. Stasia nie lubię, bo to nie jest tatusia dziecko. Wiem to od mamy i od taty. Mamusia nie mieszka z tatusiem, bo oni chcą wziąć rozwód. Ja tego nie chcę, bo wtedy dzieci są w biedzie. Gdyby rodzice się rozwiedli, to ja chciałabym mieszkać z mamą, bo bardzo kocham mamę. Jestem nawet do niej podobna. Asia niech mieszka z tatą, bo ona kocha tatę. Najlepiej byłoby gdyby wszyscy mieszkali razem.

ANIA lat 9

Dlaczego nie mam prawdziwego domu? Mam mamusię i tatusia też. Ale on pogniewał się i teraz mieszka z inną panią. Z naszego domu zabrał meble i książeczkę oszczędnościową. Gdy tatuś mieszkał z nami, często były kłótnie. Tatuś bił mamę. Ona krzyczała. Wtedy bił ją jeszcze bardziej. Gdy byłam niegrzeczna to i mnie się dostało lanie. Teraz jest spokojniej. Gdyby miało być jak dawniej, to nie chcę, żeby tatuś wrócił. Czasami widuję się z tatą. Prowadzi mnie wtedy do mieszkania tej swojej pani. Tam jest bardzo brudno i hałaśliwie. Ta pani jest prostytutką. Nie wiem co znaczy to słowo, ale mama tak mówi, a ona wie...

PAWEŁ lat 15

Kocham oboje rodziców. Nie wyobrażam sobie domu bez któregośkolwiek z nich. Teraz, gdy dowiedziałem się, że matka chce nas porzucić, wydaje mi się to takie straszne jak trzęsienie ziemi. Boję się myśleć, co będzie dalej. Nie wiem, z kim chciałbym zostać. Moje zdanie nie będzie obiektywne, ale za klęskę rodziny winię matkę. Była niewierna ojcu już od lat. Pamiętam, że chodziłem jeszcze do przedszkola, jak ten pan podwoził ją swoim samochodem pod dom. A teraz te spotkania stały się tak częste, że więcej widzę matkę z tym facetem niż z ojcem. Nie dziwię się ojcu, że pije. W takiej sytuacji co mu zostało? Stary nerwowo nie wytrzyma sytuacji, jaką spowodowała matka i pragnie zapomnieć... Czy ojciec jest złym człowiekiem, jak to widzi matka? Nie, na pewno nie. Jest wybuchowy. Łatwo wpada we wściekłość, ale wtedy tylko pokrzyczy, czasem potrząśnie mamą lub mną, ale nie bije nigdy. Moim życiem szkolnym interesuje się bardziej niż matka. Często pomaga mi w odrabianiu lekcji. W niedzielę zawsze gotuje obiad, a i w tygodniu częściej on robi posiłki niż matka. Ale matkę, mimo to, zwykle usprawiedliwiałem. Podziwiałem jej przeważnie pogodny, życzliwy ludziom charakter, cierpliwość w czasie awantur wywoływanych przez ojca. Ona ma styl i jest wciąż taka ładna. Tak umie zjednać sobie sympatię ludzi, moją też. A przecież nie mogę jej darować jednego. Kiedyś przypadkowo podsłuchałem, jak mówi do ojca: „Ja Pawłem opiekowałam się, gdy był mały, to teraz wychowuj go dalej sam. Ja go nie wezmę z sobą, bo nie chcę. Zabiorę tylko Agnieszkę”. Nigdy żadne słowa pod moim adresem nie zabolowały mnie tak, jak to wyznanie matki, że mnie nie chce.

AGNIESZKA lat 14 (siostra Pawła)

Jestem zorientowana w sprawie rozwodowej swoich rodziców. Kocham zarówno ojca, jak i matkę. Ale więcej serca mam dla ojca. Jestem przekonana, że główną winowajczynią w rozpadzie mojej rodziny jest matka. Ma już od daw-

na kochanka. Ten pan od lat przychodził do domu, gdy nie było ojca. Wiem, że ma własną żonę i dzieci. Pewnego razu ta kobieta była w naszym domu razem z trojgiem maluchów. Chciała im pokazać panią, która zabrała im ojca. Boże, jak mi było przykro z tego powodu. Ale mama jakby się wcale nie wstydziła. Powiedziała do tej kobiety: „My z pani mężem kochamy się od lat. I to się na pewno nie zmieni. Musi się pani z tym pogodzić”. Maluchy gapiły się tylko okrągłymi ze strachu oczami. Może sądziły, że będzie wielka awantura w stylu włoskich filmów? Ale do bitwy nie doszło. Obie panie wycofały się po krótkim chłodnym dialogu.

Po tym fakcie mama rzadziej spotykała się ze swoim panem w naszym domu. Za to ciągle pracowała po godzinach. Ja już wiem co to za nadgodziny! Ona wraca z nich uśmiechnięta, pachnąca, bardziej elegancka niż zwykle, potem długo się kąpie w łazience, cicho śpiewa. Gdy wychodzi w szlafroku pełnym falbanek tato, już pijany, wyzywa ją wulgarnymi słowami, na które sobie zasłużyła. Ona tylko ironicznie mruży te swoje piękne, duże oczy, uśmiecha się zagadkowo, nie próbuje się bronić. Ojciec obiecuje, że jeśli mama zerwie z tym panem i pogodzą się to on nie będzie pił. Ja mu wierzę. Ale matka nie chce... Wiem, że w przypadku rozwodu matka chce mnie zatrzymać przy sobie, a Pawła zostawia ojcu. A ja nie chcę być z nią, chociaż mimo wszystko jakoś tam ją kocham. I za nic nie chciałabym tego rozwodu...

MARTA lat 16

Moi rodzice wnieśli pozew o rozwód. Zawsze mówili, że pobrali się z miłości. A ja tej miłości nie dostrzegałam wcale. Wiecznie konflikty, awantury, ciche dni i to przeważnie z powodu pieniędzy — oto najczęstsze sytuacje w dwudziestowiecznej love story Romea i Julii. O mojej matce sąsiedzi mawiają z uznaniem, że jest gospodarna; ja sądzę, że jest oszczędna, a ojciec twierdził, że bywała wprost „skąpa jak Harpagon”. Klasyczny przykład teorii względności.

A może ojciec miał rację, gdy opowiadał, że matka była dla niego dobra i miła zazwyczaj na kilka dni przed pierwszym? Bowiem, według sugestii ojczulka, chodziło jej o otrzymanie w całości pensji. Potem doprowadzała do kłótni i „rzucała” mu wówczas odliczone pieniądze na jedzenie. Pamiętam jak sam kupował dla siebie jakieś produkty żywnościowe, układał je na osobnej półce w lodówce i milczący chodził spać do oddzielnego pokoju. Tak działo się wiele razy w ciągu roku. Mimo to panował względny spokój. Aż tu ojciec zaczął przychodzić do domu podchmielony. Nawet lubiłam go w takie dni. Był rozkosznie i głupio wesolutki, co ciekawie kontrastowało z jego codzienną powagą i służbowym dostojeństwem. Opowiadał zabawne anegdotki, zwierzał się z ciekawszych sytuacji życiowych. A mamę szlag trafiał. Nie cierpiała ojca w stanie rausza.

Zamknięta w swoim własnym, egocentrycznym światku dzieciństwa nie w porę dostrzegłam, jak bardzo pusto jest bez ojca, jak zmieniła się na niekorzyść barwa mojego życia. Do niedawna poświęcał mi bardzo dużo czasu. Pomagał w nauce, zwłaszcza w kłopotach z utrapioną matką, prowadził na pływalnię, organizował rozrywki. Uwielbiałam wyjazdy z nim na narty. Szaleństwa w salonie gier, wygłupy na lodogryfie. I oto koniec. Niekiedy wpada mój dawny dobry ojciec; zażenowany i niespokojny wręcza mi jakiś prezent i szybko znika. Teraz już wiem, że odszedł do innej ko-

biety. To jest tak, jakby umarł. Nie potrafię wyzwolić z siebie radości, gdy go widzę w chwilach krótkich, podczas coraz krótszych wizyt. Nie cieszę się z drogich, coraz droższych upominków. Czy ojciec sądzi, że w ten sposób zrównoważy mi to, że nas zdradził? Po raz pierwszy staję się solidarna z matką i mówię „nas”, choć do niedawna „my” to był zupełnie inny duet.

Po odejściu ojca dziwnie obce stały mi się dotychczas ważne sprawy. Na przykład szkoła. Z wyjątkiem matematyki nie sprawiało mi nic trudności. Ojciec wpajał we mnie nawyk pilności i systematyczności. A teraz krach na giełdzie tych wartości. Gwiżdżę na szkołę, na towarzystwo, na zmurszałych belfrów. Nic mi się nie chce. Mój ostatni gest, w którym czułam, że robię coś z sensem, to było połknięcie tabletek... a potem jakiś dziwnie obojętny bezruch, dziwnie obcy chaos... Nic mi się nie chce... Nawet lektura przestała być moim hobby. Jakby nagle wypłukano z niej wszelki sens. Może to choroba psychiczna?

ZBYSZEK lat 17

Co myślę o rozwodzie rodziców? Godzę się i nie uważam, żeby to było niesłuszne, przynajmniej w tym znanym mi przypadku. Chociaż z zasady jestem przeciwny rozwodom. Patrząc przez pryzmat moich siedemnastu lat na ojca, widzę wyraźnie jego wady i zalety. Nie cierpię jego konformistycznej postawy. Pragnie zawsze być w zgodzie z otoczeniem, unika konfliktów, ale w związku z tym wydaje mi się ciągle zakłamany. Inne poglądy głosi w domu, inne gdy przyjdą jego koledzy, na których mu zależy, jeszcze inne, gdy jest w towarzystwie szefów. Ja wiem, że w naszych układach rodzinnych ojciec ma prawo cenić spokój, stabilność. Może dlatego unika silnych wrażeń, ryzyka i szerokich kontaktów towarzyskich, że nasz dom jest taki niepewny, chwiejny, rozdygotany. Niełatwo żyć u boku kobiety, o której delikatnie się mówi, że jest niezrównoważona emocjonalnie, przejawiająca skłonności samobójcze i histeryczne. A to jest po prostu wariatka. I jest moją matką. I taka jest prawda, że trudno z nią wytrzymać.

Wiem, że matka na zewnątrz robi dobre wrażenie. Jej choroba dla obcych jest prawie niedostrzegalna. Na swoim stanowisku wywiązuje się w pracy doskonale (posiada wykształcenie wyższe). Przy obcych reprezentuje wysoką kulturę; jest dobrze ułożona, delikatna, wrażliwa. Wydaje się zrównoważona, opanowana, bezkonfliktowa.

A w domu? Odnoszę wrażenie, że w zależności od stopnia nasilenia choroby, zrywa kolejne maski. Nie ma już matki miłej, czulej, tkliwej, subtelnej. Nagle wyłania się despotyczny, sadystycznie bezwzględny potwór. Nie uznaje żadnych kompromisów. Używa wulgarnego słownika, stosuje przemoc fizyczną w postaci bicia, duszenia. Boję się wtedy o małą Martę, która ma dopiero cztery lata i po każdym większym spięciu w domu przez dwa dni mruga oczami. Jest to podobno objaw nerwicowy, gdyż lekarz okulista nie stwierdził u małej żadnej wady wzroku. Ojciec jest opiekuńczy wobec Marty. Dużo się nią zajmuje, chodzi na spacer, odprowadza do przedszkola, prawie codziennie przynosi jakąś nową zabawkę. Matka, która uważa, że zna lepiej od ojca teorię wychowania dzieci twierdzi, że w ten sposób ojciec kupuje miłość córki, a jednocześnie wyrabia u małej postawę żądającą ciągle czegoś nowego. Może to prawda, ale ja wiem, że w taki sposób ojciec pragnie odwrócić uwagę dziecka od tych scen, których nie szczędzi

w atakach hysterii matka. Wiem, że te ataki to nie zła wola, lecz choroba.

Czytałem kiedyś odpis badania psychicznego matki. Wynikało z niego, że jest ona osobą o wysokim poziomie intelektualnym. Dominuje u niej jednak inteligencja praktyczna. Jej choleryczny temperament sprawia, że szybko się podnieca, wybucha, tym samym łatwo wpada w konflikty. Jest bardzo obraźliwa. Emocje dominują w jej życiu i nie są kontrolowane intelektem. Uczuciowość matki ma podłoże popędowe (popędy infantylne z wcześniejszego okresu życia, niedojrzałe, egocentryczne). W stosunku do ludzi ma postawę neurotyczną. Bardzo jej zależy na ludziach, ale jednocześnie boi się ich; swoją wewnętrzną niepewność pokonuje poprzez agresję. Posiada silnie zaznaczoną potrzebę seksualną. W dążeniu do jej zaspokojenia brak jej czasami racjonalnych hamulców, brak właściwej samokontroli. Ogólnie psychogram Roshacho wskazuje, że badana jest osobowością wybitnie histeryczną.

Widzi pani? Z tego zakazanego papierka, nielegalną drogą zdobytego przez ojca, wyuczyłem się danych o matce jak trudnej lekcji. A mimo to wielu spraw nie rozumiem i nie potrafię opanować u siebie nerwowego drżenia, gdy jestem świadkiem „ataków” matki. Wiedza o stanie jej psychiki nie pomaga mi wcale łatwiej znosić jej biegania po mieszkaniu, teatralnych gestów, krzyku na najwyższych obrotach ani pogroźek samobójstwa. Nienawidzę napadów płaczu to znów czułości; denerwuje mnie kapryśność zachowania...

Nie rozumiem ojca, dlaczego nie chce zgodzić się na rozwód. Dlaczego mimo dowodów zdrady małżeńskiej ze strony żony (Marta nie jest jego dzieckiem) i jej trudnego usposobienia, nadal twierdzi, że ją kocha i pragnie walczyć o zachowanie małżeństwa. Dziwię się, że mógł po tylu latach udreki nie oswoić się z tym nieodwracalnym faktem, że z matką nie można wytrzymać. Może on w głębi serca jest mięczakiem i dlatego jeszcze potrafi płakać na melodramatycznych filmach, które mnie tylko śmieszą?

A może to ja odziedziczyłem po matce nieprawidłowość w reagowaniu na bodźce? Gdyby tak nie było, to czy potrafiłbym patrzeć bez wzruszenia na seryjne dolegliwości matki takie, jak: bóle głowy, bicie serca, duszności, omdlenia, torsje, niedowład części ciała, drgawki, bóle nerek, wzrost lub spadek ciśnienia, itd? Gdybym był dobrym synem, to czy powinienem chodzić na wesołe zabawy po kolejnych aktach samobójczych matki? Dwukrotnie truła się gazem (pokazowy numer teatralny dla sąsiadów). Wielokrotnie próbowała wyskoczyć przez okno (rodzajowe sceny przeznaczone dla najbliższej rodziny). Próba ratunku wyzwalała w niej agresję, a więc stosowała rękoczyny, wyła nieludzkim głosem, autentycznie lub na zasadzie mowy do głuchej słuchawki dzwoniła na pogotowie ratunkowe, milicyjne i oczywiście do swojego „tatusia”. Rzucała na oślep różnymi przedmiotami, itp. Po każdym napadzie szalu, o ile wyrządziła komuś z domowników szkody cielesne, była skłonna do przeprosin (piękny numer teatralny z padaniem na kolana, łzami, efektowną modulacją głosu). Oswoiłem się już z tymi wiecznymi awanturami, ale są chwile, że myślę, z okrutnym brakiem serca, o tym, że dla wszystkich byłoby lepiej gdyby ta kobieta, która mnie kiedyś urodziła, odeszła na zawsze. Dokądkolwiek. Była nie wracała w chwilach, gdy mała Marta tuliła się do ojca, całuje jego zmęczone oczy. Była nie szydziła ze swego męża w ten sposób: po co ty się z nią tak bawisz, przecież to nie twoje dziecko!!! Była nie karciała mnie wciąż tymi samymi pustymi słowami: Jaki ty jesteś podły, bez serca!

JÓZEF BURSEWICZ

Droga

*Wiele liści upadło na ziemię
Wiele minut zastygło na ścianie
A ja mijam te chwile z uśmiechem
Bo nie takie jest straszne mijanie*

*Czarne szarfy ktoś zsyła radościom
I w purpurowe owija troski
Tylko przez kontrast śliczne są drzewa
Które się mija jak mądre wnioski*

*Tak człowiek idzie kładką szeroką
Nad rozśpiewanym zielonym światem
Ażeby zginąć jak szept motyla
Jak mleczej chmury leciutki płatek*

*Lecz końca drogi jedna jest wada
Że śnić nie można o tym co było
I to że człowiek w grobie nie słyszy
Dźwięku łopaty nad swą mogiłą.*

W tesalskim cieniu

*Siedziałem od świtu
Patrząc na ciebie z pamięci
Moje kościoły stapały czerwienią
Z zielenią lipca*

Było żółto od słońca

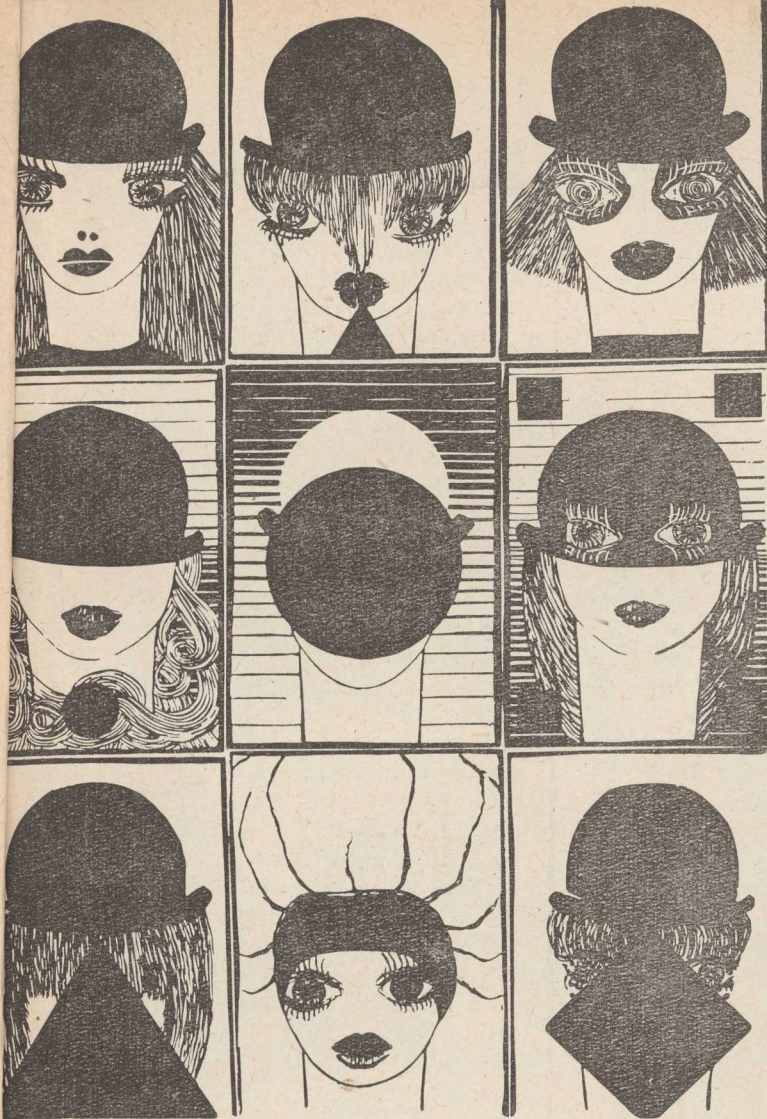
*Mario boska wypływająca z fal jeziora
Przepoconego ludźmi*

*Mario ludzka rozpluwająca się nocą
Pozostałaś we mnie
Jak ostre szkło*

*Wyniosę ciebie na ołtarze drzew
Skąd bez skrzydeł nie odfruniesz
Jak gołąb hrabiego Edwarda
W pokryte cudzym mchem
Tapczany*

*Tarabany nie zakłócaj twych kroków
Bo choć idziesz gdzie indziej
Idziesz do mnie*

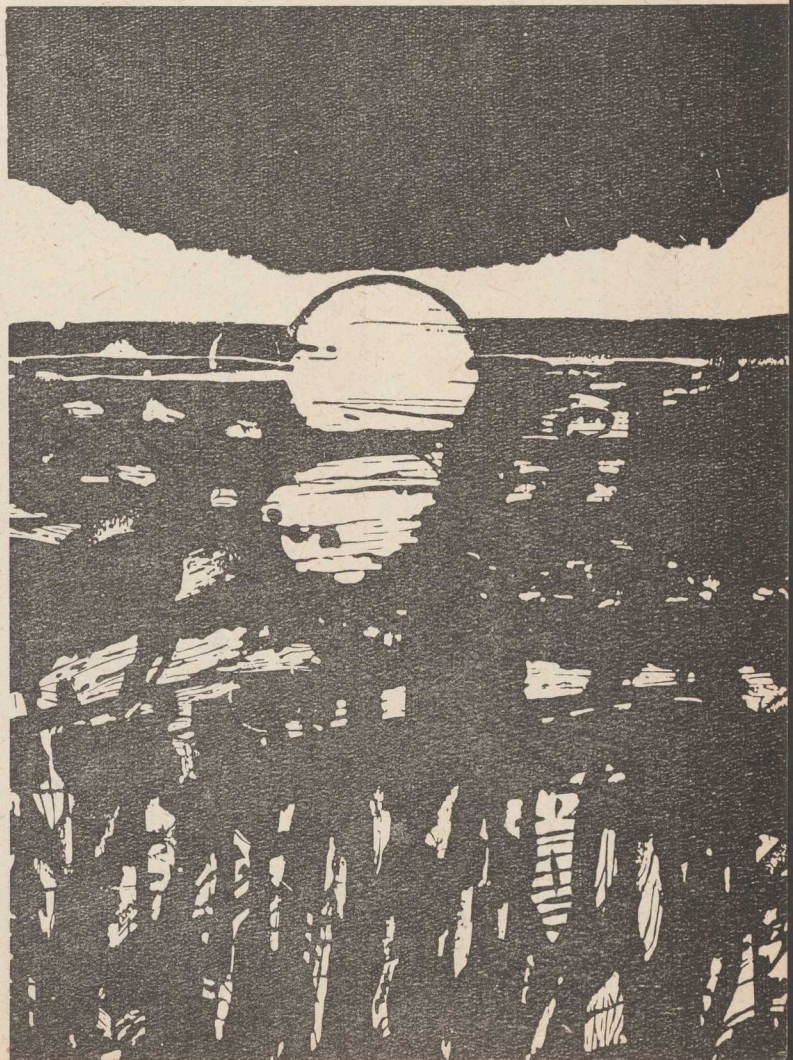
*A kiedy jak Dafne
Zamienisz się w krzak wawrzynu
Zerwę dla siebie gałązkę*



IZABELLA LAUBE, cykl linorytów, III nagroda w konkursie „Konik Morski '79”



fol. W. Termanowski



Słońce nad Tirich mirem

TADEUSZ
PIOTROWSKI

Oślepiająca biel rozmigotanego iskrzącymi się kryształami śniegu. Na soczystym błękitnie nieba zawieszona nieruchomo paląca kula słońca. Wzdłuż ostrza śnieżnej grani rząd równo odmierzonych, głębokich, prześwietlonych niebieską poświatą, śladów wznoszących się jednostajnym, monotonnym rytmem ku górze, niknącym za krawędzią uskoku. Wyżej już tylko granat nieba. A w dole, nisko, nieprzebrane mrowie szczytów otulonych lodowym pancerzem spowitych w zwiewne opary porannych mgieł snujących się nad głęboko wciętych dolinami, wypełnionych pobrużdżonymi cielskami lodowców. Dzikie, pierwotne piękno górskiego pejzażu.

Z obozu trzeciego, leżącego na wysokości 6300 metrów nad poziomem morza, wyszliśmy przed godziną dziewiątą rano. Mimo znacznej wysokości i wczesnej pory dawało się już we znaki dokuczliwe słońce. Na niebie ani jednej chmurki — dobra wróżba na najbliższe dni. Dobra pogoda była nam niezbędną do realizacji zakreślonego wcześniej planu. Nieskazitelną błękit nieba umacniał w przekonaniu, dodawał animuszu i pewności siebie. Przyszłe dni rysowały się w różowych barwach.

Szliśmy z zamiarem dokonania trawersu masywu Tirich Mira, najwyższego szczytu Hindukuszu. Zamysł był prosty — bardziej skomplikowana jego realizacja. Mieliśmy założyć obóz czwarty, gdzieś powyżej 7000 metrów, następnie wejść na Tirich Mir Wschodni (7692 m), zejść na leżącą za nim przełęcz i wspinać się na najwyższe wzniesienie masywu Tirich Mira (7706 m) i wynaleźć zejście nieznaną trasą do sąsiedniej doliny. Tysiące metrów niezbadanego terenu, nierozpoznane przeszkody i zasadzki, pytania, na które brak jeszcze odpowiedzi.

Słońce paliło w pochylony kark. Spod kasku spływały drobne strużki potu, wciskając się szczypiącym bólem w kąciaki oczu, osłoniętych ciemnymi szklami przeciwsłonecznych okularów, nieustannie zachodzących mgłą skropionej pary wodnej. Chłód wiecznych lodów w najmniejszym stopniu nie łagodził dokuczliwego żaru, a wręcz przeciwnie — był mu jeszcze sprzymierzeńcem. Odbite od bieli śniegu słoneczne promienie atakowały ze wszystkich stron.

Nie było przed nimi schronienia. Najbliższy powiew wiatru nie orzeźwiało rozpalonego ciała.

Jednostajny, powolny rytm podejścia przerywały krótkie chwile odpoczynku. Kilka głębokich wdechów, przetarcie zamglonych okularów, poprawiony na ramionach plecak i jeszcze trochę bezruchu, zapatrzenia, i ponowny marsz w górę, wyżej i wyżej. Wbity w śnieg czekan, dwa — trzy kroki, ponowny wyrzut ręki i znów stylisko czekana zagłębia się w miąższ śniegu. Lekkie poddanie ciała ku przodowi i powielone ruchy nóg. Zyskany metr wysokości. A do szczytu jest ich jeszcze tysiąc trzysta... w pionie.

Sapiąc, wyostałem się ponad śnieżną krawędź. Kilka kroków i wtoczyłem się na rozległy taras, przecięty w poprzek ciemną krechą przeddeptanej ścieżki. Ślad pracy kolegów, którzy wczoraj dotarli do tego miejsca i pozostawili tu przyniesione rzeczy.

Spocone ciało owinał chłodny powiew wiatru. Mokra koszula przylgnęła do pleców mokrym kompresem. Z plecaka wyciągnąłem pospiesznie sweter. Dokuczliwy upał był już tylko wspomnieniem.

— Przepakujemy plecaki — zarządził Jurek. — Każdy dobierze sobie trochę z tego — pokazał ręką na zawinięte w namiot przedmioty.

Bez entuzjazmu dokładałem dodatkowe kilogramy. Dotychczas szliśmy wygodnie, jak na turystycznej przechadzce. Mieliśmy przetorowany szlak, a dźwigane brzemie nie było zbyt ciężkie, tylko 15 kg. Będzie gorzej. Paciorki wtłoczonych w śnieg śladów urywały się w połowie stromego podejścia tuż nad tarasem. Dalej był już nigdy nie ruszony ludzką stopą bezmiar śnieżnej bieli.

Z trudem zarzuciłem plecak na ramiona. Poszedłem w ślad za oddalającymi się kolegami. Wiatr stawał się coraz silniejszy. Lodowate technienie swobodnie przenikało przez sweter, mroziło gołe dłonie. Na tarasie było jeszcze ciepło — rękawice zdawały się zbędne. Zostały w plecaku. A teraz chętnie wdziałbym je na zziębnięte ręce.

Pod rękami coraz częściej zgrzytał twardy lód, powłoka śnieżna stawała się coraz cieńsza, miejscami zanikała ukazując ciemne łysiny krystalicznego podłoża. Było

stromo. Łatwe podejście poczęło niepostrzeżenie zmieniać się we wspinaczkę. Należało już zwracać baczną uwagę na wykonywane czynności.

Zdjęcie plecaka i grzebanie w nim było w tych warunkach kłopotliwe. Wolałem marznąć niż zadawać sobie dodatkowy trud. Od czasu do czasu rozcierałem tylko skostniałe dłonie i uparcie parłem do przodu, aby jak najszybciej wydostać się na bardziej połogi teren. Stopniowo przegrywałem jednak wyścig z chłodem. Zaciśnięta na czekanie dłoń martwiała. Pod paznokcie wbiły się kłujące igły mrozu. Wiatr sypnął po gołym ciele śnieżną krupą. Lodowa skorupa przywarła do skóry. Dałem za wygraną.

— Zaczekajcie! Muszę wyciągnąć rękawice! Nie czuję rąk!

Sunąca jednostajnie po śniegu żółta lina znieruchomiała. Wyrąbałem wygodny stopień i ostrożnie zsunąłem z ramion brzemię. Przyciskając kolanem do stoku plecak zanużyłem w jego wnętrze chciwe dłonie. Wymacałem szorstką wełnę rękawic. Głębiej trafiłem na gładki ortalion przeciwwiatrowego skafandra.

Godziny upływały w mozolnym trudzie. Ciężar dzwiganego plecaka skutecznie hamował tempo podejścia. Połoga grań nie nastroczała żadnych trudności technicznych. Rozległe pola lodowe przecinały od czasu do czasu strome uskoki. Było to jedyne urozmaicenie terenu. I był tylko uporczywy marsz w górę...

Przed południem doskwierał upał, bo przed wiatrem osłaniała lodowa grań, poniżej której wiodła trasa wspinaczki. Pot zalewał oczy, wyschnięte gardło domagało się łyku wody, rozpalona twarz pałała ogniem. To zaledwie trzy godziny temu. A teraz byliśmy już skazani na walkę z mrozem i wiatrem. Na błękitnym niebie świeciło to samo słońce, stojące jeszcze wyżej, a przecież jego ciepło było już zupełnie niewyczuwalne. Wystarczył silniejszy podmuch wiatru, aby góry pokazały swe prawdziwe oblicze, aby przysł złudny obraz sielanki. Pozostała mroźna i wietrzna rzeczywistość.

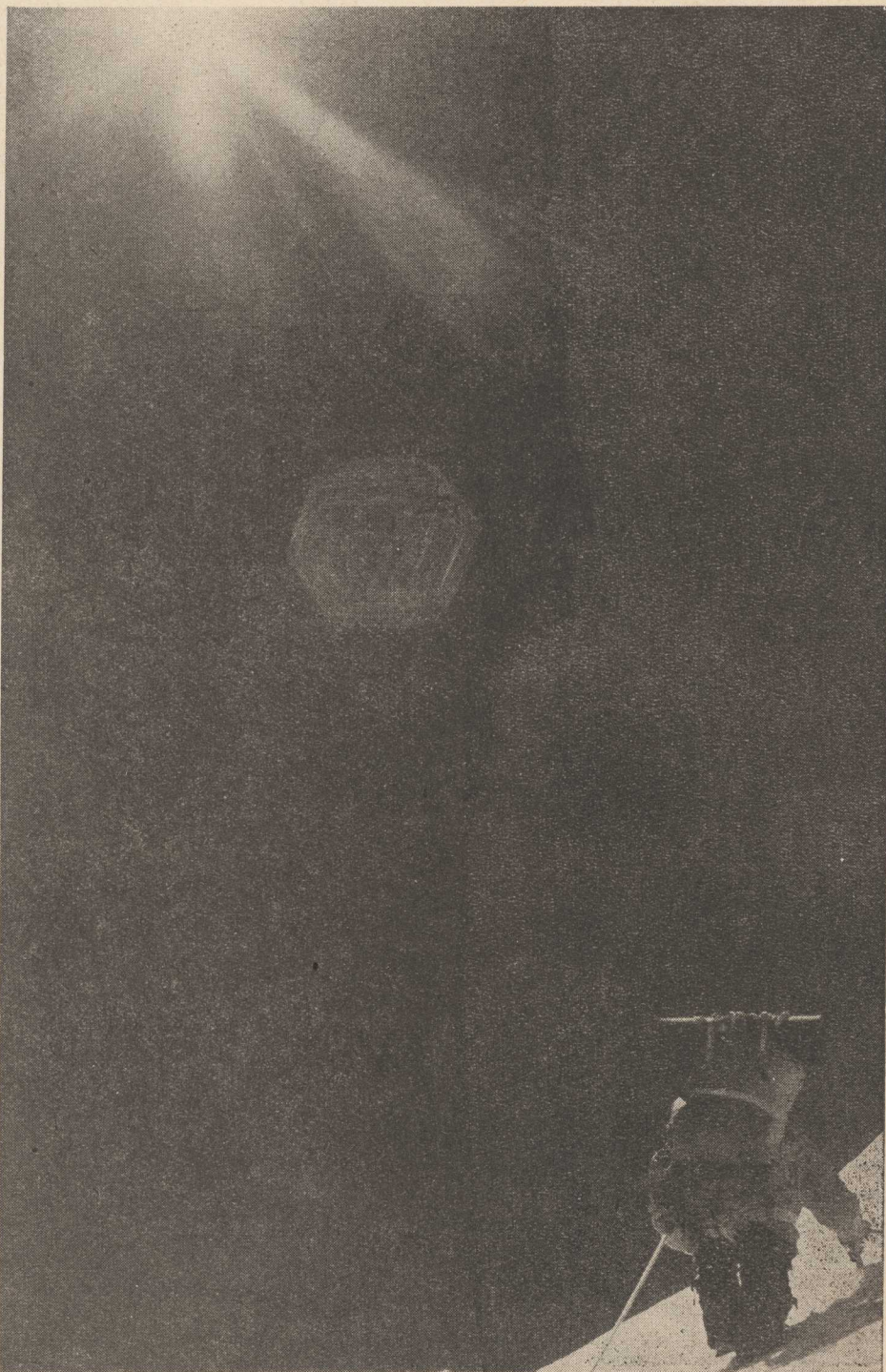
Słońce skryło się za postrzępioną grań dalekiego Hinduradzu. Niebo zapłonęło bladą czerwienią. Lodowaty cień spadł na góry. Po-

nad półmrokiem doliny płonął złościstym blaskiem samotny Tirich Mir.

Zrobiło się jeszcze zimniej. Nad martwym pustkowiem zawodził jękliwie wiatr, zmiatając z powierzchni lodowe kruszywo. Zgrzyt raków miażdżących twarzą powłokę i głośnie sapanie zmęczonych ludzi wdzierało się obcym wtętem w odgłosy przyrody. Szliśmy w milczeniu, zasłuchani w siebie, we własne zmęczenie. Tylko oczy niespokojnie omiały lodowe stoki, wypatrując jakiegoś załomu, splachetka czegoś po-

ziomego, zdatnego do ustawienia namiotu. Przecieliśmy izohipsę wyznaczającą wysokość 7000 metrów. Należało gdzieś tutaj założyć kolejny obóz, już czwarty. A dookoła jednostajnie nachylony stok, połyskujący plamami lodu. Może wyżej, nad krawędzią ściany opadającej tysiącmetrowym pionem wprost na lodowiec Barum? Wiadać jakieś garby, wypiętrzenia.

Nie było jednak poziomej półki, gotowej na przyjęcie szmacianej chatki. Trzeba było wziąć się do rąbania. Poszły w ruch czekany. Trysnęły gejzery śnieżnych okru-





chów. Przed oczami zawirowały ciemne płatki. Rozedrgane płuca z trudem chwytaly powietrze. Nie można tak szybko, tak gwałtownie... To już 7100 metrów. Brak tlenu. Spokojniej, wolniej...

Zgasły ostatnie odblaski dnia. Czubek Tirich Mira spowił cień. Zapadł zmrok. W pośpiechu, w ucieczce przed wiatrem i zimnem, wcisnęliśmy się we wnętrze namiotu. Potworna ciasnota. Dwuosobowe „Karpaty” to trochę zbyt mało, aby dać wygodne pomieszczenie trójce osób. Najprostsza czynność wymagała skomplikowanych zabiegów, współudziału wszystkich lokatorów tej śmiesznie małej chatki.

Sen nie nadchodził. Leżałem wciśnięty między nogi Michała i Jurka, wtłoczony w tylną absydę. Tuż przy twarzy miałem zbiegające się ścianki i dach namiotu. Brak przestrzeni, powietrza. Wiatr uporczywie szarpał płótnem, tłukł o ścianki lodowymi drobinami. Zapadałem w krótkie chwile niepamięci, jakiegoś odurzenia. Budziłem się z uczuciem duszności, ucisku piersi. Leżałem zdrętwiały z niemożności zmiany pozycji, otumaniony niedostatkiem tlenu. Noc

wlokła się w nieskończoność. Świt miał być wybawieniem z udręki.

Marazm porannych przygotowań do wyjścia. Półsenne trwanie nad ledwo pełgającym palnikiem. Niekończące się oczekiwanie na łyk ciepłego napoju. Godziny przesączające się przez palce, rozlażle w niemożności przyspieszenia.

Pobudka była o godzinie piątej, wyszliśmy dopiero po godzinie dziewiętej.

Plan akcji mieliśmy przygotowany od dawna. Wiedzieliśmy, co mamy ze sobą wziąć i w jakiej ilości. Operację chcieliśmy przeprowadzić „na lekko”, w stylu alpejskim. Nie był przewidziany namiot ani śpiwory. Zabezpieczenie przed zimnem miały stanowić kurtki puchowe, leciutkie płachty termoizolacyjne i materacyki piankowe. W plecakach znajdowała się żywność na trzy dni, paliwo butanowe, sprzęt wspinaczkowy i zapasowa odzież. Mimo maksymalnej redukcji obciążenie wynosiło po 15 kilogramów.

Kolejne pola lodowe i uparty marsz przed siebie, coraz wyżej. Teren zupełnie prosty, łatwy. Trudności techniczne, niebezpieczeństwa, balansowanie na piono-

wej skale, finezyjna wspinaczka — to wszystko było gdzieś tam w dole, poniżej trzeciego obozu. Teraz droga do szczytu stała już otworem. Pozostał jedynie marsz i walka ze zniewalającą wolę wysokością, z niedostatkiem tlenu, z własną słabością. Jeszcze będziemy mogli spotkać się z trudnościami i niebezpieczeństwem w czasie zejścia ze szczytu, po przeciwnej stronie góry. Ale to będzie później.

Podszczytowe plateau. Chwila wytchnienia. Schronienie przed wiatrem. Nad obu wierzchołkami białe, zwiewne pióropusze. Daleki, głuchy szum. Wiemy, co to znaczy. Spoglądamy na siebie z niemym pytaniem — wlec ze sobą plecaki, czy może lepiej cisnąć je tu, poddać się, zrezygnować ze śmiałego planu, zadowolić się tylko wejściem na Tirich Mir Wschodni, wytyczeniem nowej trasy — długiej i bardzo trudnej, zapomnieć o trawersie?

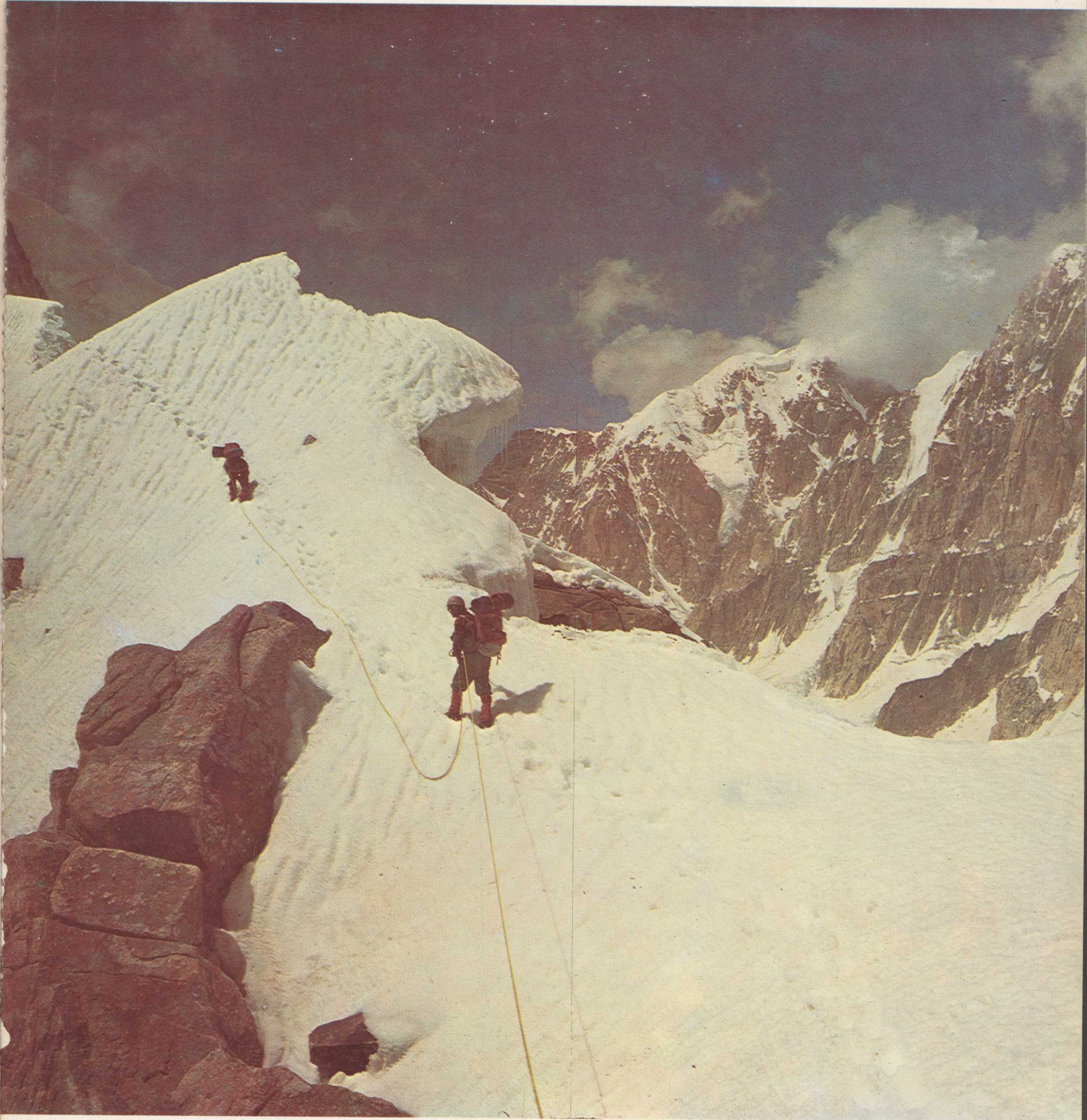
Nie było nawet dyskusji — ot, luźna wymiana zdań, uwag. Plecaki powędrowały na ramiona. Musimy spróbować! Była to nasza jedyna szansa. Może w okolicach przełęczy znajdą się jakieś szczeliny, pęknięcia, osłonięte od wiatru załom, gdzie znajdziemy schronienie na nocne godziny?

Grań szczytowa. Twardy, wygładzony wiatrem lód. Migotliwe słoneczne rozbliski. I już nie wiatr, a nawałnica, atakująca zajądło, podstępnie, bezustannie. Wgryzające się w każdą cząstkę ciała zimno. Drętwiące stopy, z których uleciała resztką ciepła. Lodowe sopte zwisające z wąsów, oblepiające brodę. Szeroko otwarte usta spazmatycznie chwytające rozpedzone powietrze, smagające lodowym biczem twarze.

Coraz bardziej ciężące brzemie plecaka, spowolniony chód, zwolnione ruchy i niespokojne spojrzenia rzucone w górę — jak jeszcze daleko? Pustka w głowie. Uleciały gdzieś myśli o tym, co będzie, co przygnało nas tutaj. Tylko automatyczne, wyuczone ruchy nieustannie powielane. Chrobot raków, stuk czekana, ryk wichury...

Zbitą gromadką wtoczyliśmy się na rozległą kopułę wierzchołka. Z głuchym chrzęstem spadły z ramion plecaki. Ściskamy sobie dłonie. Jest pierwsze zwycięstwo. Przed nami stało w tym miejscu tylko dwoje ludzi. Było to dawno,

fot. Tadeusz Piotrowski



fot. Tadeusz Piotrowski



przed czternastu laty. Dwóch wspinaczy norweskich, pierwszych zdobywców tego wierzchołka. Pokonali południowo-wschodnią ścianę — my przeszliśmy wschodnią grań. Stało się to 10 sierpnia 1978 roku, o godzinie 16.

— Zrób zdjęcie — domagał się Michał. Stał z przytwierdzonymi do czekana kolorowymi proporczykami — pakistańskim, polskim i jugosłowiańskim. W uniesionej gestem zwycięzcy ręce dzierżył drzewce z łopocącymi chorągiewkami.

— Daj mi spokój — ofuknąłem go. — Aparaty mam w plecaku. Jest potwornie zimno!

Żał mi było utraty tej odrobiny energii, którą musiałbym wyzwolić. A na samą myśl, że konieczne byłoby zdjęcie rękawic, cierpła skóra na plecach.

— Nie ociągaj się — przynagli. — Po cholere przydzwigales ze sobą cały arsenał. Mogłeś zostawić je na dole. Pospiesz się, bo zimno. Musimy mieć przecież zdjęcie ze szczytu.

No tak, na taką okazję wydzwigalem ze sobą aż dwa aparaty z dodatkowymi obiektywami, ważące co najmniej 4 kg. I kiedy miały być użyte, zabrakło mi odrobiny silnej woli. Dopiero Michał pobudził do działania. Suchy trzask migawki. Zmiana kamery. Jeszcze dookolna panorama. A później okazało się, że było to częściowo zbędne poświęcenie. W Pentaconie zamarzała migawka. Z koreksu wyciągnąłem czarny film.

Stałem odwrócony do wiatru plecami i spoglądałem na wyższy o 14 metrów główny wierzchołek Tirich Mira, nad którym kłębiła się biała zawierucha. Przez rozdzielającą oba szczyty przełęcz przewalała się z rykiem dzika wichura. Już wiedziałem, że dalej nie pójdziemy, że będziemy musieli zrezygnować z drugiej części ambitnego planu. Minus 25 stopni! Huraganowy wiatr i wypolerowana wkoło lodowa gładzina, bez jednego pęknięcia. Nie mieliśmy żadnych szans na znalezienie jakiegokolwiek osłony.

— Wracamy?!

Nikt nie oponował. Kontynuacja drogi byłaby szaleństwem. Biwak na tej wysokości, przy tak niskiej temperaturze i tak silnym wietrze zakończyłyby się ciężkimi odmrożeniami. Zabrakło odrobiny szczęścia. Gdyby nie było wiatru jak wtedy, na Noszaku... Odpędziłem wspomnienia, które przywołał widok wznoszącego się nad sąsiednią doliną szczytu, na którym byłem zimą przed kilku laty. Wtedy było minus 50 stopni...

Wiatr ostudził zapal, przygasił radość z dokonania. Było to tylko połowiczne zwycięstwo. Mierzyliśmy znacznie wyżej, dalej, chcieliśmy zdziałać dużo więcej. Byliśmy do tego dobrze przygotowani psychicznie i fizycznie. A mimo to trzeba było dać za wygraną. Mogliśmy zapłacić zbyt wysoką cenę. Jest przecież jeszcze tyle innych gór na świecie...

Tirich Mir pozostał za plecami. W twarz chlusnął prysznic lodowych igiełek. Ciężkim krokiem ruszyłem w dół grani, wprost w słoneczne rozbłyski migocące w lodowych zwierciadłach. Wysoko nad górami płonęło zimne słońce.

fot. Tadeusz Piotrowski



Do niektórych przyczepiają przewiska śmieszne lub nawet obraźliwe, do Piotra Przewoźnego przyłgnęło określenie „kulturalny”. Kulturalnym nazywali go i urzędnicy i studentki, i magistrowie, i jubilerzy, i nawet — sama pani depozytariuszka z Miejskiej Izby Wytrzeźwień. Niezbyt wysoki, o nijakich, choć regularnych, rysach twarzy, w przepisowo wyswiechtanych wranglerach i koszulce z pekao, porządnie przystrzyżony i wymanikiurowany, z układnym, chłodnym uśmiechem przylepionym do warg, na pierwszy rzut oka nie różnił się niczym od setek tych młodych ludzi, którzy bywają na przykład w dyskusyjnych klubach filmowych i w teatrach, a nawet, od czasu do czasu — na wystawach polskiego malarstwa współczesnego.

Przewoźny na takich wystawach rzeczywiście bywał, o czym może chociażby zaświadczyć fakt, że właśnie od wizyty na jednej z nich zaczęła się jego błyskotliwa kariera, która w takie pomieszczenie wprawiła nie tylko przeróżne organa, lecz nawet naukę polską — czy przynajmniej niektórych jej przedstawicieli.

Wystawa, od której wystartował, nie należała zresztą do szczególnie snobistycznych: była to ekspozycja prac artystów — amatorów. Tym niemniej Przewoźny zadebiutował na niej z klasą, na początek swe zainteresowania koncentrując na dziele o tytule skądinąd symbolicznym, a mianowicie — „Adam i Ewa”. Misternie w każdym szczególe przez artystkę — amatorkę obrobiony gobelin „Adam i Ewa” zniknął ze stelaża natychmiast niemal po tym, jak panią Michalinę P., dozorczynię wystawy, zawołano do te-

w pokoju były łóżka dwa. — Ja do pani współmieszkanki, chciałbym się dowiedzieć, kiedy wróci — rzekł, grzecznie się kłaniając. Dziewczyna równie grzecznie zaprosiła go do środka. — Krystyny jeszcze nie ma, ale o drugiej powinna być z powrotem, proszę zaczekać — powiedziała z miłym uśmiechem. I odwróciła się, by gościowi zrobić herbaty. Bardzo uprzejmie zaczął wobec tego z nią rozmawiać o tym, jakie ładne jest to miasto, zwłaszcza w oczach takiego jak on przybysza z drugiego końca Polski, i jakie ładne tutaj są dziewczyny — takie, jakich na uczelni, na której studiuje, niestety się nie spotyka. Krystyna nie nadchodziła i nie nadchodziła, wobec czego gospodyni przekazała „studenta” sąsiadce z pokoju obok, sama zaś, dość zresztą niechętnie, udała się na swoją lekcję muzyki. Sąsiadka również okazała się uprzejma, również odwróciła się, by Piotrowi przyrządzić herbatkę — i znowu popłynęła sympatyczna, kulturalna rozmowa o wszystkim i o niczym. A gdy wreszcie owa Krystyna się pojawiła, sąsiadka była na nią po prostu rozżalona, a nawet zła — lecz cóż, gościa oddać jej musiała. Krystynie oświadczył, że czeka na jej współmieszkanke, swoją dawną znajomą, która podobno wyszła niedawno na lekcje muzyki; jeszcze raz nastąpił ceremoniał przyrządzania herbatki i popłynęła jeszcze jedna kulturalna rozmowa, tym razem jednak jej zakończenie było nieco inne. Krystyna znajdowała się najwyraźniej w bojowym nastroju, wobec czego wkrótce potem wyszli oboje z bursy i pojechali taksówką na drugi koniec miasta, do kawiarni. Nastrój w tej kawiarni pano-

WSZYSTKO ZALEŻY

lefonu. Pani Michalina minęła się nawet w drzwiach z jakimś kulturalnie wyglądającym młodym człowiekiem, lecz przez myśl jej wówczas nie przeszło, iż człowiek o takiej aparycji może stać się sprawcą jakichkolwiek jej zmartwień...

W pół godziny od owej mijanki Przewoźny miał w portfelu półtora tysiąca złotych więcej, zaś jubiler Andrzej C. — oryginalny prezent dla swej narzeczonej. Do narzeczonej ów prezent nigdy wprawdzie nie dotarł, lecz Andrzej C. może winić za to tylko siebie, swoją własną pazerność. Rzecz w tym, że jubiler tak bardzo dumny był z tego, że udało mu się okpić jakiegoś naiwnego inteligencika, który przyciśnięty potrzebą, za psi pieniąż zdecydował się mu sprzedać cenną pamiątkę po swej ukochanej ciotce z Krakowa, iż czym prędzej pognął do „Desy”, aby dowiedzieć się, jaka jest faktyczna wartość „Adama i Ewy”. Niestety, w „Desie” przytrzymało go za rączkę, a na dodatek publicznie musiał się potem wypowiadać z tego, jak to nabrać się dał jakimś młodemu cwaniaczkowi i jak, Boże odpuść, wyszedł na frajera.

Po udanym początku z dziełem sztuki przystąpił Przewoźny do zaznajamiania się ze środowiskiem młodych twórców. W tym celu udał się któregoś dnia, odprasowany i wypachniony do bursy słuchaczy szkół artystycznych. Była pora obiadowa: mieszkanki bursy szły akurat na obiad, wracały z niego bądź szykowały się do pójścia na popołudniowe zajęcia, krótko mówiąc — rejwach panował tam wtedy wielki. Przewoźny zajrzał do jednego z pokoiów, w którym zastał jakąś ładną dziewczynę siedzącą na łóżku — a

wał tak sentymentalny, że „student” Przewoźny zapomniał się do tego stopnia, iż ofiarował dziewczynie złoty pierścionek. No, na szczęście dla niego Krystyna tego pierścionka nie przyjęła, pożegnała się z nim jednak najczulej jak umiała — do jutra, a następnie pognęła do bursy, by jak najszybciej opowiedzieć koleżankom, jakiego to fantastycznego chłopaka poznała. W bursie panował jednak nastrój żałobny, jako że okazało się, iż pierścionek, którego ze względu na przekrojowy *savoir-vivre* nie chciała tak od razu przyjąć, faktycznie należy do jej sąsiadki z pokoju obok i że w ogóle, w trakcie przyrządzania dla niego kolejnych gościnnych herbatek „kulturalny student” zdążył zwałić nie tylko ten jeden pierścionek, lecz również jakieś zegarki, jakieś wisiorki oraz naszyjniki. No, ale ów nastrój, który notabene doprowadził w końcu do jednej wielkiej kłótni między mieszkankami bursy, Przewoźnego oczywiście już nie interesował...

Charakterystyczną cechą Piotra było dążenie do stałego podnoszenia swych kwalifikacji, sięganie po coraz to trudniejsze i trudniejsze zadania. Doszedłszy do wniosku, że obrabianie młodych artystek jest sprawą dziecinnie prostą i właściwie, w pewnym sensie uwłaczającą jego godności zawodowej, postanowił poszukać sobie ofiar gdzie indziej, mianowicie — wśród studentek-technokratek; tam powinno być ciężiej. Zjawił się w jednym domu akademickim politechniki, potem w drugim, potem w trzecim. Niestety, ku jego rozczarowaniu trudności przy wykonywaniu swego za-

dania wśród studentek politechniki miał identyczne jak wśród roztrzępanych i rozamorowanych uczennic szkół artystycznych; identyczne — czyli żadne. Technikę zastosował tam zresztą taką samą jak w bursie, to znaczy wchodził do pierwszego z brzegu pokoju i mówił, że jest znajomym nieobecnej akurat współlokatorki — po czym następowały herbatki, komplementy oraz uśmiechy. No, w każdym razie w akademikach plon jego trudów był obfitszy: oprócz złota przyszele podpory techniki polskiej, posiadały także minikalkulatory...

Zdegustowany łatwością zdobyczy zdecydował się wkrótce potem sięgnąć wyżej, po panię z dyplomami pracującą w różnych ważnych instytucjach. Technikę pracy zastosował tu jednak nieco inną. Zasadzała się ona mianowicie na istnieniu w drzwiach, określonego urzędowego gabinetu, klucza. Otóż, jeśli w drzwiach tkwił klucz, to znaczyło to, że pani magister na sekundkę, po prostu na sekundkę wyskoczyła ze swego gabinetu i że zaraz wraca. Lecz jemu wystarczała właśnie owa sekundka, przekręcał klucz w zamku, zabierał z biurka lub z krzesła torebkę i już go nie było. Ale niestety, raz tylko w trakcie operacji opatrzonego kryptonimem „klucz” przeżył dreszczyk emocji. Było tak: wziął jak zwykle torebkę, zamknął drzwi i zaczął manipulować przy zamku, żeby klucz porządnie przekręcić z powrotem, a tu nagle obok niego pojawiła się pani magister, lokatorka gabinetu. Spytała nawet, co robi pod jej drzwiami, na co Przewożny z ową, jakże charakterystyczną dla niego spokojną uprzejmością odparł, że szuka kogoś, ale że

rodzaju pacjent u nich wraca do zdrowia i czym prędzej zawiadomiła organa ścigania — Piotr był już wtedy poszukiwany przez milicję. Karetka milicyjna z fasonem, na syrenie, zajechała przed Izbę Wyrzeźwień, milicjanci wpadli do pokoju, w którym miał się znajdować Przewożny, lecz zamiast Przewożnego natknęli się na jakiegoś innego młodego człowieka — nawet zresztą podobnego. Młody człowiek był w stanie najwyższej irytacji: dopiero co współtowarzysz jego pijackiej niedoli podszywając się pod niego pobrał z depozytu jego ubranie, dokumenty oraz pieniądze i zniknął w niewiadomym kierunku...

Tak, był to z pewnością najbardziej błyskotliwy wyczyn Piotrusia Przewożnego. Chyba jednak — nie najistotniejszy. Najistotniejsze, najciekawsze nastąpiło potem, gdy Przewożny został złapany — bo przecież złapać go musieli. Schwytany został zresztą z dowodami przestępstwa w ręku, co każdego innego zapewne by złamało. Każdego innego, lecz nie Przewożnego. Funkcjonariusz MO napisał zakłopotany w protokole: „Kontakt słowny z podejrzanym jest niemożliwy...”. Oczywiście, jeśli taki kontakt jest niemożliwy, to w myśl humanitarnych przepisów polskiego prawa trzeba koniecznie go nawiązać. No i — od tego właśnie momentu następuje część druga przygód „kulturalnego Piotrusia”, kto wie, czy nie bardziej interesująca niż pierwsza.

W celu nawiązania kontaktu słownego z zatrzymanym do współpracy zaproszeni zostali dwaj biegli sądowi — psychiatrzy. W odpowiednim dokumencie z całą powagą napisali oni potem: „Chory(?) zachowywał się w sposób dzi-

OD INTELIGENCJI

PAWEŁ
DWOROWSKI

niestety chyba się pomylił; skłonił się grzecznie i przez nikogo nie ścigany odszedł...

W tej sytuacji niebawem i operacji „klucz” i pań magister miał już dosyć, popróbowował wobec tego czegoś jeszcze trudniejszego. Sytuacja była następująca: w mieszkaniu zamkniętym na cztery spusty spał młody, wysportowany i energiczny oficer Polskiej Marynarki Handlowej; po kilku godzinach snu oficer stwierdził, iż mimo nienaruszonego zamka w drzwiach z przedpokoju zniknęły mu dwa nowiutkie skórzane płaszcze, plik waluty obcej oraz garść różnych cennych złotych precjozów, na stole w kuchni natknął się zaś na kartkę: „Byłem tu, ale pan spał, więc nie chciałem pana budzić...”. To już właściwie nie było takie prymitywne. Chociaż, z drugiej strony — arcytrudne też znowu nie. Piotr zaczął po prostu na ulicy jakiegoś ładnie ubranego dzieciaka i zaprosił go na coś słodkiego do cukierni; przy drugiej melbie wiedział już od małego wszystko, co należy, o jego domu rodzinnym i o tatusiu, który właśnie wrócił z morza. Wobec tego czym prędzej oświadczył chłopcu, że jest przyjacielem tatusia, który zapewne bardzo się ucieszy z jego wizyty, poszli do mieszkania marynarza, mały stworzył je swoim własnym kluczem, no i — udało się.

Najbardziej błyskotliwym jednak chyba wyczynem Przewożnego była jego sprawa w Miejskiej Izbie Wyrzeźwień. Dostał się do tej placówki któregoś wieczoru wypiwszy o jednego głębszego za dużo — co mu zresztą zdarzało się niesłychanie rzadko. Zdał depozytariuszce wszystko, co miał przy sobie i udał się na salę w charakterze pacjenta. Nazajutrz rano depozytariuszka zorientowała się, jakiego to

waczny, kręcił się na krześle, przez cały czas popiskiwał, pochlipywał, drapał się po dłoniach, zapinał i odpinał ubranie, pocierał się dłońmi po głowie, demonstrował zbolalą i płacziwą wyraz twarzy, utrudniał przeprowadzenie badania somatycznego i neurologicznego.” Biegli postawili wobec tego wniosek o poddanie podejrzanego obserwacji sądowo-psychiatrycznej. Piotruś przewieziony został do kliniki. I tu, inna już para psychiatrów z niepokojem zaobserwowała — i do stosownych papierów wpisała — fakt, że chory (?) zjada własny kał i że leczenie go neuroleptykami najwyraźniej nie przynosi żadnej poprawy. Psychiatrzy napisali: „...rozpoznajemy u podejrzanego psychozę reaktywną z organicznym uszkodzeniem mózgu pod postacią charakteropatii z ociążałością umysłową”. Psychiatrzy ci postawili wniosek o poddanie Piotrusia długotrwałemu leczeniu szpitalnemu. I tylko fakt, że z tego szpitala natychmiast z całym swoim sprytem zbiegł sprawił, że po schwytaniu go po raz trzeci, przez trzecią już parę psychiatrów poddany został obserwacji. Uczeni mężowie zgodnie stwierdzili: symulant...

W ciągu niespełna roku trwania swej kariery Piotr Przewożny ukradł różnym, przeważnie wykształconym ludziom, kilkaset tysięcy złotych, wzbudził też kontrowersje i spory w światku różnych biegłych docentów. Rzecz w tym, że Piotr Przewożny jest absolwentem pięciu klas szkoły podstawowej.

Nazwiska bohaterów reportażu zostały zmienione.

MIĘDZYZDROJE

Na początku było słowo.

Jakie?

Nie wiem.

Od czego więc zaczniesz?

Międzyzdroje leżą na trójkątnej wyspie. Dwa ramiona Szczecińskiego Zalewu i morze. Tak, do rzeki daleko. Czy wystarczy usiąść przy brzegu, by rzeka do ciebie przyszła?

Może?

Gdyby wziąć łopatę — cała wyspa jest wydumą. Bielą piachu słonego. „...jałowość piasku nie jest spowodowana — jak się to zazwyczaj uważa — samą jego suchością. To wynik ciągłego ruchu...” Jakiego ruchu? — tu przecie spokojnie. Siedzisz na brzegu — nie, nie na samym, bo wilgoć. Przyniosłeś ręcznik czy koc albo leżak, a jeżeli zapłacisz w kasie — możesz usiąść w koszu. Już? Wygodnie? Piach, woda, rozkwoczone niebo. Lato w pełni. Brzeg kolorowany ludźmi. Szum, gwar, hałas, krzyk. Śmiech, śpiew, gwizd. Pot, olejki, perfumy, pot. Lody, kiszzone ogórki, lemoniada. Zabłakana piłka.

Są w naszym małym mieście trzy małe górki. Na jednej zbudowano kościół, a jego wieża, bez chwili przerwy, unosi ponad miasto krzyż. Zwyczajny, nie tamten, który może zabołec, choć myślę, że i ten potrafi, ten nasz. Z tym krzyżem na wieży, który widać z naszego „zewsząd”, jest trochę tak, jak z drzewem narysowanym przez dziecko, bo na przykład: jego samego z daleka nie zobaczysz, ale wiadomo, że jest. Może inaczej ci powiem: całe (mniej więcej) miasto maluje się rokrocznie w kwietniu i z tego doświadczenia wiadomo, że wystarczy elewację pomalować do wysokości pierwszego piętra. Lub jeszcze inaczej: jeden z numerów „Życia Literackiego” („Pani, kto to kupuje...”) zawierał stronę druku o naszym miasteczku, choć nazwanym N. („Czytuję pani „Życie Literackie”? O Iks Igreku piszą, jejku, ale mu dali, no, no...”) i po półtorej dobie można było ten numer sprzedać za trzydzieści złotych. Pojmujesz?

Na naszej drugiej górze, trochę niżej, stoi Dom Kultury. Zimą z tej góry wszystkie dzieci (od zawsze) zjeżdżają na sankach; zaraz po wojnie jeżdżono się na kaflach piecowych lub na blasze.

A na trzeciej górze mamy muzeum. W muzeum są — między innymi — wypchane ptaki, ssaki i płazy (czy

może gady?). Przed muzeum jest duża klatka, w której siedzi żywy orzeł i stoi martwe drzewo. Powiadają, że orzeł był chory, że go uratowano, że teraz nie umiałby już żyć poza klatką. Orła karmi się mięsem.

Wiesz, mieszkał kiedyś w naszym mieście taki jeden człowiek — nie, już dawno nie żyje, nie będzie szukał między wierszami. Najpierw był kolejarzem, potem był stary, a na końcu umarł. Miał na imię Albin. Nikt z zapytanych nie znał jego nazwiska, lecz wszyscy wiedzieli, że jest — na pewno — umysłowo chory (marynarz: „Nie ma wszystkich na pokładzie...”) i niektórzy dodali: „To z tej miazdźcy.” Albin hodował kozy. Najpierw miał dwanaście białych kóz. Potem dopłtał mu się brunatny cap. Po kilku latach całe stado było łaciate, a jeszcze później kroczyło za Albinem dwanaście brunatnych rogaczy (tak mówiących: „Meeeee...”) Każda koza miała obrozę i łańcuch, a na końcu każdego łańcucha był olbrzymich rozmiarów ćwiok. I zdarzało się, że kiedy Albin, w łatanym bezodznakowym mundurze kolejarskim, szedł po zakupy dzwoniło za nim po płytach chodnika dwanaście kóz. Tak, najwięcej radości z tego miały dzieci i bywalcy już zburzonej „Zaglioby”. Kiedyś, nie wiem czemu, zapytałam Albina czy grywa na flecie — spojrzał ze zrozumieniem i odrzekł: „Nie mam fletu.”

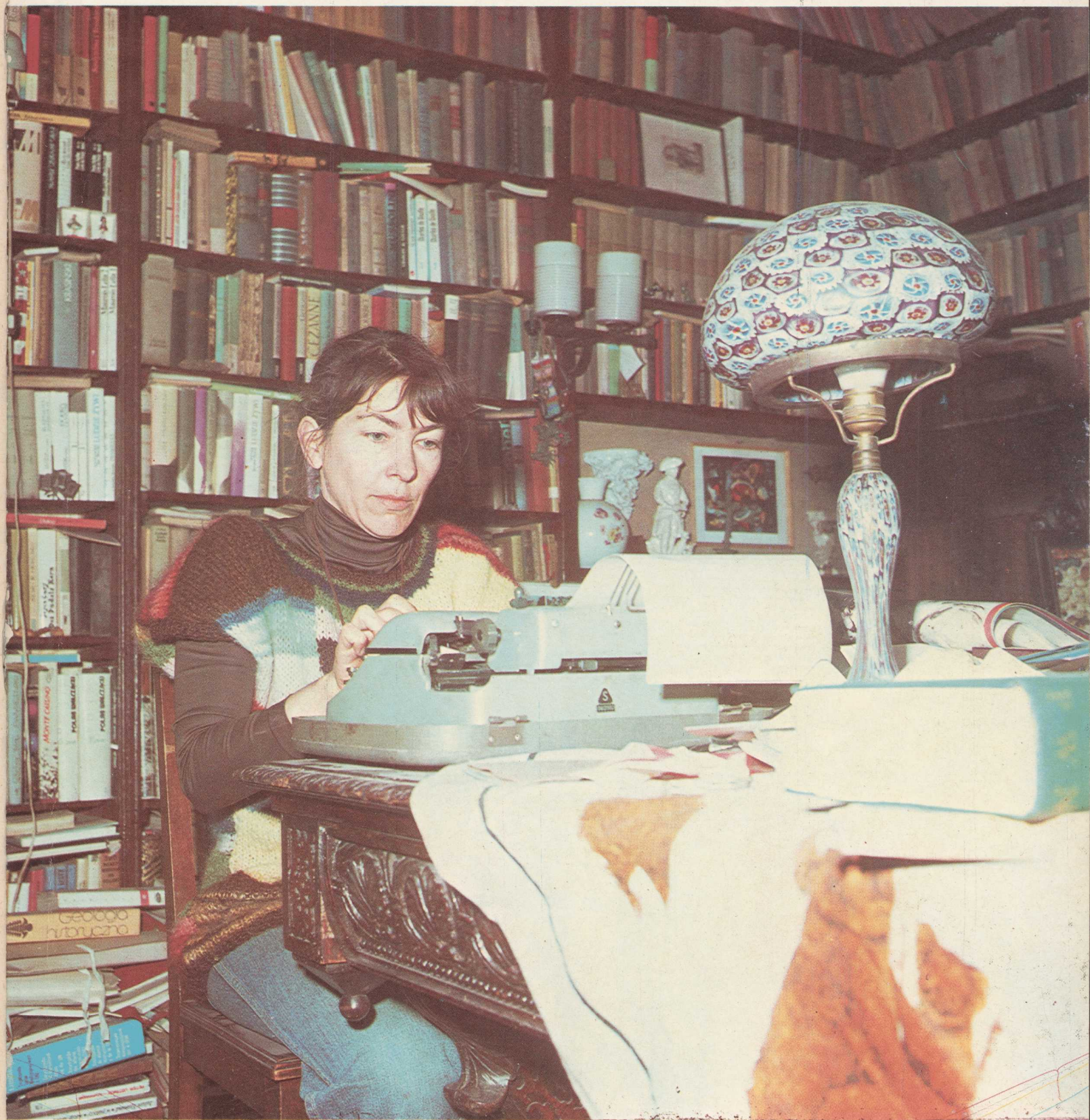
No i dobrze.

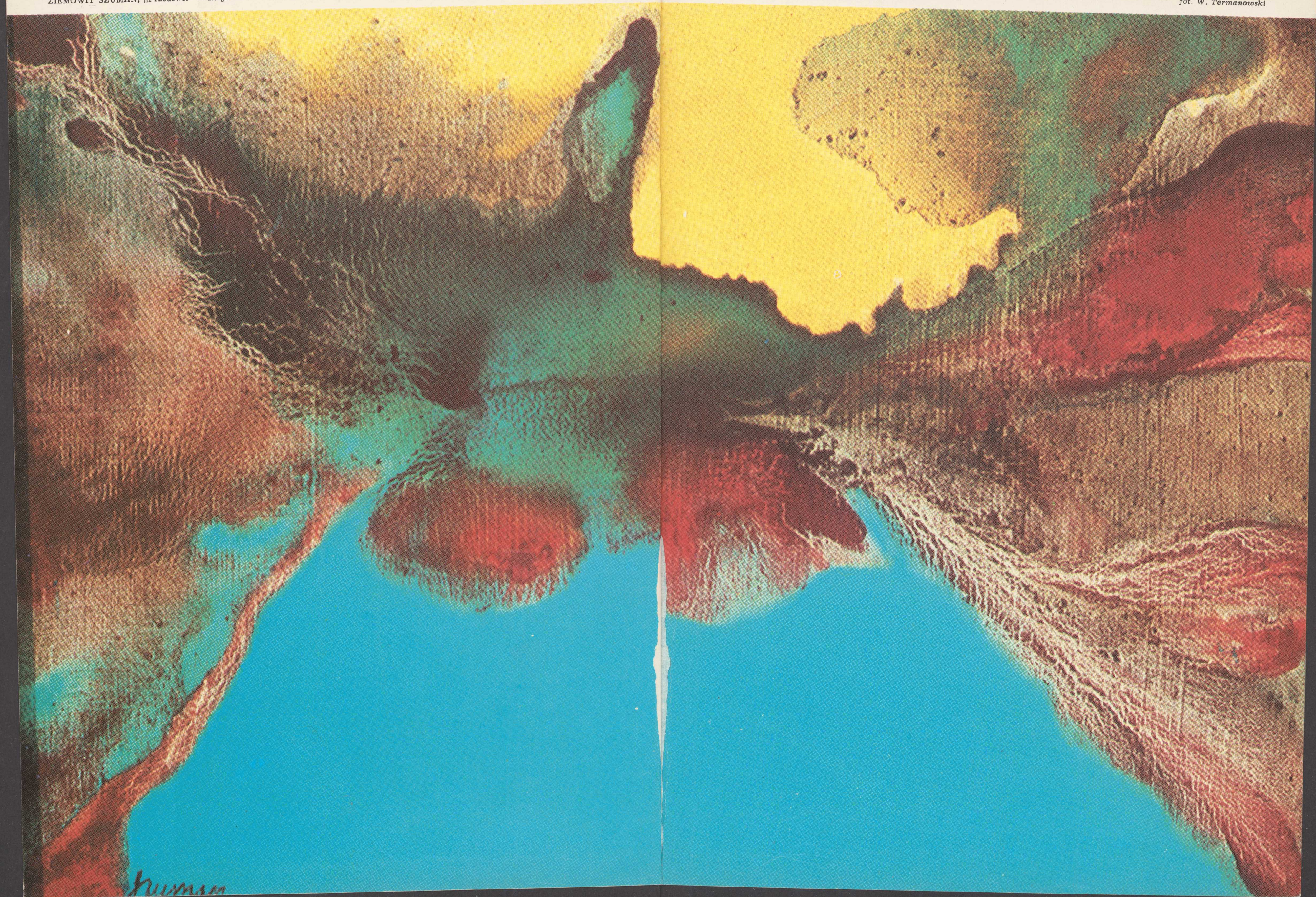
Taak, a swoje zwierzęta pasał za torami. Nie zrozum mnie źle — w naszym miejscowym języku „za torami” znaczy najczęściej „na cmentarzu”, bo cmentarz jest właśnie tam, a idzie się do niego ulicą Kolejową, przy jej końcowym rozwidleniu, w kształcie litery „Y”, musisz pójść w lewo, potem przechodzisz pod mostem (poprawnie: pod wiaduktem), i później idziesz już prosto, jak droga (kocie łby i piach) prowadzi, to znaczy: łukiem w lewo pod małą górkę. Na cmentarnej bramie zobaczysz tabliczkę: „Psów wprowadzać nie wolno.”

A te psy to osobny międzyzdrojski rozdział. Jest ich mnóstwo. Niektóre są tak brzydkie, że aż piękne; wtórnie jakby. Są pańskie i bezpańskie, a te ostatnie, to najczęściej plażowe, przybrzeżne. Mieszkają pod molem. Jedzą, co Bóg da. Kiedy pogoda zbyt nieustępliwa — idą do przystani rybackiej, do rybaków. Rybak otwiera

BRITTA WUTTKE

fot. W. Termanowski





Szuman

BRITTA WUTTKE

fot. W. Termanowski



drzwi i mówi: „Chodź łążęgo”. Potem dookoła żelaznego piecyka (kozy) siedzą ludzie, leżą kundle i koty (też bezpańskie), żują sobie i patrzą, patrzą i żują. Ciepło. Pachnie wodą (żywą). W psim brzuchu robi się lepiej, robi się dobrze, aż w końcu jest bardzo dobrze. Wysoko szczennej suce, patrzącej na człowieka, życie przekopuje brzuch od środka). „He, he!, jak u mojej” — mówi pan Franciszek wieszając sieci na haku. Któryś z kotów łypie okiem, potem zwija się jeszcze wygodniej. Wszyscy mają swoje historie. „E — powiada pan Franciszek — co tu gadać.” A ten kundel, o ten, też był kiedyś pański, nawet bardzo. Wabili go Szarik. Potem jego pan postawił sobie dom, czy zrobił dyplom, nie pamiętam, ale na pewno rozpoczął wczasowanie za granicą, tak, i wtedy nie miał już żony, lecz miał małżonkę, już nie jadał, lecz konsumował, i w „dwustronnym dialogu ustalili”, że przywiezie z miasta pudła, i nazwie go Lady. I stało się tak. „Kiedy sztorm ucichnie — wypłynie się na wodę.” Siedzą dookoła ciepłej kozy i patrzą w żar.

Pamiętam, jak Albinowi uciekł największy brunatny cap. Chodziło sobie capisko po ulicach miasta i patrzyło, węszyło, wachało. „Jezu! — żubr im uciekł!” — krzyknął wczasowicz obok mnie. Co? — A tak, mamy żubry, prawdziwe. Tam są, w lesie, za palisadą. Przy wejściu jest kasa, potem idziesz po schodach, wchodzisz na długi pomost („taras”) i z niego możesz już sobie patrzeć, w dół, na te żubry, które leżą, stoją, żują.

Trafisz bez trudu. Najwygodniej zrozumieć drogę ze środka miasta. Wiesz, gdzie jest pomnik? — to stamtąd. Stajesz twarzą do pomnika. Gdybyś szedł do tyłu — doszedłbyś, przez górkę z ośrodkiem zdrowia (Przychodnia Rejonowa), do morza. Gdybyś szedł w przód — dotarłbyś do dworca. W prawo idąc — zaszedłbyś na szosę. Ty idziesz w lewo, ulicą Zwycięstwa, tam też jest później szosa, ale to bez znaczenia, bo przedtem skręcasz do kościoła, zostawiasz kościół, idziesz do szkoły (nowej), zostawiasz szkołę, i prosto, już tylko kilometr czy dwa albo trzy — i możesz zobaczyć żubry.

Lipiec. Upał. Słońce podług zamówienia „Pomeranii” (Przedsiębiorstwo Usług Turystycznych). Przybrzeżna woda i plaża, plaża i przybrzeżna woda — kolorowy tłum. Jeden. Krople wody spadają z ludzkich włosów, z ludzkiej skóry.

Na początku było pragnienie. Jakie? Nie wiem. Może czego? Czy i Bałtyk

zrodzony z włosów Boga? Tu był Bóg o Czterech Twarzach. Co ci mówi czwórka? Ma kształt krzesła. Mewa — widzisz mewę w błękitach? Taak, marynarze opowiadają o mewach różne historie. Ta nazywa się śmieszka, mewa śmieszka. Pyta, ile mam strun. Ona i inne nie wylatywały kiedyś poza powietrzną linię wydm. Teraz są wszędzie. Krążą nad rynkiem. Czekają przy balkonach szarego osiedla mieszkaniowego, które wyrosło w pobliżu dworca i starej szkoły, tam, przy straży pożarnej i dębim Storrady (czyli Świętosławy), córki Mieszka I i matki Kanuta Wielkiego, króla Danii. Teraz mewy wysiadują na jabłoniach, jak szpaki, teraz kroczą za pługiem, jak wrony.

Zimą będzie tu inaczej. Kiedy Albin żył — łapał po mieście zimowe kocie futerka i sprzedawał je ludziom wierzącym w ich (prawie magiczną i daj Boże) leczniczą moc. Zimą nie będzie tych chórem ustawionych koszy obracających się za słońcem. Nie będzie goławego tłumu, nagich dzieci przyzadabających swe piaskowe fortece spalonymi zapalnikami i petami z papierosów. (Nie patrz tak, jestem też palaczem, również tworzę pety.) Zimą nie będzie śpiewnego zawołania sprzedawców lemoniady, lodów, ogórków. Zimą będzie zimno, choć morze nas grzeje. Ale zostaną: z prawej Góra, z lewej palec latarni, za tobą wydmy, przed oczyma woda. Latarnię nie zawsze widać, no i przysłania ją grzebień mola, po którym przez cały rok chodzą ludzie szukający w naszych sanatoriach zagubionych przez siebie lat: dziesięciu, dwudziestu, iluś tam... Kuracjusze z sanatoriów mają własny światek: dolegliwości, zleczone zabiegi i przydzielone pokoje, samopoczucie, promenada i bandaż plaży, wyżywienie, poczta i kioski. Tak, różnią się od letników. Letnicy rządzą nami, nawet wówczas, kiedy ich nie ma. Letnicy chcą: słońca, pokojów z... (wstawić), dobrych stołówek, rozrywek, spokoju i ... (wstawić). Letnicy wracają (niektórzy) z zabawy i po drodze wstępują do pogotowia (ratunkowego) z pytciami na nosie dermatologa („Bo u nas w Warszawie...” — miejsce zamieszkania stałego wstawić). Lecz na początku i na końcu, tak jednych — jak drugich, stoi dworzec. Do dworca idziesz ulicą Kolejową, przy jej końcowym rozwidleniu — w prawo, pod taką małą górkę, sama ulica (asfalt) lekkim łukiem w lewo aż pod same drzwi cię doprowadzi; no i tu Kolejowa się kończy. Dworzec, hm, masz kasy, roz-

kłady jazdy, dwie poczekalnie i pociągi. Dawno temu Albin zachodził tu na piwko albo latem klozetowym bywał. Kozy czekały na torach — nie bój się, żadnej kozie nic się nie stanie, one znają godziny pociągów. Widzisz?, czekają na Albina skubiąc brązowe źdźbła trawy. A tam, między szynami, pod żelazną pokrywą (kolejarze wiedzą, co ona kryje), tak, wyglądają polne myszy. Wyjeżdżające dzieci je karmią. W dzień te myszy odważne, w nocy mniej, bo nocą dworcowe koty (bezpańskie) siedzą na czatach. Prawie w bezruchu siedzą. Od czasu do czasu któryś lekko ogonem: w górę i w dół, w prawo — w lewo.

Nie wiem czy dworzec jest ładny, ale jest nasz. I mam nadzieję, że nikt nie „zlikwiduje” drewnianego pokrycia peronu, drewnianych jego ozdób, przez które widać niebo i pod którymi gnieźdzą się ptaki. A któregoś dnia znów przyjedzie ktoś, Irek Iks, poprosi o pokój od strony południowej i z widokiem na morze, pokażę mu „dąb szwedzki” którego już nie ma, będę z nim szła koło pomnika i wstępnę do starej poczty, która — póki co — ma postać jeszcze kilka lat, choć na jej murze niezmiennie wisi tablica: „Budynek przeznaczony do rozbiórki”. Spojrzę sobie na marynarza na cokole — może się za nią wstawi? Pójdziemy ulicą Zwycięstwa, pokażę mu dwa domy otulone drewnem, niech się napatrzy, na wszelki wypadek, bo trzeciego już przecie nie ma. A domy stoją i spoglądają na ludzi każdy inaczej, i każdy z tych ludzi jest inny. Składają się razem w to, co stanowi nasze miasteczko leżące w niecce wydm porośniętych lasami (Woliński Park Narodowy, z ukłonem) przy brzegu dużej wody. W wielu językach dźwięki słowne określające morze (zaglądałam do słowników) mają swoje drugie znaczenie, inne, lecz czy ja wiem?...

Plaża pustoszeje. Pora obiadu. Słyszysz? Ta pani woła malucha, który nie chce obeschnąć na słońcu, który rwie się do wody: — „Wszystko ci powiem, jak robi piesek i jak robi kózka, tylko bądź grzeczny.”

Albin kiedyś tam umarł, nie pamiętam kiedy, ale było to nim w mieście rozstawiono te rzeźby bez tablic, a po tym, kiedy stawiano na promenadzie klatkę z pawiem. Kozy sprzedano (tak mówią), na karmę dla orła, przy którego klatce możesz przeczytać: „Orzeł bielik. Nie karmić.”

„Gango, kto w twojej toni...” — powiada radio w drodze galki do muzyki. I koło się zamknęło.

Konik Morski 79

1978 Konik Morski
Salony Jesienne

Przed rokiem szczecińscy plastycy, po kilkuletniej przerwie, doprowadzili do reaktywowania dorocznego konkursu o nagrodę „Konika Morskiego”. Pierwotnie impreza ta miała ściśle lokalny charakter. Obecnie nabrała większego rozmachu i obejmuje swym zasięgiem sześć województw. Oprócz ośrodków nadmorskich (Elbląg, Gdańsk, Słupsk, Koszalin, Szczecin) dołączyła w tym roku także Bydgoszcz dzięki umowie podpisanej ze szczecińskim Zarządem Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków. Nawiasem mówiąc, innowacja ta okazała się bardzo korzystna.

Po okresie pewnej pustki w życiu środowiska plastycznego „Konik Morski” spełnia istotną funkcję stymulatora poszukiwań twórczych. Nie jest jedyną imprezą służącą aktywizacji środowiska. Również w ubiegłym roku powołano do życia Salony Jesienne, na których wybiera się szczecińskie „Dzieło Roku”. Także plakacisci mają swe doroczne konkursy. Co dwa lata istnieje przed malarzami szansa udziału w ogólnopolskim festiwalu, nie mówiąc o wielu imprezach organizowanych w innych ośrodkach.

Obserwując plon tegorocznego konkursu, można dojść do wniosku, że tak szeroki wachlarz możliwości uczestnictwa jest dla plastyków jakby kłopotliwy. Świadczy o tym dość skromny udział szczecińskich twórców zarówno w Salonie Jesiennym, jak i „Koniku Morskim”. Na ostatni konkurs napłynęło z sześciu województw tylko 106 prac malarskich, graficznych i rzeźbiarskich. Nie jest to dużo. Powodem był zapewne pewien niedowład organizacyjno-propagandowy zarówno ze strony administracji kulturalnej, jak też ZPAP. Odczuwało się zwłaszcza brak przedstawicieli malarstwa i rzeźby z Trójmiasta. Dopisali natomiast graficy. Poziom rzeźby uratowali z kolei artyści z województw bydgoskiego i koszalińskiego.

Drugą pozytywną innowacją tegorocznej wystawy pokonkursowej było wprowadzenie zasady selekcji nadesłanych prac. Spośród 106 prac do ekspozycji zakwalifikowano jedynie 88. Uniknięto w ten sposób ubiegłorocznych pomyłek, gdy kilka ewidentnych knotów psuło całą wystawę (jak owa przysłowiowa łyżka dziegiu w beczce miodu).

Tradycyjnie na wystawie dominującą dyscypliną było malarstwo (48 obrazów 29 autorów).

W następnej kolejności znajdowała się grafika (28 prac 12 twórców). Ponadto zaprezentowano 12 rzeźb 7 autorów. Jednakże, mimo przeważającej ilości malarstwa nie przytłaczało ono innych dyscyplin. Było to z pewnością zasługą udanej (choć niezbyt odkrywczej) ekspozycji.

W pierwszej sali Galerii Sztuki BWA na Zamku Książąt Pomorskich zaprezentowano grafikę. Natomiast pod sklepieniami dużej sali zobaczyliśmy malarstwo i rzeźbę. Brak tłoku na wystawie okazał się bardzo korzystny. Zwłaszcza dla rzeźby, która wymaga dużej przestrzeni. Można nawet powiedzieć, że rzeźba tym razem skupiała na sobie większą uwagę widzów niż pozostałe dwie dyscypliny — malarstwo i grafika.

Potwierdzeniem tego było przyznanie „Nagrody Marynistycznej” rzeźbiarzowi, Wiesławowi Adamskiemu ze Szczecinka (woj. koszalińskie). W ocenie jurorów jego rzeźba pt. „Stocznia” była najbardziej twórczą interpretacją nadrzędnej idei konkursu, jaką jest podjęcie tematyki marynistycznej. Jakkolwiek I nagrodę w dziale rzeźby otrzymał Ronald Ritter z Bydgoszczy za perfekcyjną warsztatowo i bezbłędną artystycznie „Kropkę oceanu”, to jednak w swej abstrakcyjnej pracy nie zbliżył się on do istoty tematu. Wynika to stąd, że sztuka nieprzedstawiająca jest zbyt wieloznaczna i enigmatyczna, by przekonać nas o swym rzeczywistym związku z określonym tematem. Być może jego rzeźby z zielonego, polewanego malachitu były inspirowane tematyką konkursu. Lecz równie dobrze te dwie niezwykle eleganckie rzeźby, budzące estetyczny zachwyt dla idealnego połączenia kształtu bryły ze specyfiką szlachetnego kamienia, mogły nie mieć żadnych konkretnych inspiracji tematycznych. Ale nie jest również nigdzie powiedziane, że w konkursie pierwszeństwo mają mieć przedstawienia realistyczne. Siłą prac młodego bydgoskiego rzeźbiarza (I nagroda i wyróżnienie) jest nie tylko bezbłędna forma i wydobycie naturalnego piękna materiału, ale również ładunek — trudnych do zdefiniowania — poetyckich, metafizycznych znaczeń.

Wiesław Adamski, laureat II nagrody oraz wspomnianej już „Nagrody Marynistycznej” ufundowanej przez Morski Ośrodek Kultury jest także adresatem listu gratulacyjnego Środowiskowego Komitetu Kultury PZPR w Szczecinie. Wysunięto sugestię, aby jego rzeźby zrealizować w wersji plenerowej. Adamski podjął się bardzo trudnego zadania, którego rzeźbiarze zazwyczaj starają się unikać. „Stocznia” wykonana z polewanego mosiądzu jest próbą rzeźbiarskiej syntezy kształtu nowoczesnego statku. Młody plastyk wykonał formę przestrzenną, która niezależnie od wielości elementów posiada zwarty,

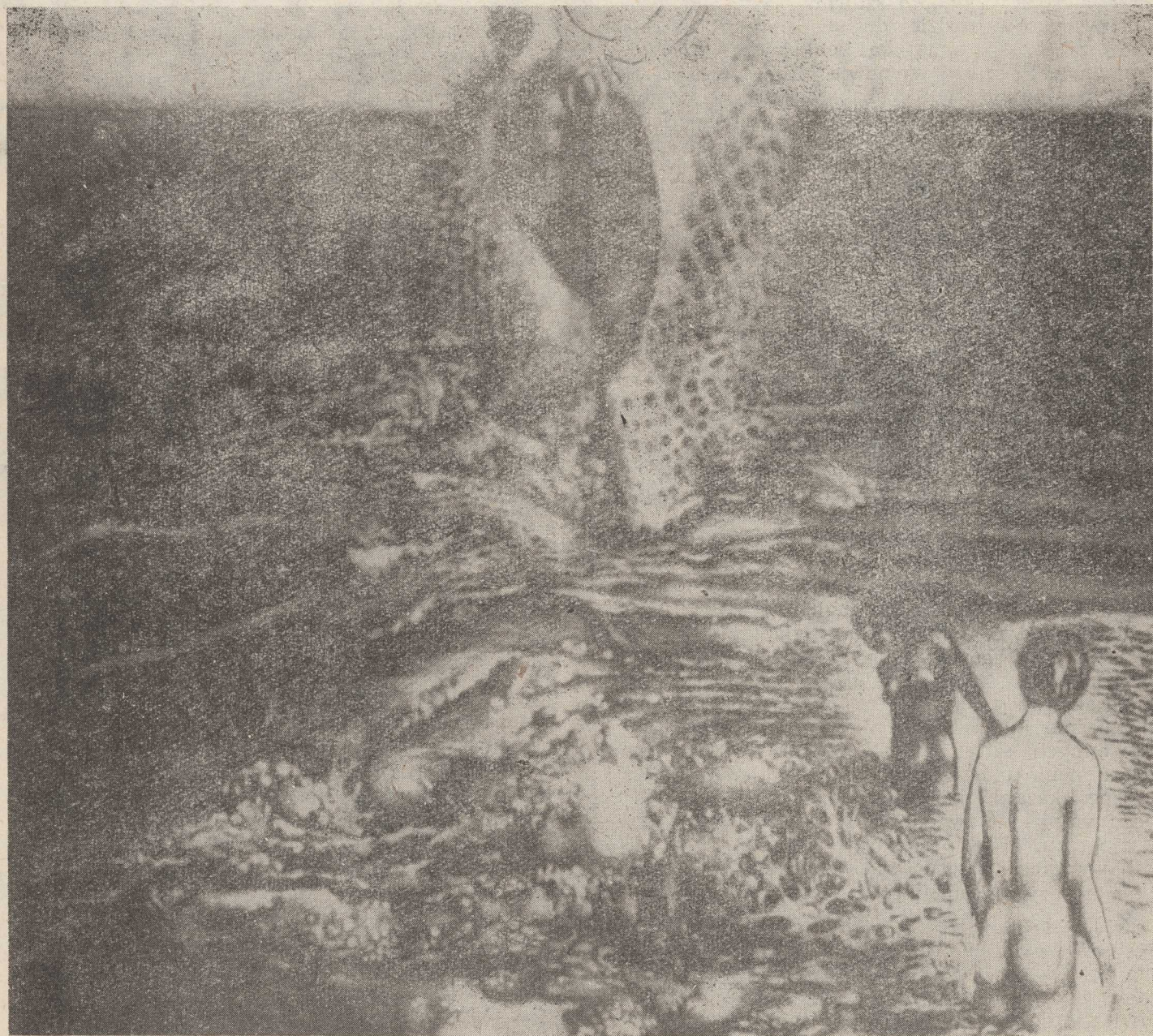
spoisty kształt. Mimo posłużenia się realistycznymi szczegółami — śruba okrętowa, dziub statku, kominy — rzeźba Wiesława Adamskiego stanowi tylko plastyczną parafrazę okrętu. Inspiracja tematyczna jest jednoznaczna i wyraźnie czytelna (to niezwykle cenna i rzadka zaleta), a jednocześnie nie ma ilustracyjnej dosłowności. Posługując się konkretnymi motywami, Adamski nie wykonał mniej lub bardziej odrealnionej kopii statku, lecz na kanwie łatwych do rozpoznania realiów wykonał autonomiczną formę rzeźbiarską. Warto, aby znalazł się w Szczecinie mecenas, który chciałby podjąć się sfinansowania realizacji tej rzeźby w plenerze miasta. Byłaby to pierwsza, rzeczywiście marynistyczna, nowoczesna rzeźba ustawiona w powojennym Szczecinie. Mimo wielokrotnych prób lokalnego środowiska rzeźbiarskiego nie dorobiliśmy się jeszcze dzieła godnego morskiej rangi naszego regionu. Oczywiście zaprezentowana na „Koni-

ku Morskim” praca Adamskiego musi być traktowana jako wstępny projekt, który powinien ulec szczegółowemu opracowaniu i dopracowaniu w zależności od miejsca i skali realizacji. Warto jeszcze dodać, że Wiesław Adamski jest związany z naszym miastem jako absolwent szczecińskiego Liceum Sztuk Plastycznych (studia ukończył w Poznaniu).

Na marginesie można jeszcze wspomnieć o „Epitafium śledzia” Sławomira Lewińskiego ze Szczecina, będącym żartobliwym przerywnikiem w tej ekspozycji. Na zasadzie sympatycznego dowcipu praca ta korespondowała z tematyką konkursu. Pozostałe rzeźby ani poziomem artystycznym, ani zawartością treściową nie wniosły istotniejszych wartości do tej wystawy. Świadczy o tym werdykt jury, które zrezygnowało z przyznania III nagrody.

Jeśli środowisko szczecińskie nie odniosło tym razem sukcesu na polu rzeźby (w ubiegłym roku

KAZIMIERZ KARDASIŃSKI, „Narodziny Afrodyty” z cyklu CHRESTOMATIA — mezzotinta. I nagroda w konkursie „Konik Morski '79”



było inaczej), to zdecydowanie błyszczało w malarstwie. Aż cztery nagrody zdobyli twórcy z naszego miasta.

Laureatką I nagrody oraz nagrody — zakupu Muzeum Narodowego została Grażyna Drzewińska z Koła Absolwentów przy ZO ZPAP. Przedstawiła trzy płótna, z których największe uznanie zdobyła „Taaka ryba”. Drzewińska uprawia malarstwo figuratywne bliskie założeniom neofiguracji. Młoda malarka zaproponowała bardzo interesujący sposób rozwiązywania przestrzeni obrazu. W jej płótnach postacie ludzkie tworzą przenikające się, rozwarstwiające formy. Postać ludzka jest tylko pretekstem do rozwiązywania zagadnień ściśle malarskich. Ogólnie mówiąc, treścią obrazów Drzewińskiej są komplikacje losu ludzkiego oraz refleksja nad miejscem człowieka w świecie. Lecz treści te nie są odbierane przez widza wprost i jednoznacznie, albowiem malarka nie określa tematyki obrazów poprzez sfabularyzowaną akcję. „Taaka ryba” jest obrazem wieloznacznym, skomplikowanym i chyba na tej wystawie najbogatszym treściowo.

II nagroda, czyli „Po sztormie” Wacława Stanisławczyka w bardziej dosłowny sposób określa swój związek z tematyką konkursu. Autor zaproponował obraz o wymowie publicystyczno-interwencyjnej, będący próbą wpisania się do dyskusji o ochronie środowiska naturalnego. I na tym głównie polega walor obrazu Stanisławczyka. W sensie malarskim autor operuje bowiem dość ubogimi środkami wyrazu, całą uwagę poświęca sprawom treści, które określa za pomocą plakatu metaforyki. Wizja morza, które nie może już pomieścić odpadków cywilizacji (puste puszki, wyciśnięte tuby) jest pesymistyczna, groźna i działa ostrzegawczo. Chociaż trudno powiedzieć, aby Stanisławczyk był odkrywcy w zakresie użytych symboli.

Bardziej przekonujący był dla mnie (jedyne wyróżniony przez jury) obraz Jerzego Puciaty z Bydgoszczy pt. „Obszar I” z cyklu: „Ołtarze morza”. W tym monochromatycznym płótnie o grubej fakturze, przedstawiającym stojącą na plaży fragment jakiejś drewnianej chaty rybackiej, kryje się spora doza dramatyzmu.

Laureatami dwóch równorzędnych III nagród zostali: Alicja Hałajkiewicz i Piotr Wieczorek. Z trzech obrazów Alicji Hałajkiewicz jury nagrodziło „Okno” (zapewne ze względu na dominację koloru niebieskiego), chociaż ciekawszy był utrzymany w gamie brązów obraz „Plaża — port rybacki”, który sprawiał wrażenie kompozycji abstrakcyjnej.

Słusznie nagrodzono płótno Wieczorka „Po wiosennych sztormach”, który mimo pewnego odrealnienia (gama różów i szarości oraz syntetyczne ukazanie pejzażu) przedstawił bardzo sugestywny i prawdziwy klimat nadmorskiego krajobrazu. Warto zaznaczyć, że Piotr Wieczorek wypracował bardzo ciekawy, własny sposób interpretacji tej tematyki.

Z prac nie nagrodzonych przez jury należałoby wymienić malowany z dużą wrażliwością „Pierwszy rejs” Krystyny Wróblewskiej (Szczecin) świadczący o dużym talencie młodej autorki. Naprzeciwległym biegunie w sensie środków wyrazu

znajduje się interesujące płótno Bohdana Walknowskiego „Tajemnice głębin” (Szczecin). Do ciekawszych obrazów należy zaliczyć „Azory” Bogny Szymkowskiej (Szczecin), „Ruch zatrzymany” Marka Łażnego (Ślupsk), „Genezę” Sławomira Preissa (Szczecin) oraz metaforyczny obraz z leżącym na brzegu martwym ptakiem Wandy Wiśniewskiej z Bydgoszczy.

Wśród prac wyeliminowanych z wystawy powinny znaleźć się grafomańskie „Dzieci w słońcu” Jadwigi Kiczuk (Szczecin). Są lepsze sposoby uczczenia Międzynarodowego Roku Dziecka.

Najbardziej wyrównany poziom reprezentowały prace graficzne. Za najciekawszą uznano mezzotintę szczecińskiego grafika Kazimierza Kardasińskiego, który mimo braku warunków warsztatowych z poświęceniem uprawia trudne techniki graficzne. Jego „Narodziny Afrodyty” z cyklu „Chrestomatia” są dość typowym przykładem dla szkoły krakowskiej, z której wyszedł. W planie treściowym praca Kardasińskiego ma metaforyczny i nadrealny charakter. Wyraźnie widać, że tematyka tej grafiki jest pretekstem do ujawnienia bogatej gamy możliwości technicznych. Jest to wprawdzie grafika niezwykle wyrefinowana w sensie artystycznym, lecz przyznaję, że bardziej odpowiadają mi ekspresyjne prace kolegi Kardasińskiego, Adama Koziaka: linoryt „IV kwartał” i wyróżniona „10-tka”.

Bardzo syntetyczną mezzotintę Wiesława Dembskiego (Gdańsk) pt. „Kadłub” uhonorowano drugą nagrodą. Tą samą techniką wykonał wyróżnioną „Norwegię I” Cezary Paszkowski, również z Gdańska. W odróżnieniu od pracy Dembskiego, która jest zwarta kompozycyjnie, grafika Paszkowskiego jest bardziej impresyjna, stanowiąc próbę graficznej transpozycji fotograficznego zdjęcia krajobrazu nadmorskiego.

Podobne w nastroju do grafik Adama Koziaka są linoryty Izabelli Laube z Gdańska (III nagroda), która bardzo dynamicznie zanotowała impresje krajobrazowe.

Warto jeszcze wspomnieć o linorytach Jana Zdarewicza (Szczecin), akwafortcie Ryszarda Korzanowskiego (Szczecin) oraz barwnym sztychu Franciszka Czernousa (Gdańsk).

Organizowany po raz drugi, na zasadzie międzywojewódzkiego konkursu, „Konik Morski” okazał się imprezą potrzebną, określającą stopień zainteresowania środowiska plastycznego problematyką swego regionu. Celem konkursu jest pobudzenie tego zainteresowania. Z całą pewnością nie należy kłaść w przyszłości nacisku na masowość udziału w konkursie, lecz na artystyczno-ideową rangę propozycji twórczych.

W tym roku taką propozycją, potwierdzającą społeczny sens organizowania konkursu o nagrodę „Konika Morskiego” była rzeźba Wiesława Adamskiego. Należy życzyć sobie, aby nie zmarnowano szansy pozyskania dla miasta dobrej plenerowej rzeźby marynistycznej.

Słyszało się głosy, aby z powodu małej ilości nadesłanych prac organizować konkursy co dwa lata. Myślę, że „Konik Morski” jest nam potrzebny co roku. Trzeba się tylko zastanowić, czy zrobiono wszystko dla jego rozpropagowania?

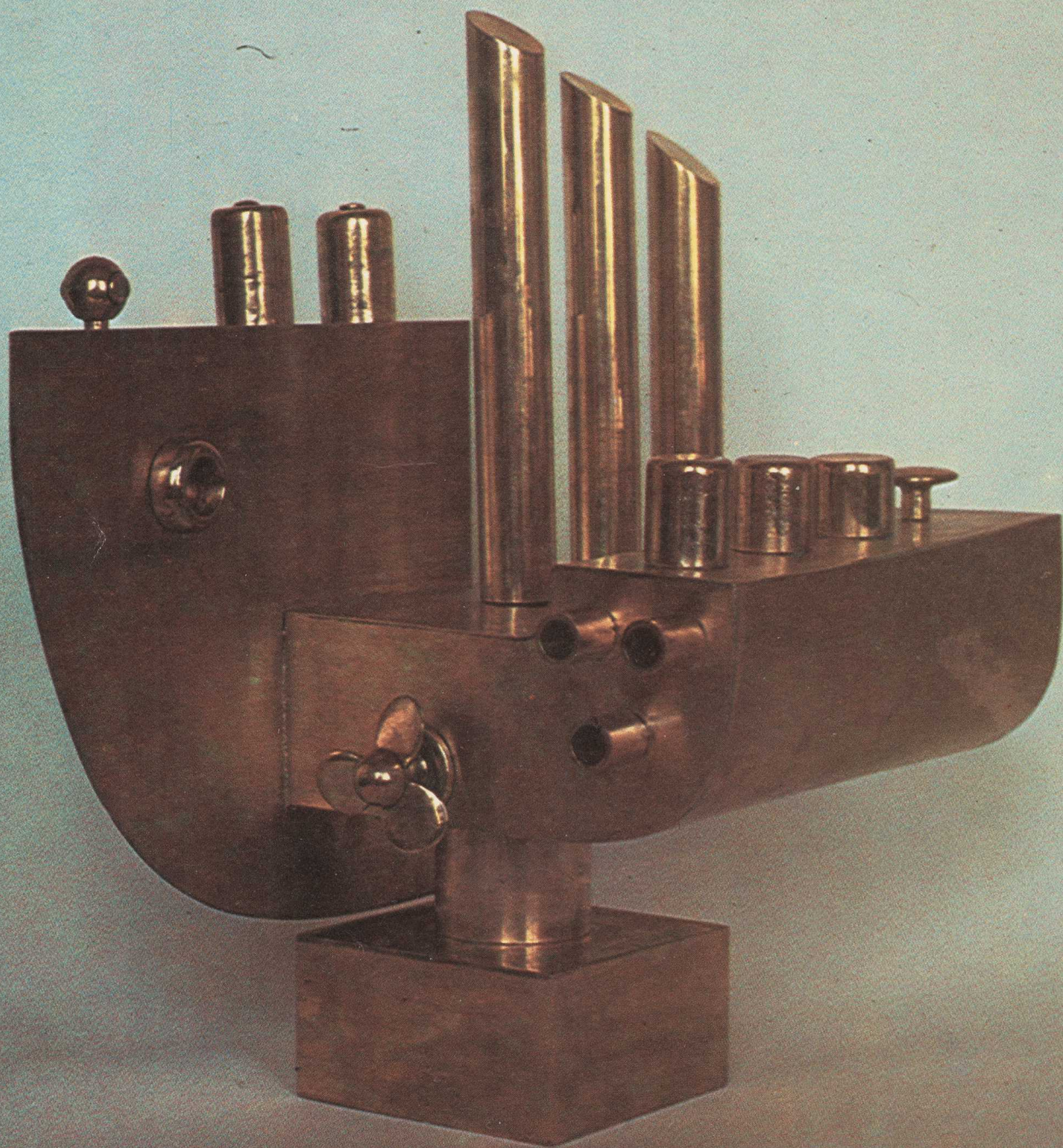
GRAZYNA DRZEWINSKA, „Taaka ryba” — olej. I nagroda w konkursie „Konik Morski '79” oraz nagroda — zakup Muzeum Narodowego

fot. W. Termanowski



WIESŁAW ADAMSKI, „Stocznia” — metal. II nagroda w konkursie „Konik Morski '79” i „Nagroda Marynistyczna” Morskiego Ośrodka Kultury, autor jest także adresatem listu gratulacyjnego Środowiskowego Komitetu Kultury PZPR

fot. W. Termanowski



OKREŚLIĆ SIĘ W TEATRZE



ANNA STANKIEWICZ

Instykt gry jest tak stary, jak ludzkość. A gra jest nie tylko maską. Jest, albo bywa, także wyrazem osobistym, także refleksem prawdy, a nawet czasem głębokiej prawdy.

(Józef Kelera)

Aktorstwo Mariana Noska, zdaje się, że już od pewnego czasu zostało uformowane. Nie jest to, oczywiście, równoznaczne z uznaniem ani potępieniem. Nie o ocenę w tej chwili chodzi, lecz o próbę charakterystyki sylwetki aktorskiej, na pewno w jakimś stopniu zasługującej na uwagę.

Aktor ten, obecnie w sile wieku, zwraca na siebie uwagę jakby zastygłą, nieruchomą mimiką. W kreowanych przez niego postaciach znaczny udział mają zewnętrzne pierwiast-

ki teatralne. Wykorzystywanie cech fizycznych, a więc charakterystyczny sposób poruszania się człowieka nieco otyłego, ociężałego w połączeniu z wykonywaniem gestów szybkich, energicznych, zdecydowanych. Podobnie sposób wypowiedzania się znamionuje jednostajny, monotony ton podawania kwestii, który nagle zostaje przerwany gwałtownym wybuchem emocji, zamieniającej się nieomal w krzyk. Styl gry Mariana Noska wytycza zasada kontrastu fizjologiczno-psychologicznego.

Trudno wskazać cezurę w karierze tego aktora, wyznaczającą przełom w jego pracy artystycznej, chyba jedynie tę naturalną, związaną z wiekiem, ze stanem fizycznego zdrowia, nakazującą kontrolować swoje środki wyrazu i stosować je umiejętnie, zgodnie z wymaganiami upływającego czasu i zgodnie z zasadą, że nie ma powrotu do danego stylu w postaci niezmienionej. Można kontynuować jeden styl gry dokonując jednak stale korektur.

Role królów, mistrzów, gospodarzy, postaci historycznych, pierwszoplanowe i epizodyczne pozwalają zauważyć pewną dyscyplinę w uprawianym przez Noska rodzaju aktorstwa, mimo że polega ono na dużej ekspresji i emocjonalnym nasyceniu niemal każdej kreowanej postaci oraz na posługiwaniu się przewrotnym prawem kontrastu. Dzięki tym środkom wydobywa na plan pierwszy rysunek psychologiczny bohaterów. A są to najczęściej ludzie spod znaku mocnych, silnych ze względu na zajmowaną pozycję społeczną, pełnione funkcje wysokich urzędników państwowych, władczych i despotycznych, lecz równocześnie ukrywających pod tą maską liczne słabości, ułomności, niepewność postępowania, kompleksy, które wcześniej lub później ujawniają się. I tu Nosek wygrywa całą gamę zróżnicowanych stanów psychicznych. W ten sposób zbudował rolę Pilata w „Dialogus de Passione”, tytułową w „Janie Macieju Karolu Wścieklicy” i wiele innych, zwłaszcza w tzw. okresie szczecińskim trwającym najdłużej — z małymi przerwami — bo do chwili obecnej.

Przyjechał do Szczecina w 1953 roku od razu po ukończeniu Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Warszawie. W latach 1958—1963 przebywał poza naszym miastem, by grać w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu i w Teatrze im. J. Słowackiego w Koszalinie. Po czym wrócił do Szczecina i jak na razie jest mu wierny do dzisiaj zmieniając w tym czasie jedynie Teatr Polski na Teatr Współczesny. W bieżącym sezonie podejmie pracę znów w Teatrze Polskim:

Debiut sceniczny Noska wypadł właśnie w roku jego przyjazdu do Szczecina, w Teatrze Polskim. Zagrał starego (!) księdza Logi w „Fantazym” Słowackiego w reżyserii Marii Straszewskiej. Z tej okazji Feliks Jordan napisał w „Kurierze Szczecińskim”: „Pewnym osiągnięciem, bardzo trudnym dla młodego aktora, była postać starego księdza Logi w interpretacji Noska”.

Było to przedstawienie, które zgodnie z ówczesnymi tendencjami, obrało linię realistyczną, zawierało teksty znajdujące jakiś punkt odniesienia do współczesnej rzeczywistości. Być może, iż alzji doszukiwano się na siłę... i mówiono o nowej formie realizmu, choć czasem popełniano błędy polegające na niemożności przekonującego pokazania procesów psychicznych o większym wymiarze.

Wtedy też Nosek występował w repertuarze współczesnym. W teatrze odtwarzał postać Güntera w „Norze” Ibsena. Brał udział w słuchowiskach radiowych Szczecińskiej Rozgłośni oraz w spektaklach telewizyjnych Ośrodka Telewizji Szczecińskiej.

Na wyjeździe jego znaczącą rolą była postać króla Jagielly w „Zawiszy Czarnym” Słowackiego wystawionym w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu oraz w Koszalinie rola Heraklesa w „Heraklesie” Matkoviča i Kułygina w „Trzech siostrach” Czechowa.

Po powrocie do teatrów szczecińskich przyszły role z

cyklu sztuk szekspirowskich reżyserowanych przez Jana Maciejewskiego. W „Ryszardzie III” wystąpił jako Edward IV. W „Henryku IV” (którym to przedstawieniem Maciejewski pożegnał Szczecin) kreował tytułową postać. Andrzej Władysław Kral w „Teatrze” z 1969/20 odnotował: „Henryk IV frapuje tym, co najistotniejsze-interpretacją Szekspira, treściami filozoficznymi. Może właśnie dlatego, że warsztat techniczny opanowany został po mistrzowsku. Postać króla wnosi do dramatu wątek walki o władzę. Henryk IV zdobył ponownie drogą nieprawą (zamach stanu, uwięzienie i zamordowanie Ryszarda II). Pomogli mu w tym inni możnowładcy. „Część z ich ściąg musiałem” — powie do syna udzielając mu przed śmiercią ostatnich rad.”

Zespół wykonawców był już niejako przyzwyczajony do stylistyki szekspirowskiej. Również widać, że Nosek dobrze czuje się w repertuarze klasycznym. Potrafi wówczas stworzyć postać bogatszą, pełniejszą, nawet wielopłaszczyznową w kontekście spraw człowieka i świata. Ma w swoim dorobku kilka takich ról doprowadzonych z całą świadomością do perfekcji, i których prawdopodobnie nigdy nie zagrałby lepiej. W tym czasie odtwarzał tytułowego bohatera w „Wujaszku Wani” w reżyserii Ewy Kologórskiej i postać Horodniczego w „Rewizorze” Gogola, w reżyserii Jitki Stokalskiej.

Interesująca i znamienna dla tego aktora jest wspomniana już rola Pilata w „Dialogus de Passione”. Na spektakl złożyły się anonimowe teksty XV—XV-wieczne. Inscenizacji dokonał Kazimierz Dejmek. Wyreżyserowała Jitka Stokalska. Powstało dzieło kameralne, intensywne, mądre jak pisał Julian Lewański w „Teatrze” z 1971/11. Pilat w wykonaniu Noska to spokojny i rzeczowy urzędnik rzymski, niechętny starszyźnie żydowskiej, potem zirytowany, nawet gniewny, zarządza biczowanie Jezusa. Zadziwiające jest przechodzenie między innymi i tej postaci od sceny rozgrywanej w konwencji, do następnej rozgrywanej w całkowitej naturalności, od tonacji tragicznej do groteskowej. Nosek stworzył Pilata klasycznego, którego wizerunek jest powszechnie przyjęty, jak również przysłowiowy stał się sposób jego postępowania. Pokazał natomiast wewnętrzne rozdarcie człowieka mocnego będącego jednocześnie kruchym, o słabym charakterze, postępującego wbrew sobie dla zachowania swojej funkcji społecznej. Odtwórca tej roli umiejętnie i przekonująco nakreślił mentalność człowieka pełnego rozterek, w końcu podejmującego taką, a nie inną decyzję. Nosek dostrzegł działanie kontrastu, uzyskał ironię. Za tę rolę i parę innych był nagrodzony na Festiwalu Teatrów Polski Północnej w Toruniu.

Ponadto z tego okresu pracy Mariana Noska w teatrach szczecińskich warto odnotować fakt ponownego wystąpienia w Szekspirowskiej sztuce, a mianowicie w „Hamlecie” jako Grabarz. I znów jakby na przekór funkcji granej przez siebie roli i wymowie sytuacji scenicznych, w których uczestniczy, przedstawił osobnika posługującego się sentencjami mającymi formę mądrości ludowych, nieco rubasznych, a zawierających pewne prawdy filozoficzne o ludzkim istnieniu wypowiedziane tonem kpiarza. Rola ta ma już bogate tradycje w historii teatru. Akcja sztuki w reżyserii Józefa Grudy przebiegała w jednej z sal Zamku Książąt Pomorskich, we wnętrzu o zabytkowej architekturze. Natomiast prawie wszystkich artystów ubrano w stroje współczesne. Było to przekrojowe spojrzenie na roz-



A. Fredro „Dożywocie”

fot. J. Piszczatowski

grywki moralne w kontekście kulturalno-historycznym starego i nowego sposobu traktowania problemów człowieka. Spektakl stał się „wydarzeniem teatralnym, jako próba powrotu do Szekspira po tyłu „Hamletach” przesadnie aktualizowanych, pisał Michał Misiorny w „Spojrzeniach” z 1971/2.

Ponownie sztuka filozoficzna, mówiąca o zagładzie człowieka, o upadku starych i kruchości nowych wartości, o kryzysie mieszczańskiej kultury, czyli „Szewcy” S. I. Witkiewicza, których wyreżyserował w 1974 roku Aleksander Strokowski. Teresa Dominiczak na łamach „Spojrzeń” w 1974/12 stwierdziła: „Marian Nosek i Ryszard Zieliński wbrew sugestiom autora, który sugerował, że aktor nie powinien wcielać się w przedstawianą postać, z ekspresją bliską realizmowi grali role szewców”.

To już druga sztuka Witkacego, w której Nosek odtwarzał postać głównego bohatera. Rok wcześniej, tzn. w 1973 grał tytułowego Jana Macieja Karola Wścieklicę. Wprawdzie nie została rozwiązana kwestia: jak grać autora „Szewców”, ale teatry chętnie umieszczają w swoich repertuarach dramaty Witkacego, w których światem rządzą antynomie. Już w 1922 roku Peiper pisał: „Witkacego nie wystarczy grać, trzeba chcieć go wygrać”. W inscenizacjach Witkacego nie wystarczy operować gestem, mimiką, przykrywając wszy-

stko formą. Tu aktor zmuszony jest do obnażenia swych zdolności. Jan Paweł Gawlik w swojej wypowiedzi w „Spojrzeniach” z 1973/1 na temat szczecińskiej inscenizacji „Wścieklicy” podkreślił: „Nawet tak krwisty i rzetelny aktor jak Marian Nosek ledwie zmieścił się w rygorach stylu, był wiarygodnym Janem Maciejem, stworzył postać rzetelną i prawdziwą”. Istotnie, w celu ukazania złożonej psychiki Wścieklicy nagromadził wiele różnorodnych środków wyrazu: technicznych i psychicznych. Ich natłok pozwolił zbudować sylwetkę barwną, lecz nierówną pod względem artystycznym. Owe miotanie się na scenie, nadużywanie gestu i głosu momentami zacierało ideę głównego bohatera. Niemniej to była rola Noskwa: próba zagrania człowieka wielkiego i małego uparcie składającego beczkę, z której wciąż spadały obręcze.

Z innych ról Noska na wyróżnienie zasługują: Smith w „Operze za trzy grosze” B. Brechta, Walter Buch w „10 paradoksach prokuratora Kempnera, czyli ostatnich dniach Hitlera” według scenariusza i reżyserii Józefa Grudy, Candor w spektaklu „Macbett” E. Ionesco. W „Jubileuszu” E. Redlińskiego zagrał Dziadka — byłego robotnika, uczestnika walk w Hiszpanii, naiwnie wiernego swym przekonaniom, ufne go w dobro przez siebie wywalczone. Umiera ze świadomością, że jego racje przejdą do historii. Również role z ubiegłych lat: doktor Buchanan w „Lecie i dymie” T. Williamsa, Orgon w „Dożywociu” A. Fredry i w „Wyzwoleniu” S. Wyspiańskiego potwierdzają jego aktorski talent. Najnowsza rola w „Burzy” Szekspira w zasadzie nie wzbogaca warsztatu twórczego Mariana Noska o nowe środki artystycznego wyrazu. Gonzalo to postać skupiająca dotychczasowe doświadczenia zawodowe tego aktora: mieści się w konwencji spektaklu, niekrzykliwa, spokojna, jakby niosąca godnie te wszystkie przymioty, którymi powinien odznaczać się stary, uczciwy doradca dworu, ale tylko z pozoru, bo ileż kryje się w tym ironii, przewrotności, właściwej stylowi gry aktora o zastygłej mimice.

Krótki przegląd spektakli z udziałem Mariana Noska pozwala stwierdzić, iż uprawia on aktorstwo tzw. ciepłe, poza tym precyzyjne, wyraziste, chociaż być może nie zawsze ta cecha wykorzystywana jest w inscenizacjach. To wszystko ujawnia się w jego pracy i daje dobre rezultaty, gdy ma możliwość posługiwać się wartościową literaturą, także emocjonalną, którą jest w stanie przekazać plastycznie, sugestywnie, wygrywając cienie i półtony, obnażając struktury psychiczne postaci o bogatym, skomplikowanym życiu wewnętrznym, uwzględniając przy tym konwencje sceniczne i prawdopodobieństwo psychologiczne na miarę danej sztuki.

W ciągu 25 lat pracy na scenie zdobył niemałe doświadczenie. Stworzył nie tylko własny styl gry, ale i pogląd na aktorstwo. Twierdzi, że aktorstwo to rzemiosło doprowadzone do perfekcji i wówczas można je nazwać sztuką. W osiągnięciu tak wysokiego poziomu wykonawstwa powinien pomagać reżyser, od którego oczekuje, by w czasie prób z aktorami tańczył walca, ale w czasie premiery dyskretnie usuwał się w cień.

Credo artystyczne Noska: Chciałby dojść do doskonałości w aktorstwie kameralnym, realistycznym, niegłośnym, o wielkiej sile wyrazu. Role, w których udało mu się wydobyć — choć częściowo — te tony uważa za swoje role najlepsze. Bo nie idzie tu o role li tylko pierwszoplanowe, lecz o rozwój artystyczny, doskonalenie warsztatu pracy, indywidualne samookreślenie się w teatrze.



KAZIMIERZ ŚLASKI

Mecenat artystyczny ostatnich książąt z dynastii zachodniopomorskiej

Średniowieczna kultura plastyczna na Pomorzu Zachodnim ukształtowała się stosunkowo późno, a dalszy rozwój sztuki sakralnej został zahamowany przez reformację. Ponowny rozkwit artystyczny kraju w dobie odrodzenia uwidocznił się przede wszystkim w dziedzinie sztuki świeckiej. O ile w średniowieczu poważną rolę w tym zakresie odgrywało mieszczaństwo i miasta, o tyle obecnie na pierwszy plan wysunęła się inicjatywa artystyczna panujących.

Sztuka dworska doby odrodzenia miała przede wszystkim służyć uświetnieniu panowania po-

szczególnych władców i podniesieniu ich zewnętrznego autorytetu. Stosunkowo skromne możliwości finansowe Pomorza, jak też niedostatek miejscowych artystów, powodowały jednak, że rozmach owej twórczości pozostawał wyraźnie w tyle za osiągnięciami współczesnych dworów niemieckich czy śląskich. Niemniej jednak opiece władców z dynastii zachodniopomorskiej zawdzięczamy powstanie szeregu zabytków architektury i plastyki.

W zakresie mecenatu artystycznego wyróżnili się już w pierwszej połowie XVI wieku książęta Barnim IX i Filip I. Z polecenia tego ostatniego powstało kilka dobrych portretów pędzla Łukasza Cranacha oraz słynna opona książąt de Croy z podobiznami ówczesnych panujących (obecnie w Greifswaldzie). Mecenatowi artystycznemu synów Filipa I: księcia szczecińskiego Jana Fryderyka (1542—1600) oraz wołogoskiego Ernesta Ludwika (1545—1592) Pomorze zawdzięczało powstanie wielu wartościowych zabytków architektury i sztuk plastycznych. W szczególności Jan Fryderyk szafował hojnie wydatkami na budowę, jak m. in. na przebudowę zamku w Słupsku (1583—1585) i Szczecinie (1575—1577). Spośród malarzy czynnych na jego dworze można wspomnieć Dawida Redtela twórcy nieistniejących już obrazów dla kaplicy zamkowej w Szczecinie i florentczyka Giovanni'ego Perini, który w 1571 wykonał portret księcia, a w 1577 r. ołtarze do kaplicy zamkowej.

Drugi z synów Filipa I, Ernest Ludwik kazał wzniesić w 1574 r. w Pudagla zamek dla swej matki. Trzeci z Braci, Bogusław XIII (1544—1606) był założycielem zamku we Franzburgu, wzniesionym według planów Krzysztofa Haubitzta w latach 1580—1587.

Sztukę dworską ostatniego okresu samodzielności Pomorza Zachodniego po 1600 r. cechuje przede wszystkim kult dynastii, wyrażający się m. in. w przewadze portretów i epitafiów, jak również silenie się na oryginalność.¹ Skutkiem zmniejszania się dochodów skarbowych pod wpływem zarysowującego się już upadku miast i zubożenia chłopów, zakres mecenatu książęcego uległ w tym okresie pewnemu ograniczeniu. Charakterystyczne zjawisko stanowiło także daleko posunięte rozdrobnienie kraju, przez tworzenie okręgów oddawanych w użytkowanie wdowom po panujących i młodszym przedstawicielom dynastii. Stan taki powodował rozproszenie istniejących zasobów i sił kraju na utrzymanie szeregu odrębnych rezydencji.

Bogusław XIII, podczas swych krótkich rządów w Szczecinie (1603—1606), starał się doprowadzić do równowagi finansów państwa i nie poświęcał poważniejszych środków na popieranie sztuki. Wdowa po Janie Fryderyku, księżna Erdmuta, zamieszkała na zamku słupskim (+1623). Ona to ufundowała wewnętrzne wyposażenie kościoła poddominikańskiego przebudowanego jej staraniem na kościół zamkowy. Najcenniejszym zabytkiem z tego okresu jest ołtarz ze sceną Ukrzyżowania i portretami pary książęcej, pędzla Jakuba Funke z Kołobrzegu.

Spomiędzy licznych synów Bogusława XIII najgłębsze zrozumienie dla sztuki przejawiał Filip II (1573—1618), który po ojcu objął księstwo szczecińskie. Był to człowiek wykształcony, o wielostronnych zainteresowaniach, zamiłowany bibliofil i kolekcjoner. Na jego koncepcje artystyczne wpłynęły niewątpliwie wzory oglądane w młodości podczas podróży zagranicznych oraz kontakty ze spokrewnionymi dworami: brunszwickim i duńskim. Zamiłowania Filipa znajdowały zrozumienie u jego małżonki Zofii, córki Jana ks. Sønderborg-Glücksborg, brata króla Danii. Wiele zamówień artystycznych było uzgadnianych między małżonkami².

W przeciwieństwie do swego stryja Jana Fryderyka, którego pasją była architektura, Filipowi II zawdzięczamy powstanie tylko kilku budowli. W latach 1606—1610 dokonano na jego zlecenie całkowitej przebudowy zamku w Szczecinku na rezydencję księżnej Anny, wdowy po Bogusławie XIII, a siostry księżnej Zofii (+1616). W 1612 roku Filip II wznosił poza miastem, na skarpcie doliny Odry, letni pałacyk, który znamy niestety tylko z rysunków, ponieważ uległ zburzeniu w czasie wojny 30-letniej. Największym przedsięwzięciem tego władcy była jednak budowa zachodniego skrzydła zamku szczecińskiego rozpoczęta w 1616 roku, a dokończona dopiero przez jego następców. W skrzydle tym pomieszczone zostały zbiory artystyczne oraz biblioteka książęca³.

Upodobania Filipa II wyrażały się przede wszystkim w gromadzeniu dzieł sztuki i osobliwości artystycznych. W tej dziedzinie książę zawdzięczał wiele radom i pośrednictwu zamożnego kolekcjonera z Augsburga, Filipa Hainhofera, z którym przez wiele lat pozostawał w stałym kontakcie.

Wśród wielu dzieł sztuki zgromadzonych przez Filipa II można wymienić sepet hebanowy bogato zdobiony srebrem, intarsjami i malowidłami oraz model gospodarstwa, tzw. „Meierhof”: oba wykonane w Augsburgu według koncepcji Hainhofera w latach 1610—1617. Zbiory obejmowały również pokaźną ilość wyrobów złotniczych, srebro stołowych oraz monet, jak też około 100 portretów, w tym portret Zygmunta III.

Wartościowym zabytkiem sztuki był album Filipa II, obrazki o jednolitym formacie, fundowane przez panujących i dostojników z różnych krajów, wśród nich także z Polski. Według zachowanego wykazu z 1617 roku obejmował on 67 akwarel, 4 oleje i 42 nie określonych bliżej pozycji. Obrazki do albumu zamawiane były przeważnie w Niemczech. Król Zygmunt III ofiarował np. obraz „Rzeź niewiniątek” pędzla Johana Pantzera, królowa Konstancja „Przybycie królowej Saby do Jerozolimy”, dzieło Tobiasza Beinharda, król Lewicz Władysław „Św. Jan Chrzciciel na puszcy”. Książę Janusz Rodziwiłł podarował obrazek „Anioł uśmiercający wojsko assyryjskie” a jego małżonka Elżbieta — „Dzień witające Saula i Dawida”. Królowa Anna Wazówna figuruje w liście osób, które nie dostarczyły jeszcze obrazu.

Nieco zbliżony charakter miały 4 tomy tzw. „Visierungsbücher”, zawierające kolekcję niewielkich malowideł i rysunków różnych mistrzów, w tej liczbie dzieła Łukasza Cranacha, Piotra Breughela, Antoniego Mozarta i in.⁴

Należy jeszcze wspomnieć o mapie Pomorza opracowanej w latach 1610—1618 na zlecenie księcia przez Eilharda Lubinusa i wykonanej przez amsterdamskiego miedziorytnika Mikołaja Geilkerckusa. Zdobiły ją widoki miast pomorskich, przeważnie według rysunków Hansa Wolfarta oraz podobizny żyjących wówczas członków dynastii.⁵

Zainteresowania Filipa II dotyczyły przede wszystkim sztuki dworskiej. Był on jednak także fundatorem dzieł o charakterze sakralnym, jak np. epitafia Barnima VI i Bogusława XIII, czy też srebrne płaskorzeźby pasyjne rozpoczęte przez Johanna Körvera w 1607 r., a następnie kontynuowane przez Krzysztofa i Zachariasza Lenckerów. Weszły one następnie w skład tzw. srebrnego ołtarza z Darłowa.

Wiele z zamówień Filipa II było realizowanych w warsztatach zagranicznych, jak np. srebrna płaskorzeźba księcia i jego małżonki Zofii, wykonana w Augsburgu w 1614 r. przez Jana de Vos, czy też wspomniany już srebrny koszyk do przyborów do szycia lub sepet hebanowy, dzieło 21 rzemieślników augsburskich. Wiadomo jednak o niektórych artystach, zatrudnionych w początku XVII w. na dworze, jak np. Matthias Netter autor portretu Barnima X i jego żony Anny Marii, Heinrich Kote, Johann Leonisius twórca portretu ks. Franciszka i jego żony Zofii, Ottavio Amati z Florencji, dalej złotnicy Johann Kampffer i Johann Körver, stolarz Esaias Hepp i in.⁶

Zamiłowania artystyczne wykazywał również syn Ernesta Ludwika — Filip Juliusz (1584—1625), książę wołogoski. W latach 1605—1611 wzniesiono z jego inspiracji pałacyk myśliwski w Bergen. Następnie Filip Juliusz przystąpił do rozbudowy zamku w Wołogoszczy (Wolgast). Przy pracach tych czynny był m. in. kamieniarz gdański Wilhelm Barth. Trzecią budowlą wzniesioną około 1615 r. był pałacyk letni we Fressendorf na wyspie jeziora. Niestety żadna z tych budowli nie przetrwała do naszych czasów.

Wyrazem upodobań artystycznych księcia Filipa Juliusza stał się również ufundowany przez niego bogaty strój rektorski dla uniwersytetu w Gryfii. Podobny strój ofiarował on uprzednio uniwersytetowi w Lipsku, gdzie ongiś studiował. Należy także wspomnieć o mapie Rugii, wykonanej około 1608 roku przez E. Lubina, która jednak nie dorównywała wykonaniem artystycznym późniejszej mapie całego Pomorza⁷.

Franciszek I (1577—1620), który objął tron szczeciński po bezpotomnym zgonie Filipa II, lubował się w sprawach wojennych i nie przejawiał głębszego zainteresowania dla sztuki. Niemniej jednak w okresie swych rządów w dzielnicy kołobrzeskiej dał on odnowić kościół zamkowy w Koszalinie (1602—1609). Po przeniesie-

niu rezydencji do Szczecina dokończył budowy skrzydła zachodniego tamtejszego zamku, ozdabiając je tablicą dedykacyjną z podobiznami — swoją i brata Filipa. Za radą F. Hainhofera polecił również wiedeńskiemu mistrzowi Abrahamowi Schwartzowi wykonanie wspaniałej ozdoby pieczęci, zamówionej jeszcze przez Filipa II⁸.

Najmłodszy z braci Ulryk (1589—1622) w okresie swych rządów w ziemi kołobrzesckiej i szczecineckiej rozbudował zamek w Szczecinku, gdzie następnie od 1622 do 1650 roku rezydowała jego wdowa Jadwiga z książąt Braunschweig-Wolfenbüttele. Interesowała się ona kulturą i sztuką, utrzymywała na swym dworze malarza i złotnika, a w 1640 roku ufundowała w Szczecinku gimnazjum.

Ulryk był wyśmienitym strzelcem i otaczał swą opieką bractwo strzeleckie w Szczecinie, dla którego ufundował kosztowne insygnia. Jako tytularny biskup kamieński ofiarował również w 1622 roku do tamtejszego skarbcza katedralnego srebrną konew na wino, ozdobioną ornamentami i herbem⁹.

Bogusław XIV (1580—1637), który objął po bracie Franciszku księstwo szczecińskie, a w 1625 roku, jako ostatni z dynastii odziedziczył także księstwo wołogoskie, nie wykazywał zamiłowań artystycznych. Ostatnie lata jego panowania przypadły ponadto na okres wojny trzydziestoletniej, nic więc dziwnego, że tylko nieliczne dzieła sztuki można związać z jego osobą. Należy do nich piękny albastrowy kominek w zamku szczecińskim z 1626 roku, dziś nie istniejący, kilka portretów, parę ozdobnych sztuków i galowa halabarda z 1625 roku oraz pierścien, ofiarowany uniwersytetowi w Gryfii.

W przeciwieństwie do ostatniego władcy Pomorza Zachodniego, żona jego Elżbieta, siostra księżnej Zofii, interesowała się od młodości sztuką. Z jej osobistego dobytku pochodził np. piękny intarsjowany stół, wykonany około 1615 roku w Augsburgu.

Po śmierci męża księżna Elżbieta rezydowała do końca życia (+1653) na zamku darłowskim, gdzie ongiś spędziła pierwsze lata małżeństwa. Jej staraniem odnowiony został kościół zamkowy. W latach 1636—1639 ufundowała tam hebanowy ołtarz, w który wmontowano srebrne płaskorzeźby, wykonane ongiś z polecenia Filipa II. Z tego samego czasu pochodzi piękna barokowa kazalnica, prawdopodobnie wykonana w Holsztynie, przeniesiona później do kaplicy św. Gertrudy¹⁰.

Większa część dzieł sztuki stanowiących wyposażenie rezydencji Gryfitów przeszła po zgonie Bogusława XIV na jego siostrę Annę. Ta ostatnia, wdowa po księciu de Croy-Arehot, rezydowała od 1622 roku bądź to w Szczecinie, bądź też na zamku w Słupsku, gdzie też zmarła w 1660 roku jako ostatnia przedstawicielka dy-

nastii zachodniopomorskiej. W Smołdzinie staraniem księżnej Anny wzniesiono około 1632 roku nowy kościół parafialny. Otrzymał on piękny ołtarz o bogatej ornamentyce barokowej oraz ozdobiony został malowidłami, wykonanymi zapewne w latach 1640—1645 przez słupskiego malarza Ligefota¹¹. Najcenniejszy z nich, portret kaznodziei Michała Mostnika, znajduje się obecnie w zbiorach Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku.

Większość spuścizny artystycznej — stanowiącej ongiś własność dynastii — odziedziczył z kolei syn Anny — Ernest Bogusław Croy-Arehot (1620—1684). Na kilka lat przed zgonem ufundował on swojej matce bogaty nagrobek w kościele zamkowym w Słupsku, w którym znajduje się również jego własny nagrobek.

Wraz ze śmiercią Ernesta Bogusława pamiątki po dynastii zachodniopomorskiej uległy ostatecznemu rozproszeniu. Niektóre z nich trafiły do zbiorów spokrewnionych rodzin, w szczególności Hohenzollernów i Wettynów. Niejedne przypadły z kolei w toku drugiej wojny światowej¹².

Budowle wzniesione staraniem władców Pomorza Zachodniego uległy przeważnie zniszczeniu. Niektóre z nich, jak na przykład zamek w Wołogoszczy (Wolgast), Koszalinie, Karlinie, Słupsku spotkał ten los jeszcze w XVII i XVIII wieku. Inne — jak na przykład zamek szczeciński — zrujnowane zostały w czasie ostatniej wojny. Wobec niewielkiej liczby pamiątek po Gryfitach, zachowanych na obszarze Polski, tym bardziej warto przypomnieć rolę ostatnich przedstawicieli dynastii jako mecenasów sztuki.

¹ G. Chmarzyński, *Od romanizmu do schyłku baroku (w:) Pomorze Zachodnie — praca zbiorowa pod red. J. Deresiewicza, Poznań 1949, t. I, s. 197—200.*

² J. Steen-Jensen Hertug, *Hans den Yngre, bm. 1971, s. 26.*

³ H. Dziurla, *Szczecin — zamek i jego odbudowa, „Szczecin” 1959, nr 1—2, s. 46—47.*

⁴ H. Bethe, *Die Kunst am Hofe der pommerschen Herzöge, Berlin 1937, s. 96—102, 90—92, 80—85; J. Müller, Neue Beiträge zur Geschichte der Kunst und ihrer Denkmäler in Pommern, Teil VI „Baltische Studien” 28/1872/, s. 252—254; tamże, Teil VII, s. 512, 517—526; tamże, Teil III, s. 39—62.*

⁵ K. Chojnacka, *Z kartografii pomorskiej XVII wieku, „Przegląd Zachodni”, t. VII, 1951, s. 270—274.*

⁶ H. Bethe, *Die Kunst am Hofe... op. cit., s. 72, 76; H. Dziurla, Szczecin — zamek... 30—31.*

⁷ H. Bethe, *Die Kunst am Hofe... op. cit., s. 107—109.*

⁸ Tamże, s. 112—114; H. Dziurla, *Szczecin — zamek... op. cit., ryc. 38.*

⁹ H. Bethe, *Die Kunst am Hofe... op. cit., s. 115—116.*

¹⁰ Tamże, s. 122; B. Kopydłowski, *Ołtarz z Darłowa, „Biuletyn Historii Sztuki” 1954, s. 450—463.*

¹¹ G. Chmarzyński, *Od romantyzmu... op. cit., s. 298; J. Müller, Neue Beiträge... op. cit., Teil IV, „Baltische Studien” 28, s. 149—155. Odnośnie wystroju kościoła w Smołdzinie korzystałem z uprzejmej informacji dr Z. Szultki.*

¹² J. Müller, *Neue Beiträge... op. cit., Teil V, s. 39—62.*



ADAM KOZIAK, „10-tka” — *łńoryt*. Wyróżnienie w konkursie „Konik Morski '79”

fol. W. Termanowski

UFO

nad Pomorzem

O UFO napisano już setki książek. W Polsce mamy dwa przekłady Daenikena i książkę Arnolda Mostowicza „My z Kosmosu”. Nie będziemy więc cytować znanych opinii uczonych ani badaczy-amatorów. Poszukamy wyjaśnienia tajemniczych zjawisk w szczecińskich archiwach. Odnaleziono tam rękopis siedemnastowiecznego mnicha, archiwisty Księcia Bogusława XIV.

* * *

Roku Pańskiego 1679

Ja, Archiwista Miłociwego Pana Księcia Bogusława XIV, chcąc w zgodzie ze swym sumieniem pozostać, kreślę te słowa potomnym ku przestrodze.

Powiada prosty lud, że to UFO.

Taka przyjęła się nazwa, a to za przyczyną zamorskiego szarlatana, co jakiś czas gościł u nas, mieszczanina niemieckiego — Dominikena. Ten wielu omamił teorią, której na początku i ja dałem wiarę. „Zjawiska — powiadał Dominiken — jakie obserwujemy od czasu do czasu na sklepieniu niebieskim, to wehikuły przedziwne, a zasada ich działania jest nie do pojęcia przez nas, ludzi zmierzchającego średniowiecza”.

„ULTRAFUTURUS OPERA” nazwał po łacinie owo zjawisko, co oznacza wytwór przyszłości tak dalekiej, że nie wiadomo czy Ziemia nasza kiedykolwiek jej do-czeka. Stąd skrót, znany zwłaszcza pośród ludu prostego — UFO.

„Wehikuły — powiadał Dominiken — przybywają z odległych planet gdzie też żyją ludzie, ale bardziej światli niż ziemianie, bo dawno już otrząsnęli się z mro-ków średniowiecznych, rozwinęli swe nauki i tak, jak my na statkach przemierza-my bezkresne morza, tak oni w przestworzach mkną, Ziemię i Księżyc oglądając, i inne planety, i inne słońca, bo są nawet inne słońca”.

Pan Nasz Miłociwy wielce się do owej teorii zapalił, wiódł długie z Domi-nikenen dysputy, uczył na jego cześć wydawał, a mnie zlecił zebranie wszelkich informacji z Grodu Naszego i okolic, i sporządzenie dokumentacji dotyczącej UFO.

Tak zacząłem, na swą zgubę, penetrację kościelnych archiwów, zapomnianych księgozbiorów i pamiętników:

„W lipcu 1618 roku Kleus Neuman spod Szczecina zobaczył wieczorem na nie-bie dziwne światło. Po chwili na ziemię zleciało coś podobnego do gołębia. Gołąb ten przemienił się w chłopca w wieku około czterech lat, w białej koszuli, który z nim rozmawiał. Po kilku minutach chłopiec zniknął, a ów pasterz zobaczył po-ruszające się nad nim spektrum, podobne do gwiazdy.

25 stycznia 1630 roku, w przeddzień otwarcia Sejmu w Szczecinie, widziano nad miastem dwa wielkie promienie, które jakoby nacierały na siebie. Zjawisko to było widoczne w wielu państwach. Dr Schigkordius napisał o tym traktat.

W styczniu 1633 roku widziano w Szczecinie, w biały dzień, dwie jaśniejące gwiazdy na niebie. W tym samym czasie w Wołogoszczy pojawił się na niebie meteor podobny do płonącego krzaka, który po pewnym czasie rozpląnął się i zgi-nął.

W marcu 1637 roku w Szczecinie zauważono, o godzinie trzeciej rano, jakąś białą plamę świecąca bardzo jasno. W środku tej plamy powstała bryła ognia, któ-ra urosła do wielkości domu. Była ona u góry czerwona, a u dołu biała. Wyrzu-cała z siebie na wszystkie strony wielkie ogniste płomienie, smugi ognia i czer-wone pręgi. Raz opadła nad młyn, to znowu zatrzymała się nad wałem, potem nad wartownią, z której wybiegało wielu żołnierzy, żeby obejrzeć to niezwykle zjawisko. Od światła tej bryły było tak jasno, że można było znaleźć igłę. Ludzie z Grabowa, którzy to przypadkowo widzieli, twierdzili, że była to jakaś ognista materia spadająca na ziemię. Trwało to ponad godzinę.”

W rozmowach ze mną powiadał Dominiken, że lud ciemny, a strachliwy na widok UFO dostaje gorączki, z czego tylko zwidy, majaki i pusta fantazja. Nie-ktorzy z tego wszystkiego umierają, niektórzy popadają w obłąd, wszystko dlate-go, że biorą UFO za przestrogi jakieś niezrozumiałe, kary boże albo wyrocznie. A to tylko międzyplanetarne statki przecież. Trzeba ludziom wytłumaczyć.

Tak mi prawili, ale ja już nieufności do niego nabierać począłem. Ludzie wie-rzyli mi rzeczywiście i ze wstydem mówili do siebie:

„Strach ma wielkie oczy. Cóż UFO to UFO”. I rozprawiali wieczorami o innych planetach, gdzie ponoć życie kwitnie uczone, a sprawiedliwe i marzyli, że spełni

się kiedyś dominikenowska przepowiednia, zjadą na swych ognistych rumakach Zieloni Żeglarze, aby z ciemnoty i ucisku ich wyswobodzić, nowe prawa ustanowić, gdzie każdy sam zadecyduje o swym życiu, a nie tak, że ze ślepego przypadku chłopem albo królem się narodzi. Tak rozważali piwem przepijając, a bacząc pilnie czy co nie pojawi się aby na niebie.

A ja już wiedziałem, że to nie może być takie proste, jak to Dominiken naopowiadał.

I wciąż gromadziłem fakty:

6 czerwca 1636 roku w Pyrzycach wielu ludzi widziało, jak księżyc wzeszedł czarny jak węgiel. Po chwili ukazał się świecący krzyż. Potem pokazał się wokół księżycyca tłum ludzi wymachujących rękoma. W końcu obrazy zniknęły, a księżyc przybrał swój naturalny wygląd.

W 1629 roku sekretarz książeący i dwaj jeszcze inni urzędnicy, wracający późnym wieczorem z dworu książecego, ujrzeni na niebie w pobliżu księżycyca kształt wielkiego lwa. Lew był jak żywy. Po pewnym czasie obrócił się paszczą na zachód i poszybował na północ. W tym samym czasie wzeszedł drugi księżyc. Nazajutrz o czwartej rano widziano dwie tęczę, które od strony księżycyca nałożyły się na siebie.

23 maja 1592 roku, od godziny 10 przed południem aż do pierwszej po południu, widziano w Szczecinie wokół Słońca wielki krąg. Następnej nocy w całym mieście padała — wraz z deszczem — krew i siarka, którą jeszcze rano można było zobaczyć pod programi domów i na bruku w szparach między kamieniami. Siarka padała też 29 maja 1594 roku.

Teraz mogę z całą odpowiedzialnością stwierdzić — i jeśli by było trzeba, gotów jestem zginać na stosie — dookoła nas pełno czarów. I to jest cała prawda.

Otóż udało się Czarnoksiężkiemu Klanowi zepchnąć swoje istnienie w krainę baśni. Wszelkie baśnie zaprzeczały odtąd ich istnieniu — wszak wiadomo, że baśnie nie kłamią. Dominiken miał proste zadanie — w niby to uczony sposób — objaśnić tak częste, niewytłumaczalne zjawiska.

Powie ktoś, że skoro Klanowi rzeczywiście zależy na utrzymaniu w tajemnicy istnienia czarów, to niechby przestali w końcu tak nachalnie czarować i rzecz byłaby zażegnana. Otóż jest to niemożliwe. Tak, jak każdy człowiek mówi czasem przez sen, tak czarownice i czarowniki czasem bezwiednie wywołują zjawiska, które się przeróżnie materializują na sklepieniu niebieskim, jako w zwierciadle widocznym dla wszystkich. A ileż sporów i kłótni w Klanie kończy się huraganem, burzą albo przerażającymi obrazami, na które Dominiken wymyślił, jakże pustą nazwę — UFO.

Każda podejrzana sekta, a więc i Klan Czarnoksiężski, chce pozostać nieznaną, a ja miałem nieszczęście wpaść na jego trop. Czarodzieje są wśród nas! A czapki niewidki, różdżki, amulety, duchy, wiedźmy — wszystko, wszystko to prawda.

Ale wiedziałem, że Księżę nie zechce mnie wysłuchać i do końca, do ostatniej chwili uzupełniałem dokumentację:

W czerwcu 1637 roku w Kołobrzegu pokazało się nad miastem spektrum na kształt długiego smoczego ogona. Widać było nawet ogień i dym. Potem pojawiły się na niebie lwy, niedźwiedzie, jeźdźcy walczący ze sobą. Słyszano też strzały. W końcu na niebie ukazało się zupełnie wyraźnie miasto Kołobrzeg, z kościołem, ratuszem i innymi domami.

W sierpniu 1639 roku w Koszalinie słońce wzeszło czarne jak węgiel. Pokazały się też chmury, z których jedna przybrała kształt wozu pełnego ludzi ubranych na czarno. Ludzie ci strzelali grotami do słońca.

3 sierpnia 1623 roku wieczorem w Sławnie ukazał się na niebie biały krzyż, który przyszedł z północy i poszedł na południe. Cały horyzont miasta był zasłonięty. Wiele osób bardzo się tym przerażyło. W październiku tegoż roku w Greifswaldzie widziano w powietrzu ognisty miecz.

Dominiken, ohydny czarodziej, wiedział, że odkryłem jego tajemnicę. Zostałem porwany tajemną siłą. Siedzę teraz w ponurym zamczysku na krańcu świata, uwięziony na zawsze w pustych komnatach. Wiem na pewno — Dominiken opowiedział Księżcu, że na własne oczy widział lądujący wehikuł i zielonych człowieczków, którzy do środka mnie zaprosili i odlecieli ze mną na zawsze, gdzieś na odległą planetę. I nikomu nie przyjdzie do głowy, że to nie Ultrafuturus Opera — mechanizm niepojęty, ale baśń, zwyczajna baśń, jaką babcie pacholećtom przed snem opowiadają.

Kimkolwiek będziesz ty, który poznasz treść tego rękopisu, pamiętaj:

Dookoła ciebie istnieje Czarnoksiężski Klan. Wszystko, co w sposób rzeczowy, ale zawiły zostaje ci wytłumaczone, jest kłamstwem. A gdybyś natknął się na ognistą kulę, srebrne wehikuły, rozbłyski czy krwawe smugi — pamiętaj, że to nie UFO.

To po prostu czary!

WIZYTA U ASTROLOGA

HALINA LIZIŃCZYK

Pan Leszek Szuman jest znanym w całym kraju astrologiem. „Kopalnią wiedzy astrologicznej” nazwał go Leszek Weres w artykule zamieszczonym w „Kulisach” (nr 12, 1979). Być może za parę lat specjalistów tej podejrzanej dziedziny będziemy nazywać po prostu kosmobiologami. Na razie niewiele osób zdaje sobie sprawę z tego, jak rozległe obszary wiedzy objąć musi umysł astrologa, zanim spróbuje on określić psychofizyczną osobowość człowieka. Pana Leszka Szumana zajmuje od dawna problem UFO. Pisał na ten temat w „Miesięczniku Literackim” w r. 1977 („UFO — problem kontrowersyjny”), a obecnie przygotowuje książkę o latających spodkach.

* * *

L. Szuman: Pani widzi? To wszystko dotyczy UFO, jest tych książek ze dwadzieścia kilo. I co chwila przychodzi coś nowego. To bardzo trudny temat — 95% zelgane, a 5% nie ma prawa być. Bo to się po prostu nie mieści w tym, co my wiemy z dziedziny fizyki. Nasza nauka nie ma nawet dwustu lat, właściwie jesteśmy gdzieś w początkach dopiero. A jesteśmy wszyscy niesłuchanie zarozumiali. Nam się zdaje, że bóg wie co wiemy. Tymczasem, jak co do czego przyjdzie, to się okazuje, że co tydzień wyskakuje nowa teoria.

Ja mam rozwiązanie tego zagadnienia i o tym piszę w książce, ale to też nie będzie miało prawa być. A tutaj, niech pani popatrzy — to wszystko się wiąże z UFO: „Skok w czas”, „Paraprzestrzeń”... Czy pani wie, co to jest paraprzestrzeń?

H. L. Nie.

L. Szuman: Ja też nie. Clemencau, sławny matematyk francuski udowodnił, że istnieje czwarty wymiar, piąty wymiar, szósty wymiar... On powiedział: I tak nikt z ludzi nie zrozumie, co to jest czwarty wymiar. Nikt, bo jeśli my żyjemy w trzech wymiarach, to czwartego nie możemy zrozumieć. A to, co można by wytłumaczyć, to nie ma prawa być. W książce wyjaśniam mój punkt widzenia na to wszystko — całkiem prosty.

H. L.: Czy może Pan teraz uchylić rąbka tajemnicy?

L. Szuman: Nie, skąd! Mam zupełnie odmienne koncepcje niż wszyscy autorzy, którzy cokolwiek o UFO pisali. I to nie są koncepcje fantazyjne, ale wnioski logiczne. A co tam jest, to się pani dowie, jak książkę wydadzą.

H. L.: Co Pan sądzi o pojeździe, który wylądował u rolnika w Emilcinie?

L. Szuman: Kpiny czyste. Przylatują kosmici, którzy mają technikę niesłychanie wysoką i czym oni się specjalnie interesują? Spinką od jego paska! To dzieciom można takie bzdury opowiadać. I tam było kilka takich rzeczy. W pobliżu tej wsi jest lotnisko helikopterów i na pewno ktoś zrobił kawał.

H. L.: Od średniowiecza notowano tu i ówdzie, że np. pojawił się na niebie słup ognisty, miecz lub lew, który walczył ze smokiem, itp. Czy można to wyjaśnić tylko zjawiskami atmosferycznymi?

L. Szuman: Nie. Dużo rzeczy się zgadza. Mam tu mnóstwo zdjęć, rysunków, obrazków latających spodków ze średniowiecza i czasów prehistorycznych. Wtedy też były.

H. L.: Ale czy nie można przyjąć takiej interpretacji, że to tzw. pozorne słońca, zorze i ich odbicie?

L. Szuman: Tu chodzi o zrobienie pieniędzy. To jest główny motyw pisania książek i wyjaśniania tych zjawisk. Jest książka Adamskiego, która zrobiła szum na całym świecie, wszyscy w Adamskiego wierzyli. Pani wie, ile on na tej broszurce zarobił?, ten parówkarz — bo miał budkę z parówkami — pół miliona dolarów! Za te pieniądze ja jeszcze więcej mogę napisać.

H. L.: Czy Pan nigdy nie zaobserwował czegoś w rodzaju UFO?

L. Szuman: Nie. Ale to o niczym nie świadczy. Motto mojego wstępu będzie takie: „— Nie wierzę w UFO, ponieważ ich jeszcze nie widziałem. — A wieloryba pan widział? — Nie. — A podobno istnieją.” Tak się rozpoczyna moja książka. Mam jeszcze roboty na dwa miesiące. Za wiele srok trzymam za ogon. Jestem tłumaczem — z tego żyję. Horoskopy — teraz zlikwidowałem, odsyłam wszystkich do mamy czortowej, bo bym zwariował.

H. L.: Wyobrażam sobie kiermasz, na którym sprzedaje się wznowienie wydanej przed kilku laty książki „Astrologiczna charakterystyka dwunastu typów ludzi w zarysie”.

L. Szuman: Pani wie, co się robi? W Warszawie jedno przedsiębiorstwo odbija to na ksero i sprzedaje po dwieście złotych. Proszę zobaczyć to pudło pod stołem. To są rzeczy, które nadają się do druku. Żeby mi to wydrukowali, byłbym milionerem. Ale każdy się krępuje, wstydzi się, bo on

w to nie wierzy, a po cichu przychodzi po horoskop.

Nie ma dobrych książek o astrologii. To wszystko jest wróżbiarstwo. Astrologia jest ściśle związana z medycyną. Mam uczennicę, która jest lekarką. Ma trzy specjalizacje.

Proszę pani, to obkołowało wszystkie wydawnictwa. Przecież ja nie będę pisał do szuflady, bo jestem na to za stary. Ale horoskop każdy chce mieć.

H. L.: Ma Pan jednak zwolenników w świecie nauki, weźmy Leszka Weresa.

L. Szuman: No tak, jest paru ludzi, którzy uważają, że mam coś w głowie. Ale na ogół ludzie się ze mnie śmieją. Nawet w domu uchodzę za dziwaka.

H. L.: Podziela Pan los wszystkich pionierów nauki. To nic nowego.

L. Szuman: Tak samo ja sobie powiedziałem. O, proszę spojrzeć — „Horoskopy porównawcze” — jedyna książka tego rodzaju na świecie tak solidnie opracowana. Czy partnerzy sobie odpowiadają. Astrolog to pani powie w kilku minutach. Tylko, że nie wierzą. Lecą najpierw do urzędu stanu cywilnego, potem do kościoła, żeby mocniej trzymało, potem robią dziecko, a potem przychodzą do mnie. Ja mówię: do mnie? po co? Do adwokata teraz idźcie, nie do mnie.

Tu znów mam „Wesoły horoskop — zbiór wierszowanych reguł astrologicznych”. Pisałem to wierszem, żeby lepiej spamiętano. Teraz, miejmy nadzieję, wyjdą piękne karnety, 12 znaków Zodiaku z moimi wierszykami. KAW to trzyma. Na pierwszej stronie znak Zodiaku, ale nie przez byle pętaka robiony, tylko według wzorów z siedemnastego wieku, holenderskie, kolorowe arcydzieła.

H. L.: Skoro już zgodził się Pan na moją wizytę, korzystam z okazji i chciałabym Pana prosić o rozstrzygnięcie problemu, który z UFO niewiele ma wspólnego. Otóż znak Zodiaku, pod którym przyszłam na świat nie przystaje do mojego charakteru.

L. Szuman: Kiedy się pani urodziła?

H. L.: (podaję dokładną datę). Jestem Lwem.

L. Szuman: Pani niby ma Lwa, ale na takiego Lwa to pani nie wygląda.

H. L.: Właśnie. Coś tu się nie zgadza.

L. Szuman: Proszę pani, ja mam tyle dat urodzenia, które się nie zgadzają. Potem się okazuje, że ktoś tam byle jak zapisał albo nie zapisał wcale, później dopisali.

H. L.: W moim przypadku to raczej niemożliwe. Ojciec — organista, sam pisał akta.

L. Szuman: No tak, to on pewno napisał dobrze. Nie, pani nic z Lwa w sobie nie ma. Raczej z Raka.

H. L.: Jak więc sobie tłumaczyć takie przesunięcie?

L. Szuman: Trzeba by sprawdzić, może ma pani bardzo silnie obciążone inne znaki. A ten bidny Lew jest taki samotny, gdzieś tam w dwunastym polu albo coś w tym rodzaju. Zaraz to sprawdzimy. A pani niech sobie tymczasem przeczyta o Raku. To o pani.

H. L.: (czyta)

Marzycielski, receptywny,
domatorski i pasywny.
Tradycyjny, romantyczny,
czuły i dyplomatyczny.
Delikatny, obraźliwy,
uczuciowy, zbyt wrażliwy.
Grzeczny i opanowany,
do rodziny przywiązany.

L. Szuman: To są te cechy, które się najczęściej spotyka u danych znaków. Nie ma przecież dwunastu typów ludzi. Teoretycznie ma pani w horoskopach dwa miliony możliwości. Nie biorąc pod uwagę takich rzeczy, jak: pochodzenie, religia, epoka, wykształcenie, no i tysiąc innych. A dziedziczność? Często np. położenie księżycy jest takie samo u dzieci jak u rodziców. Dlaczego? Ha!

A o której godzinie się pani urodziła?

H. L.: O pierwszej po południu.

L. Szuman: To znaczy, że ma Pani tego Lwa w dziewiątym polu, a w dominantach znak Panny.

H. L.: (czyta)

Panna chłodna, beznamiętna,
bystra, do pomocy chętna.
Jej poglądy są krytyczne,
nieraz może zbyt sceptyczne.
Pewna, ścisła, niezawodna,
pracowita, wiarygodna.
W życiu trochę jest nieśmiała,
lecz w uczuciach wierna, stała.

L. Szuman: Trzeba by cały horoskop zrobić, dokładnie wszystko rozpracować, bo takie powierzchowne poglądy nie mają sensu. Horoskopów w ogóle już nie robię, bo nie mam kiedy. Wyjątkowo.

H. L.: Dziękuję Panu za rozmowę, na którą poświęcił Pan tyle cennego czasu.



marabut

EUGENIUSZ A. DASZKOWSKI

Po deserze i kawie wsiedli do samochodu. Lekarz potwierał okna, żeby było czym oddychać, przekręcił kluczyk w stacyjce i dodał gazu. Statek przywiązany cumami do nabrzeża pozostał za nimi. Przejechali szeroką bramę portową i wpadli w Aleję Hassana, wysadzaną palmami, gdzie z obu stron rozsiadły się kolorowe, marokańskie bazyry, pełne dywanów, pufów, wyrobów z białego i żółtego metalu.

— Widzi pan — zaczął w samochodzie rozmowę lekarz — Afryka dla nas Europejczyków jest zaskakująca. Naładowani wiedzą teoretyczną i praktyką szpitalną, wierzymy ślepo w naszą mądrość i działanie wypróbowanych leków. Tu tymczasem spotykamy się z różnorodnością wierzeń i praktyk. Czasami trudno odsiać plewy od ziarna. Zwykle znachorskie bajdurzenie od prawdy. Marabuci na przykład sprawują tu dość złożoną i trudną do zlekceważenia rolę. Możemy czasami sobie z nich kpić, ale marabut — marabutowi nie jest równy. Marabut w Maroku to pustelnik, duchowny, znachor. Udziela wszelkiego rodzaju porad życiowych, nawołuje do modlitwy, leczy. Jeżeli pomaga ludziom, zdobywa sławę i uznanie. Po śmierci zostaje zamurowany w swym domku, jak w grobowcu, a wierni nadbudowują mu jeszcze białą kopułkę i odwiedzają pustelnię. Każdy z marabutów marzy za życia o kopule. Nie wszystkim jednak te marzenia się spełniają.

Lekarz na chwilę przerwał swe opowiadanie czy też wprowadzenie do tematu jeszcze nie ukończonego. Wyjechali już z centrum Casablanki. Droga prowadziła za miasto nad samym brzegiem morza. W dole, na żółtym, błyszczącym piasku i poszarpanych, wymytych wodą skałkach, rozpościerały się piękne kąpieliska o zróżnicowanej architekturze. Lekkie w budowie, utrzymane w różnym stylu, zapraszały do środka, wabiąc oczy kolorami, szmaragdową tonią sztucznych basenów, sąsiadujących jednocześnie z

otwartą plażą morską. Przybojowa fala rozpryskiwała się z szumem o rozrzucone szczerze skałki.

Skończyły się ogrodzone kąpieliska, jeszcze kawałek dzikiej plaży i po pięciu kilometrach jazdy pod górkę, lekarz zatrzymał samochód przed glinianą kapliczką z wąskimi oknami, uwieńczoną dużą, białą kopułą.

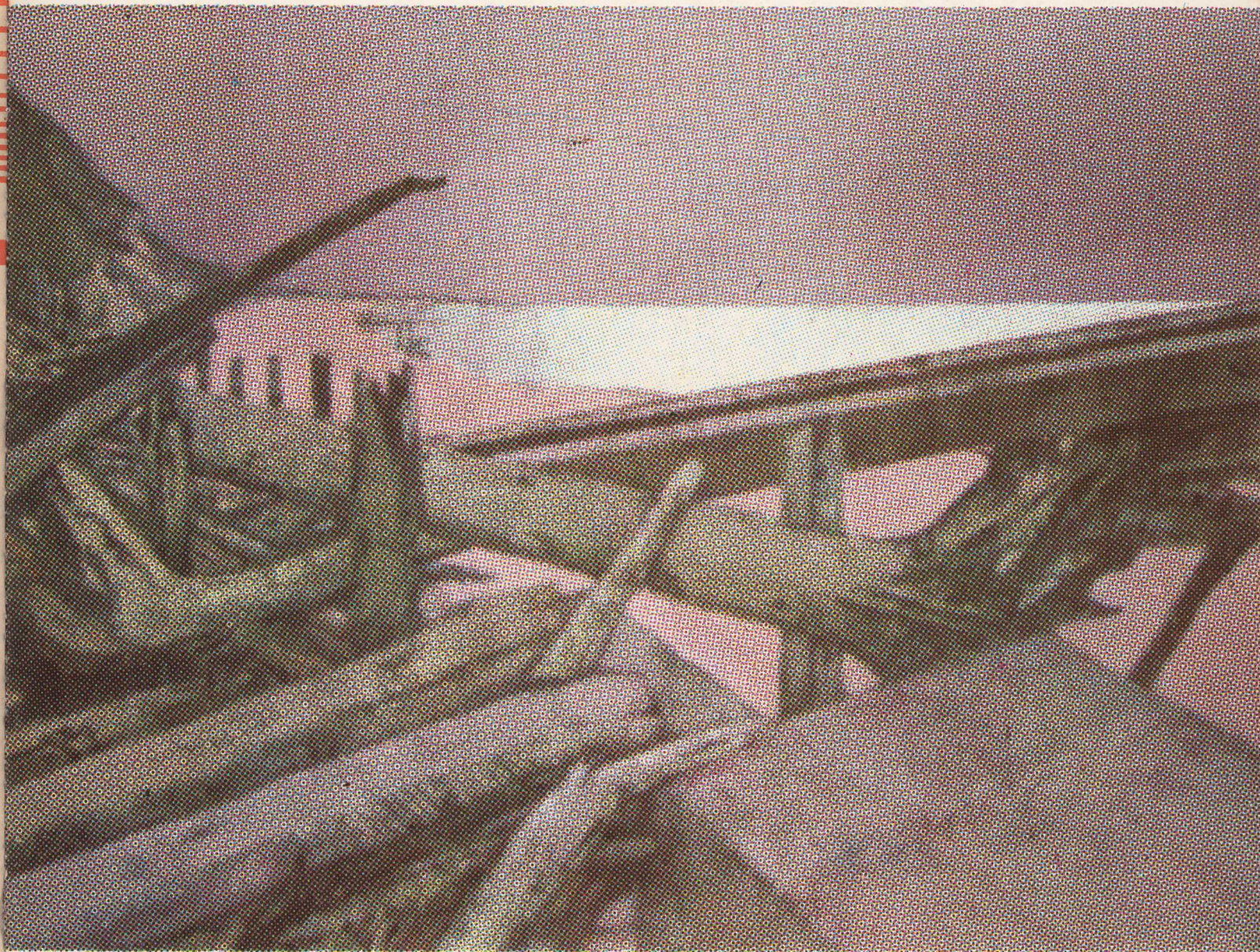
— Jesteśmy na miejscu. Chodźmy do środka — powiedział lekarz.

Kapitan udał się za nim. Kotara zasłaniała wejście. W środku kapliczki przed glinianym sarkofagiem siedziała kobieta. Skłoniła milcząco głowę w geście powitania. Ściany kapliczki były przyozdobione makatkami, grobowiec okrywały kolorowe narzuty. W kącie, w glinianych i blaszanych wazonach, stały żywe i zasuszone kwiaty. Na tacy, stojącej na małym taborecie, pieniądze. Wokół stało jeszcze kilka naczyń. Kapliczka była w środku wybielona, panował w niej miły chłód i nie sprawiała wrażenia grobowca. Było w niej po prostu kolorowo. Przez wąskie okienko w ścianie wpadała jasna smuga słońca i kładła się lśniącem prostokątem na narzucie ze złotymi frędzlami, okrywającej grobowiec.

— Widzi pan, tu leży mój marabut, z którym się przypadkowo zetknąłem przez mojego pacjenta. Szkoda, że już nie żyje. Całym swoim wyglądem i patriarchalną brodą czynił dobre wrażenie. Spoczywa w swej pustelni i wierni o nim nie zapominają. Zawsze ktoś tu czuwa i niech pan nie myśli, że tylko dla pieniędzy. Uważają, że nawet po śmierci ich marabut im pomaga. Przychodzą z nim porozmawiać, przynoszą pożywienie, kładą drobne datki na tacę. — Wyciągnął z kieszeni pięć dirhamów i dołożył do leżących drobniaków. Kobieta znów kiwnęła głową. — To wszystko, panie kapitanie, możemy iść, resztę o moim marabucie opowiem w drodze powrotnej. Pojedziemy teraz do przytulnej kafejki, pogawędzimy.

PIOTR WIECZOREK, „Po wiosennych sztormach” — olej. III nagroda w konkursie „Konik Morski '79”

fot. W. Termanowski



Wnętrze pracowni ZIEMOWITA SZUMANA (1904—1976) artysty malarza, inicjatora Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego i Międzynarodowego Pleneru Bałtyckiego, byłego prezesa Zarządu Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków oraz dyrektora Biura Wystaw Artystycznych, którego wystawę retrospektywną przedstawi w październiku 1979 roku szczecińskie Muzeum Narodowe.

fot. W. Termanowski



Powrót trwał krótko. Lekarz zatrzymał samochód w willowej dzielnicy, przed ocenioną kawiarnią. Usiedli na zewnątrz. Kelner przyniósł dwie małe kawy, ale za to mocne.

— Po przyjeździe do Maroka rozpocząłem pracę w miejscowym szpitalu. Jak to na początku, było trudno. Trzeba było i język podszlifować, a i zdobyć sobie uznanie kolegów i pacjentów. Ale jak to jest z nami za granicą, poważnie, lepiej czy gorzej, jednak dajemy sobie radę.

Któregoś dnia na dyżurze pielęgniarka przyprowadziła do mnie wynędzniałego i wymizerowanego pacjenta. Nazywa się Mohamed — powiedziała — i chory jest na epilepsję. Był tu już dwa lata temu i nie wyleczyliśmy go, ale teraz wygląda bardzo źle. Zrobiło mi się żal tego biedaka. Pomyślałem — spróbuję. Przyjąłem go do szpitala, chociaż z miejscami nie było łatwo. Oczywiście w prywatnych szpitalach standard leczenia jest zupełnie inny. Mohamed podziękował mi tylko zalęknionym spojrzeniem. Widać było, że jest załamany swą chorobą. Rzeczywiście trząś się niesamowicie. Ataki przebiegały falowo. Co pół godziny dostawał narastających dreszczy, czasami nawet tracił przytomność. Zastosowaliśmy wszystkie możliwe leki, elektrowstrząsy i zastrzyki. Zająłem się nim osobiście. Czasami zdawało się, że już, już jest lepiej, by po jednym lub dwóch dniach poprawy — wszystko zaczynało się od początku. Po czterech tygodniach leżenia nie posunęliśmy się nic naprzód. Jedynie odkarmiliśmy go trochę. Odżył. Przy kolejnym obchodzie, zatrzymałem się któregoś dnia przy Mohamedzie, żeby z nim porozmawiać. Na pytanie, jak się czuje, odpowiedział, że coraz gorzej i gdyby tylko miał pięć dirhamów, to na pewno marabut by go wyleczył, bo w szpital już przestał wierzyć. Masz dziesięć dirhamów! — powiedziałem ze złością. Jedź do tego swojego marabuta, a mnie się już więcej na oczy nie pokazuj! Wziął szybko pieniądze i zniknął ze szpitala. Zapomniałem o nim zupełnie, gdy któregoś dnia usłyszałem na ulicy znajome: — Sava tubib! Tak tu nazywają lekarzy. Obróciłem głowę w kierunku powitania i oczom nie wierzyłem. Miałem przed sobą Mohameda, ale jak wyglądającego! Gdyby nie jego śniada cera, można by powiedzieć: krew z mlekiem. Sam wygląd wskazywał na to, że jest zdrowy. — Dziękuję polski tubib — powiedział Mohamed — za pieniądze. Gdyby nie ty, to nie miałbym za co udać się do marabuta. Był nawet zdziwiony, że mi dałeś pieniądze na leczenie u niego, ale jak widzisz, wyleczył mnie i to w krótkim czasie. Już się nie trzęsę — powiedział rozbijając.

Było to dla mnie wręcz fantastyczne. Musiałem się dowiedzieć, jak go leczył ten miejscowy marabut. Zabrałem więc Mohameda do samochodu i pojechaliśmy na kawę. Zapytałem go, jak przebiegała jego udana kuracja.

— Bardzo prosto mnie ten marabut leczył — odpowiedział Mohamed. — Najpierw mnie nacierał przez trzy dni jakimś wywarem z ziół, również dawał mi coś gorzkiego do picia. Leżałem u niego w pustelni, pościłem się i trząsałem. Wydawało mi się, że czasami traciłem przytomność. Czuwała przy mnie kobieta, która okrywała mnie grubą płachtą. Potem czwartego dnia kazał mi wstać i wyjść z nim poza pustelnię na mały spacer. Przeszliśmy kilkanaście metrów. Zatrzymaliśmy się nad zasłoniętym krzakami dołem. Odsunął nogą liście i zobaczyłem pełen dół wijących się węży. Wtedy nieoczekiwanie mnie wpełchnął do tego dołu. Nie pamiętam nawet, czy krzyknąłem. Na pewno jednak straciłem przytomność. Kiedy przyszedłem do siebie, leżałem znów na posłaniu u marabuta. Uśmiechał się do mnie przyjaźnie i wtedy zorientowałem się, że nastąpiła we mnie jakaś zmiana. Nie trzęsę się i nie boję

się. Od tego czasu ani razu nie miałem ataku, a minęło już prawie osiem miesięcy. To wszystko, tubib.

Jak pan sam przyzna opowieść niby mało prawdopodobna. Ale przecież na własne oczy widziałem kwitnącego zdrowiem Mohameda i to było najbardziej przekonujące. Wyszliśmy z kawiarni. Odwiozłem go do centrum i wracając do domu myślałem nad tym, co usłyszałem. Doszedłem do wniosku, że Mohamed mówił prawdę. Czego nie mogliśmy dokonać w szpitalu lekarstwami i elektrowstrząsami, marabut osiągnął pozytywny skutek leczenia przez wstrząs psychiczny. Widocznie strach na pewno — przed niejadłowitymi węzami — był tak silny, że działał lepiej niż nasze elektrowstrząsy. Od tej pory zacząłem inaczej patrzeć na marabutów i na ich metody leczenia. Słyszał pan, że lekarze francuscy prowadzą na szeroką skalę zakrojone badania naukowe nad metodami leczniczymi stosowanymi w Afryce przez różnych znachorów. Niektóre doniesienia są wręcz rewelacyjne, ale nie będę pana z nudzał medycyną.

— Czemu? Wszystko to jest bardzo interesujące. My poznajemy Afrykę bardziej od strony statku i portu, mniej od strony lądu, a przecież dzieje się tyle interesujących rzeczy. Myślę jednak, że pan jeszcze nie zakończył opowieści o marabucie?

— Właściwie już zmierzamy do końca, panie kapitanie. Zdarzyła się jeszcze jedna zabawna historia, związana z Mohamedem i marabutem. Jednego dnia siostra mnie wywołała z dyżurki, że w poczekalni czeka na mnie jakiś interesant, który już od dwóch dni chce się ze mną zobaczyć, a właśnie poprzednie dni miałem wolne. Do mnie? — zapytałem, żeby się upewnić i kto to taki? — Do pana — Arab. Mohamed — pomyślałem, ale przecież siostra go znała. Rad, nierad zszedłem. Siostra wskazuje mi ręką na człowieka, którego widzę pierwszy raz w życiu. Arab jednak momentalnie do mnie podszedł, kłaniając się nisko. Ja, polski tubib, przychodzę od marabuta, który mnie przysłał do ciebie. Skąd marabut? — zapytałem. Marabut powiedział do mnie — ciągnął Arab — idź do polskiego tubiba, to bardzo mądry człowiek. Nie mógł kiedyś wyleczyć Mohameda, więc dał mu dziesięć dirhamów i przysłał do mnie. Ja go wyleczyłem. Teraz dla odmiany ja nie mogę wyleczyć ciebie. Wszystko co mogłem, już ci dałem i jesteś nadal chory. Idź więc do Polaka, do szpitala, powiedz, że ja cię przysyłam, może on ci będzie mógł pomóc.

Nie było rady, musiałem zająć się pacjentem, a czas był wielki, gdyż miał daleko posuniętą gruźlicę. Wyleczyliśmy go. Cała rodzina przyszła dziękować. Zapytałem wtedy Araba, gdzie mieszka ten marabut, gdyż chcę go odwiedzić. Pojechał ze mną. Przyjechaliśmy do tej pustelni. Nie miała jeszcze wtedy kopułki. Zastałem marabuta leżącego. Był chory. Zaproponowałem mu pomoc. Powiedział, że nie, dziękuje. Pomoc nie jest mu potrzebna, po prostu umiera, nadszedł jego czas i on o tym wie. Wierni żegnali się z nim bez łez. Uśmiechał się do nich i w oczach jego nie było widać śmierci. I mnie wypadało się pożegnać. Zmarł następnego dnia. Czasami teraz wspominam tego naprawdę mądrego marabuta. Myślę, że niewiele oni nam tu przeszkadzają w pracy. Tak mało jest lekarzy przecież w Maroku, pewnie i oni na swój sposób pomagają chorym. Może nie zawsze ze skutkiem, ale w Afryce jeszcze dużo jest do zrobienia. Tak to widzi pan, splatają się wpływy europejskie z arabskimi w medycynie. Czy chorzy zawsze wychodzą tak dobrze, jak Mohamed? Trudno powiedzieć. O kopułę nad głową nie tak łatwo zapracować.

KOBIETA U STUDNI

JAN RADECKI

Nadeszła pora dżiał, sucha, z północno-wschodnim monsunem. W południe ulice opustoszały zupełnie, Arabowie, Amharowie, Włosi i Hindusi pozatrząskiwali drzwiami swych sklepów, nomadowie usunęli się w oświetlone zaułki wąskich uliczek. Mogadisz wyglądał jak scenografia do filmu z drzemiącymi tu i ówdzie statystami czekającymi na głównych aktorów. Z ogrodów, spod drzew kanadelabrowych i kadzidłowych, dochodziły leniwie wydawane służbie polecenia, ospałe dźwięki niezdolne nawet poruszyć zmęczone upałem jaszczurki, zielone gołębie.

W dzielnicy uniwersyteckiej akademicy przewyciężając ospałość pochylali się nad stronami angielskich książek i mrużąc oczy w oślepiającym słońcu, zgłębiali tajniki wiedzy z pasją uwspółcześnionych kahnów, wróżbitów, wieszczków nowych czasów.

Znajdując wolne miejsce w cieniu baobabu siadłem z zamiarem nie tyle odpoczynku, co chłonięcia zmysłami wzroku, słuchu, powonienia miejskiej ciszy, podrównikowej woni, barw.

Kiedy muzzein z minaretu wyśpiewał siódmą formułę wezwania do modlitwy, cisza otaczająca mnie stała się tak dojmująca, że z niecierpliwością czekałem na szelest przewracanej karty książki, echo sandałów na chodniku, furkot szerokich rękawów galabiji na wietrze.

Nieoczekiwanie dla mnie, tuż koło ażurowego muru, misternego, z prześwitami zwieńczającymi się w trzylitne koniczynki, za którymi prawdziwa intensywna zielenią ogrodu wokół studni, rozległ się dziewczęcy głos nucący w rytm podskoków bosych stóp. Wysunąłem głowę nad mur. Moja obecność, szelest, spłoszyły dziewczynkę, mała czarna główka znieruchomiła w nasłuchu, usta pękały na dwie równe czerwienie, spoza których błysnęła biel zębów, oczy ogarniały najbliższą przestrzeń. Nie mogła to być pani tego ogrodu. Willa nie była okazała, ale dowodziła pewnej zamożności właściciela. Mógł nim być mufti, znawca prawa, od czasu do czasu spisujący kontrakt na mułkę, małżeństwo czasowe, ale częściej wnikający w interesy bardziej złożone, przynoszące mu większe zyski. Albo kupiec, który dorobił się na dostawach do Egiptu czy Europy mirry i kadzidła. Dziewczynka nie mogła być córką ani muftiego, ani kupca. Może kogoś ze służby. Jej ciało okrywała jasnozielona sukienka z krótkimi rękawkami, z głębokim dekoltem, przykrótka, znoszona, sprana, przecierająca się już. Nie miała sandałów, żadnych ozdób, czarne włosy na karku spinała tylko gumka.

Nie dostrzegła mnie, więc powróciła do melodii, do wybijania bosymi piętami rytmu.

Z wnętrza domu, z jego tylnej części, mniej reprezentacyjnej, rozległo się kobiece nawoływanie. Krótkie sylaby mogły być imieniem dziewczynki albo poleceniem. Odchyliła główkę w stronę, skąd dochodziło wołanie i równie krótkimi sylabami odpowiedziała, a potem uspokojona podskakiwała to na jednej nodze, to na drugiej. Nie zauważyłem czy potknęła się, czy sama tego chciała, padła na trawę, a szczupłe nogi poczęły migotać nad zielenią słoneczną miedzią.

Znów głos z domu. Dziewczynka nie odpowiadała, wiała się zielenią traw i krzaków, migiała w słońcu śniadością łydek. Mały gadzik pełzający w sobie tylko wiadomym kierunku, skręcający nieoczekiwanie, przystający, chwiejną główką z dwoma wziernikami szukający drogi? lupu? schronienia?

Najpierw widzę dzban na ramieniu, potem kobietę spieszącą do studni. Opuściła naczynie ze sznurem w mroczny chłód, aż do głuchego plaśnięcia niosącego się przez ogród. Wspierając się okrągłym brzuchem o cembrowinę studni, równymi ruchami podciągała naczynie pełne wody w słoneczną jasność. Zamigotała źródłana przejrzystość. Ustawiła dzban obok nóg. Ale nim woda opadła kaskadą, na jej lustrze, obok twarzy kobiety, zakolysała się twarz mężczyzny. Powstrzymał rękę kobiety podnoszącą naczynie. Spójrz na mnie zdawał się mówić do niej potrząc gdzieś w bok, dlaczego unikaś mojego wzroku?

To miłość, pomyślałem.

Kobieta szarpnęła naczynie z wodą, przechyliła je zbyt gwałtownie, ciężkie krople zaperliły się w kurzu, na butach mężczyzny. Nie ustępował, więc wyrzuciła wolną rękę w bok, trafiła mężczyznę w pierś, odepchnęła od siebie. Upokorzony i zdumiony odsunął się o kilka kroków, mówił, przekonywał.

To miłość bez wzajemności, pomyślałem, ale już mniej pewny siebie, bo zaokrąglony brzuch kobiety wciąż wspierał się w cembrowinę studni, niepokoił różnymi domysłami.

Woda prześwietlona słońcem poczęła jednostajnie spływać do dzbana, a kobieta z obojętnością w czarnych oczach patrzyła w głąb ogrodu. Znów było cicho, sennie, odwrócona misa nieba coraz mocniej obejmowała świat. Nagle mężczyzna podbiegł do kobiety, uderzył ją w twarz, wyrwał jej z ręki gliniane naczynie, rozbił, kopnął dzbanek, chlusnęła woda, poleciały skorupy. Kobieta nie broniła się, starała się uchronić przed zniszczeniem naczyń, a gdy to okazało się daremne, siadła w pobliżu, zapłakała. Mężczyzna splunął pod jej stopy i uciekł w głąb ogrodu.

Żmijka, która już od dłuższego czasu znieruchomiała, podniosła główkę, odprowadziła wzrokiem napastnika aż do przeciwległego muru, potem podciągnęła pod siebie kolana, wstała...

Kobieta płakała cicho, szlochaniem tłumiała w muszli z dłoni. Tylko jej ramiona drżały gwałtownie. Dziewczynka podeszła do niej niepewnie, położyła na jej ramionach swoje dłonie. Wówczas otworzyły się ramiona kobiety, wtuliły w siebie małość, przycisnęły do piersi.

Biedne istoty, pomyślałem, godne współczucia.

Z willi wyszła kobieta ubrana w niebieską szatę przetykaną iskrzącym się złotem, głowę nosła wysoko, władczo, stopy w sandałach stawiała dostojnie, nie spiesząc się. Musiała być świadkiem wydarzenia przy studni; nie przywoływała kobiety, zbliżała się do niej cicho, podstępnie, jakby chciała ją zaskoczyć nad skorupami. A potem mówiła długo, cierpliwie, spokojnie, pokazywała na studnię, na mur, za którym zniknął mężczyzna, na skorupy. Im dłużej mówiła, tym trudniej było siedzącej powstrzymać szloch, w końcu wybuchnęła płaczem tak ogromnym, że kobieta w niebieskiej szacie uznała go za przykry i odeszła.

Na pewno została przepędzona ze służby, pomyślałem. Może to daleka krewna przybyła ze wsi, która szukała opieki, za dach nad głową i trochę jedzenia odpracowując w domu, w kuchni, w ogrodzie? Albo ktoś, ko-

go los skrzywdził i wyżebrała u szczęśliwców trochę liłości dla siebie, za którą codziennie Allahowi wznosiła dziękczynne modlitwy? Cóż jej teraz pozostało? Wyjdzie na ulicę, będzie żebrać, sprzedawać siebie i córkę, jak to bywa w zwyczaju Czarnego Łądu. Albo odnajdzie tego, przez którego znosi wszystkie upokorzenia, pójdzie z nim, zrobi, co on zechce, bo jej poczucie godności określiły wieki arabskiej cywilizacji. Za nadzieję przetrwania będzie uległa, za najlichszy pieniądz — wdzięczna. Jej godność podszyta jest głodem, niepewnością dnia jutrzejszego, poczuciem zależności od mężczyzny, ciemnotą.

Kobieta i dziewczynka wstały, otrzępały się z kurzu, poprawiły włosy. Dwa biedne zwierzątka, którym niedługo znacznie zagrażał głód. Kobieta objęła małą i poprowadziła ją w stronę willi.

To nie potrwa długo, pomyślałem obserwując bramę w murze. Zgarnie kilka szmatek, zwinie w chustę, zarzuci sobie na plecy czy na głowę i wyjdzie na ulicę. A ja będę pierwszy, jak dobry znak, zrządzenie losu, który na nią czeka z jałmużną. Wówczas ona powie do córki, że jednak los jest dla nich łaskawszy, daje tego dowody na samym początku i czyni nadzieję na lepszą przyszłość.

Cień ażurowego muru wydłużył się, jaszczurki przecinały go kolorowymi błyskami. Miasto ożyło głosami handlarzy i zwierząt, rozdzwoniła się ulica stołecznego miasta. Studenci poczęli zbierać się do ucieczki.

Zjawiła się kobieta z dziewczynką. Niosły ze sobą mniej, niż przypuszczałem, obie bose, ona z twarzą zasłoniętą, stanęły niepewnie przed wędrownką w nieznane. Podszedłem do nich i uśmiechając się do czarnych oczu błyszczących w szparkach materiału, do małej główki obejmowanej dłonią matki wcisnąłem kobiecie kilka banknotów. Szarpnęła się, wyrwała je z zawiniątka, rzuciła na chodnik i krzycząc coś poczęła je deptać. Tłumaczyłem, że to dla małej. Nie rozumiała mnie, a jej gwałtowna reakcja skupiła uwagę studentów. Zgromadzili się, patrzyli niechętnie na nią, na mnie.

— Co się tu dzieje? — spytał po angielsku jeden ze studentów.

Powiedziałem, co było motywem wspomnienia kobiety jałmużną.

— Czyżbym dał za mało? — zastanawiałem się.

— Nie, nie dał pan jej za mało — odpowiedział tamten.

— Więc o co chodzi? — nie rozumiem.

— Pan uraził jej godność — odpowiedział student. —

Ona nie jest żebraczką, nie liczy na żadną od nikogo jałmużnę. Jest zdrowa, potrafi na siebie zapracować.

Spojrzałem wymownie na jej nędzę.

— Nie potrzebuje wiele od życia.

— To jej sprawa — student krótko.

— Proszę spytać, czy będzie dziś miała za co kupić dziecku jedzenie — ja wówczas natrętnie, nie odstępując.

Nie przetłumaczył mojego pytania. — Ma wolną wolę — powiedział z powagą, jakby przytaczał któryś wers z Koranu. — Odrzuciła jałmużnę z własnej woli, może tą decyzją skazując się na głód, ale odejdzie z poczuciem godności.

Chciałem podjąć ze studentem dyskusję, lecz ten nie dopuścił mnie do głosu. — Ach, wy Europejczycy nigdy nas nie rozumiecie i nie zrozumiacie — powiedział odalając się wyniosłe.

teresa ferenc

Drugie życie

W końcu drugiej połowy życia
zaczyna się znowu wierzyć w życie
wskakuje na oślep w zielone powietrze
w pierwszy krajobraz
tańczy chwałę matek nowo narodzonych
uśmiech dziecka znów na wagę złota

i szklana góra na szczycie zamek
z wieżami pełnymi nieba
i boskiego jutra

flota wystrugana z kory
zdobywa brzeg nowego świata
gdzie pomiędzy kłosami
bobrują usta Boga
a w ścianach buntu
pękają żyły i aorty
pęka ostatni ból
podobny do pierwszej rozkoszy

Od matki

Od matki się tak
po stokach jęczmienie palą
i zasiana pszenica jara
od matki się tak podpłomyk
w piecu obraca
i poruszona ziemia zaczyna się
wokół iskry

po jej stoku zbiegłam
tak każdy owad
żdźbło
każdy ptak
widziałam to we własnych oczach

Chustka twoja zielona
zagon mój

Niobe

Posłuchaj
Do ciebie wołam
gdy nic już nie mam oprócz Ciebie

Syn szafuje życiem
jak tabletką na śmierć
braną pod alkohol

Drugi
skamieniałej łaski robi żyjąc
mógłby przecież odebrać mi siebie

Trzeci jak struna przecięta
mierzy prosto w twarz matce

Czwartego syna
zdjęto wczoraj ze sznura
ale obiecał że powiesi się
za trzecim czwartym razem

własna córka
wbiła mi wczoraj
zimny gwóźdź cynizmu

Posłuchaj
zaszczuwasz mnie śmiercią
moich własnych dzieci
Już nie piorunem nie ogniem
do mnie do nich mierzysz

Wstają ze mnie tępe mgły zmęczenia
Oni tylko siebie słyszą
Krew ucieka już z moich żył
Oni tylko siebie czują
Ucho do każdej pory w skórze dopaso-
wali
Oni tylko czekają na siebie
Różę sobie stroją ze śmierci

Posłuchaj
jednego nie uczyniłabym po raz drugi
nie przyniosłabym Ci na świat dziecka
tej trudnej chwały

Na ziemi posadziłabym Ci
gołe drzewa

Gołą ziemię posadziłabym
bez płaczących kamieni
Wśród nich podejrzewam trzecią
czwartą Niobe

JAN PAPUGA

przypadek
szczególny

STANISŁAW TELEGA

cz. II

Przyjrzyjmy się teraz „opiekuństwu literackiemu” nad innym pisarzem, również samoukiem, o innej, choć nie mniej trudnej drodze do literatury. Myślę o Janie Papudze, autorze wydanych po wojnie czterech tomach opowiadań — „Szczyry morskie” (1946), (wydanej wcześniej w Londynie jako „Najpiękniejszy rejs” w 1945 r.), „Guadalajara, Guadalajara” (1965), „Rio Papagaio” (1969) i „Ocean, ocean” (1975).

Ten ostatni tom jest zbiorem wybranych przeze mnie opowiadań wraz z przedmową i został wydany w rok po śmierci autora.

Otóż to, co dzieliło Papugę od Wojciechowskiego czy Necla wynikało nie tylko z dużej, w stosunku do nich, różnicy wieku i wychowania w polskiej już, niepodległej szkole i środowisku. Miał więc Papuga poczucie większej niezależności osobistej i szerszy, nawet jak na samouka, kontakt z kulturą. Ważniejsza jednak była różnica osobowości między nimi, która Papugę, syna wsi, a potem wielkomięskiej Łodzi, wcześniej oderwała od rodzinnego bruku, aby skierować go na morze i wyzwolić w nim najgłębsze marzenia oraz stać się tu właśnie rzeczywistą szkołą poglądów i uczuć. W związku z tym nie był on tak jednostronnie związany ze swym środowiskiem jak np. Necel z rybacką kaszubszczyzną, wyrósł w większym poczuciu wolności i wrażliwości na sprawy społeczne, w namiętności do poznawania coraz to nowych światów, ludzi i krajobrazów.

Necel był jakby żywym, polskim portretem holenderskiego rybaka, ciężkiego i zwalistego, zakochanego w małych, smutnych checzach kaszubskich i tęskniącego nawet na dalekich wodach do tego małego, przybrzeżnego światka, w którym czuł się najlepiej. Papuga natomiast był przykładem typowego włóczęgi i obieżyświata, nie przywiązanego do jednego zakątka ziemi czy morza, niesyty urody życia i świata. To nie tylko bieda w „parszywej Łodzi”, jak to z inteligenckim wzruszeniem pisał o nim jeden z krytyków, spowodowała, że nie ukończył przed wojną pełnej szkoły podstawowej, lecz również, a może przede wszystkim, młodzieńcze i ciągnące się do ostatnich lat życia rojenia o dalekich światach i ludziach sprawiały, że nie zagrzał nigdzie długo miejsca, że związany w końcu ze Szczecinem nawet

stąd projektował coraz to nowe i coraz fantastyczniejsze wyprawy i włóczęgi.

Ponadto po wyzwoleniu i wydaniu w kraju swej pierwszej, „londyńskiej” książki miał Papuga nadmiar możliwości materialnych i duchowych, i aż nadto taryfy ulgowej, aby skończyć nie tylko pełną szkołę podstawową, ale nawet średnią. I nie tylko ja namawiałem go do tego. Nie posłuchał rad, gdyż — jak twierdził, — ważniejszą sprawą była twórczość, przy czym zdawało mu się, że będzie mógł wydawać niemal co roku jedną książkę. Potem, gdy z pisania nic nie wychodziło, jego pasja skierowała się ku życiu, a raczej ku marzeniom o innym życiu, a więc próbom zakładania na wyspie Karsiborskiej na Zalewie Szczecińskim „Osiedla Marynistycznego”, to znowu rybackenia na tymże zalewie z grupą jakichś „wolnych chwatów i zuchów”, potem plan wyprawy do Algieru, aby pomagać partyzantom algierskim jako ... ich korespondent wojenny, a gdy i z tego nic nie wyszło, podjął wędrówkę do Bieszczad i próbował tam założyć „falanster literacki” dla pisarzy z całego kraju.

Niezależnie od tego zawróciły mu trochę w głowie pierwsze honory i honoraria literackie, pierwsze bruderszafaty z najwybitniejszymi pisarzami w łódzkim „Kopciuszku” czy w szczecińskim środowisku literackim. Zresztą, czy w aurze tamtych czasów nie brzmiał dla niego zachęcająco i przekonująco osławiony slogan, że nie matura, lecz chęć szczerą zrobią z niego nie tylko oficera, ale także pisarza, a twórczość spłynie sama jak atrament po piórze? Po cóż więc matura, szkoła, nauka, gdy się ma talent literacki? Nie zmienił tego zdania również po moim artykule w „Kuźnicy”, w którym porównując go do Londona ostrzegłem przed złudzeniami „talentyzmu” i przypomniałem ciężką, dwuletnią drogę Londona do matury oraz przytaczałem wypowiedzi pisarzy radzieckich żądających od pisarzy wysokiego poziomu wykształcenia.¹⁾

Tymczasem im bardziej Papuga marzył o morzu i wyprawach w świat, tym bardziej morze oddalało się od niego na skutek szybko postępującej technizacji pracy na statkach (wymagającej od marynarzy coraz większej wiedzy) oraz zaostrzającej się sytuacji politycznej, która w końcu, po jednym tylko jego powojennym rejsie do Chin, doprowadziła do pewnej katastrofy w jego życiu. Usunięto go z partii na

podstawie fałszywego oskarżenia, a tym samym i z nadziei na pracę na morzu.

Przeżył to głęboko, sielski obrazek nowych czasów zaciemnił się, ale wiary w niego nie utracił. Jego wiara w socjalizm miała w sobie, podobnie jak i całe jego życie, coś ze snu na jawie, w którym elementy rzeczywistości mieszały się z marzeniami zatracając w końcu granice między jednymi i drugimi. Wynikało to z jego natury, pełnej poetyckości i ciekawości życia, które ujawniały się w zadziwiającym pościegu do włóczęgotwa. Dlatego zawód marynarza wydawał mu się tak atrakcyjny, gdyż widział w nim „wieczne włóczęgotwo” i tak go określił w jednym z wywiadów ze mną wywołując tym gwałtowny protest jednego z doświadczonych kapitanów, a jednocześnie publicystów morskich, Urbana Krzyżanowskiego.²⁾

W rzeczywistości zaś to nie zawód marynarza, ale natura Papugi miała w sobie coś z „wiecznego włóczęgotwa”, podobnie jak osobowość Londona czy duńskiego pisarza Hilmana Wulffa, autora „Słonecznego włóczęgi”. Do tego włóczęgi osobliwego rodzaju. Na statku bowiem był Papuga tylko zwykłym chłopcem pokładowym do wszystkiego, szczególnie do skrobania ziemniaków albo do pomocy palaczom w kotłowni statku, gdyż do żadnej innej wyspecjalizowanej pracy się nie nadawał. Nie były to atrakcyjne prace dla młodzieńca ciekawego życia, szukającego w nim niezwykłości, egzotyki i coraz nowych wrażeń. Nic więc dziwnego, że dość często „wieczny włóczęga” po prostu uciekał z pokładu statków, trochę z obrzydzenia do monotonni wykonywanych funkcji, a trochę, aby powłóczyć się na odmianę po lądzie.

Raz więc, jak wyznał, porzucił statek, aby zobaczyć walki byków w Hiszpanii, innym razem miał dość pracy na przedwojennym pasażerskim statku „Polonia”, wożącym emigrantów żydowskich z Rumunii do Izraela i wrócił dobrowolnie do „parszywej Łodzi”, aby tu przedzierzgnąć się z romantycznego żeglarza-kartoflarza i marynarza-węglarza w lądowego wiercipiętę-listonosza, a potem, przy lepszej okazji, próbować szczęścia w podoficerskiej szkole lotniczej.

¹⁾ „O pewnym awansie literackim”, Kuźnica 1949, nr 42.

²⁾ Na morzu czujemy się nieswojo (wywiad z Urbanem Krzyżanowskim), „Odra” 1949, nr 24.

W czasie wojny pływał w alianckich konwojach, to prawda. Ale często, jak sam mówił, „pryskał” ze statków nie tyle z obawy przed walką, ile z jemu tylko wiadomych powodów, których tylko cząstkę odsłonił mi kiedyś, gdy już zrezygnował z wszelkiego pływania.³⁾

Na przykład lubił rysować, miał pewne uzdolnienia w tym kierunku. Zobaczywszy więc kiedyś studentów, a zwłaszcza studentki amerykańskie na brzegu morza, zajęte szkicowaniem nadmorskich pejzaży, zszedł ze statku i zaczął się popisywać przed nimi swoją umiejętnością rysowania, co tak im się spodobało, że zaciągnęli go na ćwiczenia do Akademii Sztuk Pięknych. Tu zobaczył nagie modelki, pozujące studentom, co dla tego chłopca wychowanego w innym klimacie duchowym było takim szokiem, że szkicował je z arcykomicznymi, nie zamierzonymi przez siebie, skutkami! Oczywiście, że na statek nie wrócił, takie studia były tysiąc razy ciekawsze niż morze i statek. Tym, którzy by chcieli widzieć go na wyniosłym piedestale literackim albo jako syna ludu zgnębionego brakiem pracy przypomnę, co powiedział w wywiadzie, gdy zapytałem go o początki „kariery literackiej”.

„Kiedy zacząłem pierwszy raz pisać, czułem się wyłącznie marynarzem. Było to w więzieniu, w El Paso, gdzie mnie przymknęto za włóczęgostwo. Od **najmłodszych lat byłem niepoprawnym włóczęgą**. Wierz mi, marynarz to wieczny, wielki włóczęga. Nie do wiary jednak, jak dobrze się wtedy czułem w więzieniu, zmęczony długimi włóczęgami. Mogłem spokojnie pomyśleć o życiu i przeczytać kilkanaście amerykańskich magazynów wypełnionych nowelami...”

Przypomina się London ze wspomnień „**Na szlaku**”, który również przyczynał się do niepoprawnego włóczęgostwa i podrwiwał nawet z tych życzliwych mu krytyków, którzy próbowali tłumaczyć jego włóczęgostwo rzekomymi „studiami socjologicznymi”, gdy tymczasem było to według niego tylko pragnienie wielkiej przestrzeni i bujności nieskrępowanego życia.

Ale w Papudze-włóczędze, w Papudze-poszukiwaczu wrażeń tkwiła nie tylko ta sama, Londonowska pasja, ale także poetycka natura marzyciela, który szukał ucieczki od szarzyzny życia proletariackiego i marzył o szczęśliwym świecie. Dlatego brał udział w konspiracyjnych poczynaniach młodych komunistów łódzkich. Nie była to jednak świadoma działalność konspiracyjowa, raczej typowa kontestacja marzyciela. I dlatego, jak sam przyznaje

w wymienionym tu wywiadzie, widząc, jak wpadają jego koledzy, a nie widząc w sobie zadatków na męczennika idei, uciekł na morze, gdy tylko nadarzyła się po temu sposobność.

Kiedy pojawił się w Szczecinie i osiadł tu na stałe, pełny był wiary w swoje pisarstwo, w swój talent, dlatego m.in. nauka wydawała mu się raczej hamulcem aniżeli podniętą do twórczości. Poza tym czuł się doskonale w promieniach powszechnej opieki, nie miał żadnych kompleksów okupacyjnych czy ideowych. „Opieką — jak słusznie zauważył potem B. Czeszko — miewała też aspekty ideowe i polityczne. Wydawało się bowiem oczywiste, że proletariusz z krwi i kości, marynarz i to bynajmniej nie oficer skażony inteligenckimi narowami, lecz człowiek ciężkiej, fizycznej pracy, idealnie pasuje do modelu „pisarza ludowego”, że z natury rzeczy można z korzyścią dlań sugerować pisarską służbę dla młodej — jeszcze podówczas — polskiej rewolucji i że w końcu można by go włączyć do owej galerii mędrców ludowych, pamiętnikarzy i gawędziarzy...”⁴⁾

Tymczasem rzeczywistość okazała się bardziej skomplikowana niż wyobrażenia Papugi i jego protektorów. Wydawało mu się na przykład, że po tak szybkim wydaniu pierwszej książki następne przyjdą równie łatwo. Tymczasem na wydanie następnej musiał czekać ... **niemal dwadzieścia lat!**⁵⁾

Dlaczego tak się stało? I co się stało? Po prostu to, co jest losem każdego samouka. Jego droga do własnego stylu, do świadomego pisarstwa musiała być długa i pełna bolesnych, szczególnych zawilości. Porównanie pod tym względem „Szczurów morskich” z roku 1946 z „Guadalajarą” z 1965 roku jest bardzo znamienne. **Są to po prostu dwie różne książki, dwa różne debiuty i dwa różne okresy w życiu tego samego pisarza.** Pomiędzy nimi jest właśnie to, co było jego dramatem, a zarazem zwycięstwem, zadziwiającym poświęceniem i bolesnym wyborem drogi, która początkowo wydawała się łatwa, a potem, dosłownie z każdym rokiem, coraz cięższa, coraz trudniejsza i bardzo często przekraczająca jego siły.

Bo bywało przecież i tak, że obserwowaliśmy u niego jakby cofnięcie się w sztuce pisania, jakieś nawroty już nie do małego, ale wręcz naiwnego realizmu, opowiadania nie dorównujące najslabszym ze „Szczurów morskich”.

Dziwiło nas to i niepokoiło, u wielu wywoływało nawet przekonanie, że Pa-

puga zostanie, podobnie jak wielu samouków, autorem „unius libri”. Podobne wrażenie odnieśliśmy na jednym z pierwszych zebrań twórczych Oddziału ZLP w Szczecinie, kiedy czytał nam bodajże w roku 1951, jakieś swoje opowiadanie. Pamiętam, że wszyscy — z J. Andrzejewskim, E. Osmańczykiem, Fr. Gilem i W. Wirpszą na czele — długo i bezskutecznie próbowali przekonać Papugę, że opowiadanie trzeba „przerobić”, że trzeba wyjść poza naiwny, nużący tok akcji, stylu, psychologicznych motywacji, obrazowania itp. Pamiętam też, że ze swej strony próbowałem przekonać go przykładem Tuwima, przypominając jego słynny artykuł w przedwojennych „Wiadomościach Literackich” wraz z facsimile swego wiersza. Z piramidy skreśleń, poprawek, coraz to nowych wariantów, dopisków i przeredagowań wyłaniał się obraz pięknego wiersza będącego owocem ogromnego trudu, którego nikt nie podejrzewał, tak bowiem naturalnie i nieodparcie narzucał się czytelnikowi.

O dziwo, Papuga był wtedy nieugięty, nie chciał słyszeć o żadnych poprawkach, co więcej — lansował jakąś, po swojemu wymyśloną, teorię, że pisanie jest jak miłość, która nie potrzebuje retuszu. Dopiero w dwadzieścia lat później, po wydaniu „Guadalajary” podczas rozmowy ze mną, nagranej na taśmie, ujawnił zadziwiająco szczegóły o swojej pierwszej książce i opowiadaniach.

Otóż przyznał wówczas, że w Londynie poprawiano mu prawie wszystkie opowiadania, wymieniał nawet mało znane nazwiska poprawiających! Dlaczego wtedy, w roku 1951, mówił inaczej? Dlaczego nie chciał uznać autoritetu najżyczliwszych mu ludzi? Przewodopodobnie tamte poprawki jego tekstów wywołały w nim pewien uraz, a ponadto wydawało mu się, że teraz pisze rzeczy lepsze, nie wymagające cudzej ingerencji.

A może zawróciła mu głowę swoista adoracja jego „naturałszczykostwa” ze

³⁾ Z rozmowy nagranej na taśmie magnetofonowej (w posiadaniu autora artykułu).

⁴⁾ B. Czeszko, Rzeka Jana Papugi, Nowe książki”, 1969, nr 15, s. 1040.

⁵⁾ Nie uwzględniłem tu opowiadania pt. „Porucznik Woda”, wydanego jako druk zwarty w 1948 roku w postaci dodatku do jednego z pism śląskich, które prowadziło cykl tych dodatków pt. „Co tydzień powieść”. Ani to powieść, liczy bowiem zaledwie kilkanaście stron, ani opowiadanie wnoszące jakiegokolwiek wartości.

strony różnych mętnych wielbicielek, urzeczonych jego „czystą ludowością” i czystą „proletariackością”, jak w o-wym wierszu Majakowskiego o poecie-Lutku?

„I cóż za porównanie do naszego Lutka! Lutek drogę w przyszłość nam mości!
W Lutka wierszach brzmi Kominternu pobudka!
U Lutka niewiedzę, gdzie przecinek, gdzie kropka
Zastępuje instynktowne klasowe podejście!
Albowiem matką Lutka była chłopka,
A ojcem — robotnik i chłop jednocześnie!”

Tymczasem lata upływały, a jego rękopisy wędrowały coraz bezskuteczniej po redakcjach, budziły złe refleksje i załamania. Powoli godził się już na poprawki, np. w Rozgłośni Polskiego Radia w Szczecinie, byle tylko drukować i ogłaszać, i byle móc wierzyć w swoje pisarstwo. Potem jednak nie chcieli go drukować nawet w Szczecinie, a co gorliwsi, prymitywni dziennikarze zaczęli głośno i niedwuznacznie wyrażać opinie, że z Papugi nic nie będzie, i że — co gorsze — staje się on szkodliwy, bo „sam nic nie robi i jeszcze młodych „zaraża lenistwem”. A gdy po jego nieudanym rejście do Chin zamknięto przed nim definitywnie drogę na morze, przeżył najcięższy chyba w swym życiu okres i zwątpił w swoje pisarstwo (o czym pisze z taką goryczą w opowiadaniu „Powrót na morze”).

I chyba wtedy dopiero, z tych zwątpień, załamań, a jednocześnie upartej pracy nad sobą, zaczęło się powoli rodzić u niego właściwe rozumienie literatury, własnego stylu i osobowości. Jego opowiadania z tego okresu tracą dotychczasową gładkość i jednowymiarowość, zaczynają być celowo chropowate, oszczędne w słowach, wypracowane. Ale wtedy jeszcze nie wszystko mu się udawało. Była nieraz ciekawa koncepcja, ale szwankował natrętny komentarz albo dłuższy psychologiczny. Albo odrotnie. I znów maszynopisy jego wędrowały od jednej redakcji do drugiej, odrzucane, często nawet bez słowa wyjaśnienia.

Kiedy miał dość tych niepowodzeń i samej twórczości, szukał rekompensaty we włóczęgach. Jego marzycielsko-naiwna, a jednocześnie surowa osobowość, jego ustawiczne rojenia o życiu podobnym do snu na jawie pchały go do coraz to nowych, niezwykłych projektów, od wspomnianego już wyjazdu do Algierii aż do projektu konnej podróży wzdłuż brzegów Ameryki Południowej!

Z długiej, mozolnej pracy nad no-

wymi opowiadaniem zrodziła się wreszcie — po dwudziestu prawie latach — nowa, ciekawa książka Papugi: „Guadalajara, Guadalajara... ze wstępem M. Misiornego. Książka ta stanowiła jakby drugi debiut Papugi i tak ją oceniłem w jednej z recenzji.⁶⁾ Były to bowiem, z małymi wyjątkami, bardzo dojrzałe opowiadania, a dwa z nich wyróżniały się szczególną oryginalnością: „Singsiarz” i tytułowe opowiadanie o „Guadalajarze”. Długo rozmawiałem z autorem i nagrałem fragmenty tej rozmowy, na jej temat. **Papuga nie ukrywał, że wielkiej pomocy w jej opracowaniu udzielił mu autor wstępu, M. Misiorny.** Nikt jednak, również i ja, nie dociekał wtedy, na czym ta pomoc polegała, wydawało nam się to bowiem sprawą naturalną w jego sytuacji, a poza tym liczył się jej efekt: książka była dobra i dla autora, i dla czytelników.

A potem sytuacja znów się powtórzała. Po udanych opowiadaniach trafiły się słabe i naiwne, choć Papuga dużo nad nimi pracował i nie tał już, że je poprawia, że walczy ciężko o każdy jej kształt. Z tego okresu zapamiętaliśmy — szczególnie zbiegiem okoliczności — dwa bardzo nieudane opowiadania „Tajemnica milionów” i „Ulisses XIX wieku”, umieszczone potem w nowej książce pt. „Rio Papagaio”, choć w całkowicie zmienionej postaci. Zapamiętaliśmy je dlatego, ponieważ Papuga czytał je na spotkaniu autorsko-warsztatowym w tak zwanej „Bramie Królewskiej” w Szczecinie, gdzie spotkały się one wówczas z ostrą, m.in. moją, krytyką.

Z dużym więc zdziwieniem, a zarazem satysfakcją, przeczytaliśmy je w zupełnie nowej postaci we wspomnianym tomie „Rio Papagaio”. Zapytany o to Papuga przyznał, że uległy one gruntownym poprawkom, podobnie jak i inne opowiadania z tego tomu, dokonanych przez autora wstępu, M. Misiornego.

Wyjawił mi też wiele innych, zaskakujących szczegółów dotyczących jego samouctwa, często takich, o jakich mówi się tylko w szczerzej, aż do brutalności, rozmowie dwóch nie schlebających sobie przyjaciół. I rzecz szczególnie, że chociaż w Szczecinie mówił o bez osłonek o tej współpracy z Misiornym, nikt z recenzentów czy czytelników nie wystąpił o to z pretensjami do autora czy do jego korektora literackiego.

Potem — ufny w swoją siłę fizyczną i duchową i urzeczony własnym, jak mu się zdawało, niezwykłym pomysłem przygody, na jaką się nie zdobył przed

nim żaden pisarz — wyruszył Papuga — już jako pasażer na polskim statku — do Afryki, aby — mówił po swoim — „przerznąć ją w poprzek, od oceanu do oceanu”. Przygoda skończyła się dla postronnych humorystycznie, dla niego zaś dramatycznie, gdyż nie chciał widzieć całej jej absurdalności.⁷⁾ Dramatycznie dlatego, że w przeciwieństwie do wszystkich innych swoich przygód, nie chciał czy nie mógł przyznać się do klęski, unikał rozmów o niej, a przyczyn jej niepowodzenia doszukiwał się jedynie w „papierowej dżungli przepisów”. Miały mu one rzekomo uniemożliwić wykonanie swoistej podróży autostopem i pieszo, z małym chlebaczkiem przez ramię i dwudziestoma dolarami w kieszeni, z ambicją występów literackich i dorywczej pracy, przez kraje kilkunastu różnych państw i plemion murzyńskich, klimatów, języków, religii, obyczajów, dróg i buszów afrykańskich!

W rezultacie fałszywa diagnoza własnego niepowodzenia uniemożliwiła mu też właściwą jej interpretację literacką powodując sztuczność i naiwność w kilku drukowanych fragmentach owej nieudanej powieści.

I wreszcie — niemal na rok przed śmiercią — podjął ostatnią w życiu podróż, na skromną już skalę, do kraju Łużyczan w NRD, ale w podobnym jak dotychczas stylu, mianowicie pieszo i autostopem, z chlebakiem na ramieniu, w bajecznie kolorowej koszuli i krótkich spodenkach koloru khaki. Podróż zakończył ostatnim w swym życiu opowiadaniem — reportażem pt. „Jeszcze raz”, ogłoszonym już po śmierci autora, w skróconej wersji, w szczecińskim miesięczniku „Spojrzenia”.

W rok po śmierci autora przygotowałem dla Wydawnictwa Poznańskie-

⁶⁾ Drugi debiut J. Papugi, „Tygodnik Morski”, z dn. 30.01.1966 r.

⁷⁾ Przygoda ta posłużyła innemu pisarzowi, Adamowi Kasce, jako materiał literacki do opowiadania pt. „Pątnik”, ogłoszonego w tomie pt. „Goście o północy” (1973). Autor zapytany o to odpowiedział mi w liście z dn. 26 maja 1975 r. m. in. tak: — „W rejście z nim nie płynąłem, a o jego przygodach slyszalem (bez wymieniania nazwiska) od marynarzy. Chciałem napisać opowiadanie o udrękach człowieka pochłoniętego wielką ideą, a nie mogącego jej zrealizować. Przeżył Papuga (choć pisząc nie wiedziałem, że to był on) dostrzeżyłby mi fabułę do opowiadania. Na postać Dominika w „Pątniku” złożył się co najmniej dwóch literatów i jeden marynarz-motorzysta, to właśnie on „opalał się przy księżycu”. Zdziwiłem się bardzo, gdy po ukazaniu się opowiadania w druku wszyscy jednogłośnie wołali — „Ależ to jest Papuga”?...

go wybór jego najlepszych drukowanych i nie drukowanych opowiadań — poprzedzonych moją przedmową — pt. „Ocean, oceany...”. Z opowiadania już drukowanymi nie miałem kłopotu, gdyż dokonałem ich wyboru według mego najlepszego rozeznania twórczości Papugi i na podstawie już drukowanej ich wersji. Inaczej natomiast było z nie opublikowanymi tekstami. I oto stanąłem nagle przed poruszoną tu problemem z całą jego złożonością, choć, na szczęście, z pewnymi doświadczeniami innych krytyków i edytorów.

Z nie opublikowanych bowiem opowiadań tylko kilka na kilkanaście! — posiadało wyraźne wartości artystyczne, choć i one wymagały niezbędnego „szlif”, który by wydobyl z nich, jak z nie obrobionych, surowych diamentów, ów oryginalny, ukryty blask i piękno.

Oczywiście, prawną podstawą takiego zabiegu było uzyskanie zgody na dokonanie tych poprawek ze strony legalnej spadkobierczyni, czyli żony autora, podstawą zaś moralną dotychczasową — i jak widzimy — dość częste praktyki stosowane w takich przypadkach, w tym również przez wszystkich edytorów Papugi, szukającego zresztą od pewnego czasu takiej pomocy. Ponadto pewną rolę odgrywała tu także moja, prawie trzydziestoletnia, przyjaźń z autorem, liczne z nim wywiady, artykuły, nieustanne dyskusje i spotkania, które pozwoliły mi dokładnie poznać jego swoistą osobowość i twórczość.

Jego przedwczesna, nieoczekiwana śmierć wywołała w mieście wielkie zaskoczenie — był przecież jeszcze w pełni sił, które demonstrował w życiu i twórczości — oraz wzbudzała szczerą żal wśród przyjaciół i tej części społeczeństwa, dla którego stał się on swoistą legendą miasta. Ale zdarzały się też rzeczy o typowo prowincjonalnym wymiarze.

Oto swoiste grono wielbicielek autora, „nawiedzonych” przez źle pojętą ludowość i kult dla naturzyczkowskiego mającego coś z przytoczonego tu satyrycznego wiersza Majakowskiego, zademonstrowało w szczególny sposób adorację dla autora. Oto — nie pytając o zgodę prawowitej żony! — wielbicielki te interweniowały w Komitecie pogrzebowym, do którego należałem, aby nie chować zmarłego w jakimś normalnym, a już nie daj Boże czarnym, mieszczańskim ubraniu, lecz w na wskroś oryginalnym ubiorze, w jakim chadzał za życia i podczas swych fantastycznych wypraw!

A więc w bajecznie kolorowej koszuli, krótkich spodniach koloru khaki, rozchełstany sweterze, itp.!

Na „nawiedzone” nie ma rady. Aby więc uniknąć oskarżeń o „poprawianie” osobowości autora ktoś z komitetu nakazał zamknięcie trumny, bez wystawiania jej na publiczny widok. Ale i to nie zadowoliło „nawiedzonych”. Zasiławszy jednym ukchem o jakichś moich poprawkach w tekstach Papugi, zainspirowały w miejscowej prasie umieszczenie notatki, że autor pozostawił w rękopisie pewną nie dokończoną powieść i oczywiście znalazł się „ktos, kto postanowił rzecz doprowadzić do

końca” i niemal napisać za autora całą powieść! Kiedy zaś gazeta, która to ogłosiła, zmuszona była sprostować niedorzeczność, znalazł się znów — już po pojawieniu się „Oceanów” w druku — inny „nawiedzony”, tym razem męskiej natury. Był to miejscowy polonista, który napisał recenzję „Oceanów” i wyraził w niej głęboki, „uczony niepokój”, iż w niektórych tekstach, wziętych z rękopiśmiennej spuścizny, dokonałem niedozwolonych ingerencji i to bez zaznaczenia, w którym miejscu są te poprawki.⁸⁾

Jakby na ironię z samego siebie powołał się na fakt, że „w pewnym sensie opiekunem i nauczycielem literackim Papugi był Michał Misiorny”. Nie dodał tylko celowo, na czym to „opiekuństwo” i „nauczycielstwo” polegało.

Wobec tego — znając tę sprawę tylko z ustnych wynurzeń Papugi — zwróciłem się do Misiornego z prośbą o wypowiedź, jak to „opiekuństwo” wyglądało w praktyce. Oto zasadnicze fragmenty jego listu na ten właśnie temat.

„Jedno jest pewne — pisze Misiorny — moja współpraca z Papugą oparła się na przyjaźni. To był warunek wstępny. Nigdy nie zdobyłbym się na taki wysiłek bez owego wstępnego uzasadnienia. Wydawało mi się, że go „wyczuwam”. Nie czytałem w jego tekstach ortografii ani składni, ani kompozycji, jak to czynią formalisci, ale tylko i jedynie intencję... **Opracowując jego teksty starałem się iść za ową intencją nie dbając o szczegóły. Skreślałem, czasem przedstawiałem fragmenty, wpisywałem jakieś słowa, ale to nie były moje słowa, tylko takie, o których Janek jak gdyby w pisaniu zapomniał; potem on do tych dopisanych słów przyznawał się niejako. Pokazywałem mu to wszystko, wydziwiał wielce, ile to nad nim roboty, a ja tłumaczyłem, że od tego jest redaktor... Nad żadną własną książką tak się nie napracowałem jak nad tymi dwiema — nad „Guadalajarą” i „Rio Papagaio”. Teraz już nie miałbym tyle czasu.”⁹⁾**

Cóż można więc dodać do tej wypowiedzi, podobnie jak do oświadczenia Fenikowskiego, Sadowskiego czy Voglera? Chyba jeszcze to, co przyniosła ostatnio dyskusja w „Trybunie Ludu” na temat funkcji i charakteru pracy samouków-pisarzy z Warszawskiego Klubu Robotników Piszących.¹⁰⁾ Otóż stwierdzono w niej wyraźnie, że wśród kilkuset robotników piszących głównie pamiętniki oraz różne relacje ze swego zakładu pracy, wyróżniają się stale jednostki obdarzone ambicja-

mi literackimi. I dlatego nie narzucając fałszywych ambicji literackich ogółowi piszących, **trzeba jednakże pomóc literacko tym wybijającym się jednostkom.**

I oto dochodzimy do sedna poruszonego problemu. Co począć dalej z rękopiśmiennej spuścizną Papugi? Konkretnie — z kilkoma jego mniej lub bardziej udanymi powieściami, które po długich wędrówkach, jeszcze za życia autora, wracały z adnotacjami, że **mogą być wydane, ale pod warunkiem zasadniczych, gruntownych przeróbek** (Taki np. warunek postawiło Wyd. MON w stosunku do powieści „Okrutny świat”, do której autor przywiązywał wielką wagę). Czy skazać je na zapomnienie jako „literaturę okaleczoną”, czy też przekazać wybranym krytykom i edytorom do „poprawek”? Wiadomo zaś, że przeróbki powieści są trudniejsze aniżeli opowiadania. I czy wystarczy wtedy, aby na obwołucie czy we wstępie dać tylko adnotację o „opracowaniu literackim” czy też o... „współautorstwie literackim”, tak jak to było np. z Neclem i Fenikowskim?

Przykład Papugi jest tym osobliwszy, że Szczecin czyni starania, aby stał się on pewnego rodzaju symbolem literackim tego miasta. Dlatego organizuje się tutaj co dwa lata konkurs jego imienia na mini-opowiadania, czyni się starania o nadanie jednemu ze statków jego nazwiska, popiera się wydanie jego rękopiśmiennej spuścizny, itp.¹¹⁾ Jeśli więc ta ostatnia sprawa dojrzeje do realizacji wówczas ewentualni edytorzy i krytycy staną przed poruszoną tu problemem w całej jego rozciągłości. Łącznie ze sprawą „nawiedzonych” wielbicielek i Pimciów-recenzentów.

⁸⁾ „Spojrzenia” (dod. kult. do „Głosu Szczecińskiego”) 1975, nr 42. O tym, że uczoność tego polonisty jest czasami od siedmiu boleści, świadczy wymownie m.in. jeden z użytych przez niego argumentów, iż „Wyka nie miał habilitacji!” Gdyby nawet szczeciński Pimcio polonistyczny nie miał zbyt wielkiego mniemania o UJ i jego wychowanku, K. Wyce, to jako nauczyciel powinien znać jego pracę, na podstawie której uzyskał on habilitację. Ukazała się ona już w 1948 roku, pt. „C. Norwid jako poeta i sztukmistrz”, ponadto o tej habilitacji pisał sam Wyka w „Twórczości”, pt. „Z listów do J. Iwaszkiewicza” i to dosłownie w ten sposób — „W styczniu (1946) czeka mnie habilitacja w uniwersytecie” („Twórczość” 1976, nr 1).

⁹⁾ List z dn. 26 X 1975 r.

¹⁰⁾ Twórcze ambicje i realizm „Trybuna Ludu” nr 194, 1978 r.

¹¹⁾ Warto też pamiętać, że Papuga będzie pierwszym szczecińskim pisarzem, który wejdzie do pomnikowego „Polskiego Słownika Biograficznego”, dla którego opracowałem jego biografię i bibliografię twórczości.

„Długi klient z chudą kieszą”

JEDEN DZIEŃ W KSIĘGARNI

Przy ladzie

Jest poniedziałek. Godzina jedenasta pięćdziesiąt pięć. Przed księgarnią „Współczesna” w Łobzie ustawiała się już grupka klientów. Kierowniczką księgarni — pani Regina Wierzbowska przekręca klucz w zamku. Razem z nią i drugą pracownicą — Haliną Pilecką wchodzimy do ładnej przestronnej sali sprzedażnej. Panie zdejmują na zapleczu płaszcze. Są uśmiechnięte.

Punktualnie o godzinie dwunastej księgarnia jest otwarta. Zajmują miejsce przy ladzie, aby móc obserwować, czego poszukują w księgarni łobescy klienci.

Pani w wieku około trzydziestu lat pyta o bajki dla dzieci, roboty szydełkowe i książkę kucharską.

— Niestety, nie mamy — słyszy w odpowiedzi. Kupuje więc papeterię. Do kasy wpływa pierwszy utarg — osiem złotych.

Dwóch młodzieńców, liczących pewnie po siedemnaście—osiemnaście lat, interesują „Nowoczesne zabawki” Wojciechowskiego. Nakład tej książki jest już jednak wyczerpany od dwu lat.

Dziecko kupuje notesik za jedenaście złotych.

Klientka z zakładu pracy wybiera na rachunek materiały użytku kulturalnego — dwadzieścia arkuszy bristolu, piętnaście paczek serwetek i bibułkę dekoracyjną.

Dziewczyna w wieku około dwudziestu lat — pracownica straży pożarnej, średnie wykształcenie — spośród wyłożonych na ladzie książek chce kupić Bernta Engelmana „Antypodęcznik historii Niemiec”. Niestety, jest tylko część druga tej książki.

Młody człowiek pyta o literaturę fantastyczną. Otrzymuje Tibora Dery „Pan A. G. w X”.

— Stały klient nabył płytę jazzową za 65 złotych — informuje mnie pani Halina. — Jest on pracownikiem

Urzędu Gminnego w Radowie i ma średnie wykształcenie — dodaje.

— Czy są zeszyty? — pyta chłopiec.

— My brudnych nie sprzedajemy — żartuje pani Regina.

— Poproszę mapę samochodową Polski.

— Niestety, nie mamy.

— Czy dostanę książeczki dla trzyletniego dziecka?

— Są, ale bez tekstu, do oglądania tylko.

— Czy mają panie jakieś reprodukcje malarstwa?

— Miałyśmy, ale uległy zalaniu. W mieszkaniu nad nami ktoś tydzień temu nie zakręcił kranu i w księgarni był potop.

Młodzieniec siedemnastoletni ogląda książki wyłożone na ladzie. Nie decyduje się na żadną. Wychodzi z księgarni i zatrzymuje się przed witryną. Po chwili odchodzi.

Brakuje wkładów do długopisów Zenit 4 i 7, taśmy klejącej, czerwonego tuszu do stempli, szpilek, pinezek, spinaczy biurowych, dużych kopert, kalki ołówkowej.

— Proszę przyjść pojutrze, jutro będzie dostawa towaru — proponuje klientce z zakładu pracy pani Regina.

Przez chwilę w księgarni nie ma nikogo. Panie w pośpiechu parzą herbatę. Patrzą na zegarek. Minęło zaledwie pół godziny, a przez księgarnię przewinęło się trzydzieści pięć osób. Na jednego klienta, biorąc pod uwagę dwuosobową obsadę, przypada niespełna dwie minuty czasu.

— Tempo jak na bazarze — mówię.

— Nieraz jest jeszcze więcej osób, chociaż dzisiaj też nie ma. Ludzie już stęsknili się za nami — księgarnia z powodu tego potopu była nieczynna przez tydzień.

Między regałami

Mężczyzna w wieku około czterdziestu lat przegląda książki stojące na regałach. W księgarni nie ma wolnego dostępu do półek, ale stałym klientom zezwala się na wejście za ladę.

— Prawie codziennie jestem w księgarni — odpowiada na moje pytanie. Mieszkam obok i ciągnie mnie tutaj. To duża przyjemność buszować wśród książek. Kupuję literaturę piękną współczesną i książki naukowe z zakresu wychowania i dydaktyki. Pracuję w kuratorium i uczę w liceum. Poszukuję wielu pozycji, których niestety ciągle nie ma. Szczególnie trudno dostać teraz książki dla dzieci i młodzieży. Makuszyńskiego czy innych popularnych autorów nie ma co szukać w księgarniach. To irytuje. A obok tego mamy na regałach tytuły, których gdyby nie było, nikt by się tym nie zmartwił. Przecież zamiast niechodliwych pozycji można by było wydać książki bezskutecznie poszukiwane przez czytelników. Z kupnem książki naukowej są mniejsze kłopoty niż z literaturą piękną. Nasza księgarnia, pomimo istniejących trudności, jest dobrze zaopatrzona. Panie troszczą się o klienta. Ja na przykład zawsze otrzymuję do wglądu „Zapowiedzi Wydawnicze” i dzięki temu mogę sobie zamówić interesujące mnie tytuły. Teraz wybieram tylko najbardziej cenne pozycje. Nie mam po prostu już miejsca na książki. Miesięcznie wydaję w księgarni czterysta do pięciuset złotych.

Dziewczynka z klasy trzeciej kupuje książkę o długim tytule: „Kwapiszon, beczka i pamiątki po wielkim astronomie”. Pytam ją czy zbiera książki.

— Tak, mam w domu książki — odpowiada. Ale takie dzieciinne. Należę do biblioteki i tam dużo pożyczam. Lubię książki podróżnicze i przygodowe. Mój tatuś pracuje w „PROKOMIE”, jest mistrzem, a mamusia krawcową.

Ladnie wydane książeczki do kolorowania: „Stroje ludowe” i „Przygody Grzesia” oraz „Konwój” A. Zeylanda, „Znaczy kapitan” K. Borcharda i „Firma ZAMIAST” J. Wiczerskiej nabyła pani w wieku trzydziestu kilku lat.

— Mam dwójkę dzieci. Jedno ma cztery i pół roku, drugie już siedemnaście lat. Te książki kupiłam dla nich. Miesięcznie wydaję na książki około trzystu pięćdziesięciu złotych. Mieszkam w Świdwinie, nie pierwszy raz kupuję w Łobzie, tutejsza księgarnia jest dobrze zaopatrzona. Gdyby tak jeszcze było więcej pozycji dla dzieci. Mamy Międzynarodowy Rok Dziecka, a na regałach niewiele można znaleźć. Na choinkę nie mogłam kupić żadnej książeczki. Podczas ferii zimowych też dzieci w domu nie miały co czytać. Tak się ucieszyłam, że wyjdą „Baśnie” Grima, tylko nie wiem czy uda się je nabyć w księgarni, czy też rozejdą się tylko do bibliotek. A nawiasem mówiąc, w telewizji program dla dzieci też się popsuł.

Uwagę moją zwraca klient kupujący „Geometrię analityczną” Leji, „Od teorii mnogości do algebry logiki” Siegfrida, „Geometrię” — zbiór zadań z matematyki elementarnej” Seramina, „Zbiór zadań z fizyki” Irodowa.

— Chodzę do klasy czwartej ogólniaka — mówi. — Niedługo zdaję maturę, a potem wybieram się na astronomię, na Uniwersytet imienia Mikołaja Kopernika w Toruniu. Jestem synem rolnika z Radowa Małego. Na zakup książek przeznaczam znaczną część szkolnego stipendium. Interesuje mnie literatura naukowa. Moja biblioteczka — gromadzę ją od sześciu lat — liczy sto pięćdziesiąt tomów.

Pani Halinie klientka wręczyła listę poszukiwanych książek. Figurują na niej następujące pozycje: „W stronę Misi z Godebskich” Zofii Kossak, „Egipcjanin Sinuhe”, „Encyklopedia kwiatów”, „Kuchnia polska”, „Encyklopedia dla dzieci”, „Opowieści biblijne” Kosidowskiego, „Encyklopedia sztuki dekoracyjnej”, „Poczet królów polskich”. Niestety, z tego zestawu aktualnie w księgarni nic nie ma.

Poszukująca tych pozycji pani jest laborantką medyczną. Jej mąż, kierowca z zawodu, często jest poza Łobzem. On głównie kupuje książki w różnych księgarniach. Zgromadzili razem już pokaźną bibliotekę — trzy regały książek.

Od lady odchodzi trzynastoletni chłopiec. Nabył przed chwilą „Miniatury lotnicze” i „Mistrzowie walki powietrznej” Tadeusza Malinowskiego.

— Interesuje mnie lotnictwo. Kupuję także książki z serii „Bitwy — Kampanie — Dowódcy”. Mam sporo książek, chyba około pięćdziesiąt. Mój ojciec jest krawcem, mama nie pracuje. Ja chodzę do szóstej klasy.

Mężczyzna w wieku czterdziestu kilku lat przegląda książkę Zygmunta Kałużyńskiego „Demon milionowy”.

— Gromadzę książki o problematyce współczesnej — mówi. — Ale najbardziej interesuję się zbiorami z zakresu sztuki. No, i historią starożytną Rzymu i Grecji. Coraz trudniej dotrzeć teraz do książki. Długo trzeba czekać, aby ukazało się coś interesującego. Mam dużą bibliotekę. Na książki muszę przeznaczyć już drugi pokój. Miesięcznie wydaję w księgarni tysiąc pięćset do dwu tysięcy złotych. Z zawodu jestem lekarzem.

Na zapleczu

O czternastej ruch w księgarni nieco zmalał. Korzystam z okazji i proszę o chwilę rozmowy kierowniczkę księgarni, panią Reginę Wierzbowską.

— Księgarnia „Współczesna” w Łobzie jest jedną z czterdziestu ośmiu księgarni naszego województwa. W Szczecinie znajduje się osiemnaście księgarni, łącznie więc w Szczecińskim mamy sześćdziesiąt takich placówek jak moja. No, może niezupełnie takich — jedne są mniejsze, drugie większe. Asortyment, który my tutaj rozprowadzamy jest jednak chyba najbogatszy. Poza książkami sprzedajemy artykuły użytku kulturalnego, instrumenty muzyczne, reprodukcje i płyty. Gdyby tak jeszcze zaopatrzenie dopisywało! Najtrudniej jest z książkami. Szczególnie źle było podczas zimy. Przydziały docierały do nas nie częściej niż raz na miesiąc. Teraz jest trochę lepiej. Od roku czasu nie otrzymuję żadnych instrumentów muzycznych. Asortyment towarów użytku kulturalnego też pozostawia wiele do życzenia. Ciągłe czegoś brakuje i klienci się denerwują.

Lubię swoją pracę. Każdy dzień w księgarni jest inny. Jednego dnia sprzedajemy więcej książek niż materiałów biurowych. Cieszymy się wtedy — mamy większą prowizję. Innego dnia jest odwrotnie, ale nie martwimy się tym. Bardzo mnie interesują ludzie, którzy przychodzą do księgarni. Każdy chce otrzymać potrzebną mu książkę. Ja muszę ją poszukać i dać. Chętnie bym dyskutowała z klientem o książkach, ale na to, jak pan sam widzi, nie ma czasu. Nasza praca nie jest łatwa. Wymaga nie tylko wysiłku umysłowego. To także ciężka robota fizyczna. Musimy przyjmować towar. Nie raz, jak przychodzą podręczniki, otrzymujemy po pięćset paczek. Każdą paczkę musimy rozpakować, sprawdzić, poukładać na półkach. A potem rozdzielić — do bibliotek, szkół i dla odbiorców indywidualnych. Nie raz przy tej pracy serce się kraje. Przychodzi ciekawa pozycja w niewielkiej ilości egzemplarzy. Mam piętnaście stale zaopatrujących się u mnie bibliotek, a nieraz przychodzi tylko pięć książek. Jak tu jeszcze z tego wykroić coś dla indywidualnego klienta. Limity są nieubłagane. Moja księgarnia otrzymuje 2,2% ogólnego przydziału w województwie. Mogę zamawiać książkę w ilości powiedzmy trzydziestu egzemplarzy, ale jeżeli inni też ją chcą, otrzymuję tylko swój procent. Do mnie przychodzą jednak klienci, a nie procenty i muszę rumienić się, nie mogąc im sprzedać tego, co chcą.

Szczególnie brakuje książek dla dzieci. Uczniom od klasy pierwszej do czwartej nie mam zupełnie co dać. Teraz zresztą każda książka jest chodliwa. To, co otrzymuję z nowości, jest natychmiast rozprowadzane. Łobez ma osiem tysięcy mieszkańców. Kupują u mnie także mieszkańcy gminy, ludzie ze wsi, rolnicy indywidualni i pracownicy licznych, w naszym terenie, państwowych gospodarstw rolnych. Dziennie przed naszą ladą przewija się od stu do stu pięćdziesięciu klientów. Stałych bywalców, którzy odwiedzają księgarnię przynajmniej raz w tygodniu jest około stu.

Sporo trzeba się nabiegać, aby obsłużyć klientów. Mamy trzy pomieszczenia magazynowe i salę sprzedażną. Dziennie w wędrówce między regałami robimy pewnie z dziesięć do dwunastu kilometrów. Lubię jednak swoją pracę. Nie zamieniłabym ją na inną. Jest ciekawa, przynosi satysfakcję. Zanim ktokolwiek w Łobzie otrzyma książkę, ja ją już mam w swoim ręku, mogę się z nią zapoznać. Często spotykamy się z wdzięcznością naszych klientów. Pamiętają o nas przy różnych okazjach. Ot, chociażby z okazji Dnia Kobiet. Niech pan przeczyta, jaką otrzymaliśmy kartkę.

Czytam: „Przesyłając Paniom życzenia z okazji Dnia Kobiet, dopraszam się pamięci w sprawie „Rozmowy z katem”. Podpis: Długi klient z chudą kieszą z Inśka”.

Zauważam, że kiesy klientów księgarń nie są znowu takie chude.

— Klienci wydaliby dużo, gdyby tylko było co sprzedawać — potwierdza pani Regina. Jeden klient wydaje przeciętnie około stu złotych. Dzienny utarg wynosi średnio około piętnastu tysięcy złotych. Nasz plan roczny to dwa miliony złotych na książki i trzy miliony na materiały piśmienne.

Łobez od sześciu lat organizuje spotkania marynistyczne. Pytam więc, jak zapowiada się w tym roku tradycyjnie odbywający się — z racji spotkań — kiermasz książek. Pytanie to wywołuje konsternację.

— Obawiam się, że pisarze nie będą mieli co podpisywać. W tej chwili dysponuję tylko książkami Eugeniu-

sza Daszkowskiego — „Spotkania afrykańskie” i Bohdana Czubasiewicza — „Tazarem ku Antarktydzie”. Zapowiadana jest jeszcze nowa książka Jerzego Jasińskiego. Należy żałować, że nakłady książek szczecińskich są takie małe, a wznowienia poszczególnych tytułów ukazują się sporadycznie.

Trochę statystyki

Jest godzina piętnasta. W księgarni znowu tłok. Kierowniczką przerywa rozmowę ze mną i staje przy ladzie. Ja przeglądam książki na regałach. Interesuje mnie, jakie pozycje i od jak dawna czekają na półkach na klientów. Książki są ułożone alfabetycznie. Zza każdej zastawki abecadłowej wybieram na chybił trafił po jednej pozycji. Tym sposobem natrafiam na książki: Jerzego Afanasjewa: „Laboratorium” (Wydawnictwo Morskie, 1978 rok wydania, nakład 10.000 egzemplarzy), Leszka Bakuły: „Czarny bór” (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1974 rok, 10.000 egzemplarzy), Adolfa Bioy Cesares’a: „Wynalazek Morella” (również LSW, 1975 rok, 10.000 egzemplarzy). Spośród wybranych dwudziestu czterech książek sześć było wydanych w roku 1974, po trzy w latach 1972 i 1973, po dwie w latach 1970, 1971, 1975. Z lat ostatnich, 1977—1978, było zaledwie po jednej książce. Ten sondaż statystyczny wskazuje na to, że na półkach łobeskiej księgarni mamy pozycje już mocno podstarzałe. Od kilku lat nie mogą one znaleźć nabywcy i należy wątpić, by spotkały się obecnie z zainteresowaniem. Brakuje natomiast całkowicie książek z 1979 roku. Wśród niepopularnych książek, znajdujących się na półce, większość to pozycje autorów mało znanych. Z autorów cieszących się już renomą, wśród dwudziestu kilku pozycji, spotkaliśmy dzieła sześciu autorów.

Nie spotkały nabywcy najczęściej pozycje wydawane w stosunkowo niewielkim nakładzie — 15 książek miało nakład po 10.000 egzemplarzy. Wśród wydawców niechodliwych pozycji figuruje „Czytelnik” — 6 pozycji. Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza i Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej — po trzy książki. Lista wydawców jest długa, obejmuje jedenaście wydawnictw.

Chcąc uzupełnić ten obraz przejrzałem także aktualnie znajdujące się w księgarni książki dla dzieci. niewiele ich stało na regale. Z serii do oglądania tych pięć tytułów, a z książek do czytania tylko książki Marka Płużańskiego — „Czarodziejskie szkieleko” i Krystyny Balińskiej-Wutke — „Skarby sezamu”.

Zamiast zakończenia

Godzina osiemnasta. Księgarnię opuszczają już ostatni klienci. Pracownicy księgarni są już zmęczone. Dla nich jednak jeszcze nie koniec pracy. Muszą podliczyć dzienny utarg. I odprowadzić pieniądze do banku. Czekam na podsumowanie kasy. Dzisiejszy utarg wyniósł nieco więcej niż 10.000 złotych. Większość pieniędzy wpłynęła od odbiorców indywidualnych. Na przelewy było prawie 4000 złotych. Razem dzisiejszy dzień zamyka się kwotą 14.000 złotych. Przez księgarnię przewinęło się stu trzydziestu pięciu klientów.

próba zjednoczenia

kiedy wyjdiesz nagle jakbyś nie mógł się zmieścić
wśród stoków płonących świec i twarzy
a nikt nie będzie starał się nawet zatrzymać ciebie
w obszarze powietrza przepelnionego dymem
dźwiękami dyskotekowej muzyki szkła i nie skojarzy
z kobietą w wyraźnym kręgu spojrzeń reflektorów
kiedy sen na wycieracze u drzwi w jednej z pomyślonych
klatek secesyjnej kamienicy nie będzie miłością
a tylko beton przeniknie ciało i da znać o sobie
wtedy nie oglądając się zostaw drogę przebytą
w jednym z dalekobieżnych pociągów
nie próbując niczego wyjaśniać na jednym z odległych
placów lub parków gdzie upadniesz twarzą
w naturalnie biały śnieg jak w radość
z dopadającym cię wierszem niepokornym sługą
kiedy śnieg zacznie tajać a ziemia przemówi
bardzo ludzkim głosem i przejdzie ktoś
nie zastanawiając się nad tym ktoś komu tak wiele
chciałbyś powiedzieć podnieś się i nie obierając kierunku
idź do nowo odkrytego lądu bo któregoś wieczoru
poda ci dłoń ten który cię minął a ty wyczujesz żar
i dowód szacunku któregoś wieczoru w zupełnie innych
okolicznościach w rozległym świetle róży papierosa
zacznie się snuć nić porozumienia
wtedy każde słowo stanie się łamaniem opłatka
wschodzącego słońca z drugim człowiekiem
ku któremu wyszedłeś przeczuwając zaledwie
próbę zjednoczenia.

ja i (mój) przyjaciel wiersz

kiedy wieczór zakwita światłami domów ulicznych lamp
gwiazd
a soki ziemi płyną w wiosenne niebo
ja i mój przyjaciel wiersz wyruszamy na spacer
by wieść spór o każde słowo literę znak
przypuszczamy śmiałe ataki
na linie rodzących się wątpliwości
jak dwie rogate dusze bierzemy się za bary
to znowu prawimy sobie komplementy
ja i mój wiersz najdziwniejsza para w okolicy
zawieramy układ o współpracy
chcemy być zgodni kiedy późną nocą
popłyniemy na morza łodzią snu
i o świcie
na pierwszych konferencjach przechodniów
z kwiaciarkami
kiedy w kioskach ruchu dojrzewają owoce strof
na polach użyczonego światła nowego dnia
ja i wiersz
rozpisani na głosy
twarzą w twarz.



fot. W. Termanowski

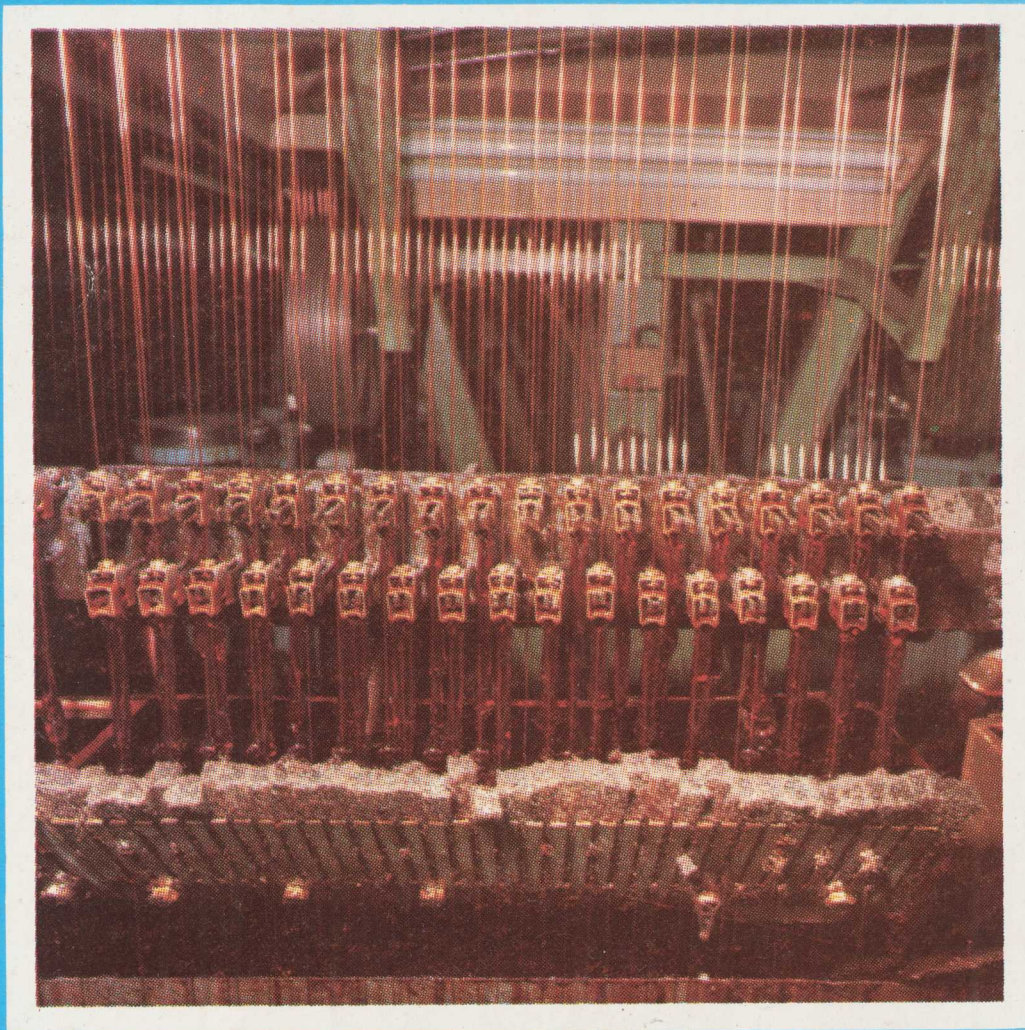




FABRYKA KABLI „ZAŁOM”
SZCZECIN, ul. Kablowa 1, tel. 61-60-21

oferuje:

- miedziane druty gołe
- elektroenergetyczne napowietrzne linki miedziane
- elektroenergetyczne napowietrzne linki aluminiowe
- elektroenergetyczne napowietrzne linki stalowo-aluminiowe
- przewody nawojowe o izolacji lakierowej
- przewody instalacyjne o izolacji i powłoce z PCV
- przewody instalacyjne, warsztatowe i przemysłowe o izolacji i oponie gumowej
- bezpowłokowe kable energetyczne na napięcie do 1 kV



kurt

mewy
łącza
jeszc
i na
statk
na os
żona
wypa
znajo

Sz
młod
tów.
wier
Wa
stapi
na r
wier
słow
chcia

Pr
wrot
całoc
statn
Jest
boler
zami
lach
Staje
krali
twier
wier
słow
gęsty
rzen
na r
łacia
dowa
rynis
decy

... w
wier
go ś
„dziu
kies.
Pla
czys
albo
się v
choć
ciu -
się n
niej
foryc
ckich
nato
lej -
ucza
mow
wod
kotw
port
łaby
zycy

kurtka rybaka

mewy gęstym ściegiem
łączą niebo z morzem
jeszcze kieszeń plaży
i na dziś koniec
statki na redzie zapięły
na ostatni statek łaciatą kurtkę
żona na rękawie
wypatruje w kołnierzu
znajomego kutra

Szymon Kaczmarek należy do najmłodszego pokolenia szczecińskich poetów. Debiutował niedawno kilkoma wierszami w „Spojrzeniach”.

Warto jednak w tym wypadku odstąpić od zobiektywizowanego opisu na rzecz postawy wartościującej, bo wiersz — mimo niewątpliwej pomysłowości — zawiera sporo potknięć, chciałoby się rzec: szkolnych.

Przedstawiono w nim sytuację powrotu z łowiska kutra rybackiego po całodziennej pracy, a jednocześnie ostatni dzień służby marynarskiej kurtki. Jest ona tu dodatkowo wyraźnie symbolem rybackiego życiorysu, występuje zamiast męzowskiego kutra w chwilach oczekiwania na powrót z morza. Staje się fetyszem, przedmiotem zsakralizowanym. W tym przekonaniu utwierdza rodzaj języka użytego w wierszu. Został on podporządkowany słownictwu „krawieckiemu”: „mewy gęstym ściegiem /łączą niebo z morzem) jeszcze kieszeń plaży (...) statki na redzie pozapinały/ na ostatni statek łaciatą kurtkę”, itd. Sytuacja przekodowania ze spodziewanego języka „marynistycznego” na język krawiecki” decyduje o poetyckości tego tekstu. Ale ... wydaje się, że poeta zbyt mocno uwierzył w swój pomysł, skutkiem czego ścieg jego wiersza miejscami ma „dziury”. Przykład pierwszy: „jeszcze kieszeń plaży/ i na dziś koniec”.

Plaża jest miejscem płaskim, piaszczystym lub kamienistym nad morzem albo jeziorem. W każdym razie trudno się w niej dopatrzeć cech kieszeni, a choćby tej, która zwyczajnie w życiu — a także w tym wierszu wydaje się najistotniejsza: to to, że można w niej coś przechować. Taką zaś metaforyczną kieszenią dla kutrów rybackich schodzących z łowisk może być natomiast port. Tym bardziej, że dalej — gdyby trzymać się pewnych pouczających ustaleń topograficznych — mowa o redzie, która jest obszarem wodnym tuż przed portem, gdzie zakotwiczać czekające na wejście do portu statki. W tej sytuacji narzucałaby się jednak pewna zmiana kompozycyjna:

mewy gęstym ściegiem
łączą niebo z morzem
statki na redzie pozapinały
na ostatni statek łaciatą kurtkę
jeszcze kieszeń portu
i na dziś koniec

Kolejnym miejscem, gdzie koncept bierze górę nad naturalnym biegiem opisu, jest zdanie: „statki na redzie pozapinały /na ostatni statek łaciatą kurtkę”. Tym razem chodziło autorowi o rozbicie utartego zwrotu frazeologicznego: zapiąć na ostatni guzik. Trochę to zostało zrobione w sposób zbyt wysilony. I tak bowiem, gdyby powiedzieć je bardziej naturalnie: „statki/.../ pozapinały/ na ostatni guzik łaciatą kurtkę” zostaje zachowana konsekwencja przekodowania (nawet wyraźniej!). Omiąja się zaś definiowanie tego samego przez to samo oraz unika się nagromadzenia nadmiernie sycących spółgłosek „st” (statki, statek, ostatni).

TADEUSZ
BRZOSOWSKI

ANALIZY

I zakończenie wiersza: „na rękawie żona /wypatruje w kołnierzu/ znajomego kutra”. Brzmi to niemal jak kawałek tekstu nadrealistycznego — i jakby kłóci się z poprzednimi zdaniami. Wydaje się jednak, że intencja była tu bardziej realistyczna. Oto stara kurtka tak mocno się zespoliła z mężem — rybakiem, jego kutrem, że zapewne w pełnym niepokoju oczekiwaniu na powrót z łowisk (żona) — przedstawia się jako przedmiot zantropomorfizowany. Mamy tu zatem do czynienia z pewną stylistyczną nieporadnością.

Odeszła a była tak śnieżna
że jeździła pod obłokiem
Metafora na białym koniu
Czekałem a one odchodziły w przeszłość
z wytartymi zdaniami z zamkniętymi ustami
wyczekiwały pod strychem pamięci

A ja myślałem o przyszłości
a tu szły tylko białe kartki i buty sznurowane
lecz nawet pod śniegiem pamiętałem o poetyckiej kurtyzanie
ośmielałem się tańczyć w poście

W owej „śnieżnej” domyślać się można kobiety (lub kobiet) rzeczywistych, ale także takich, które zaistniały jedynie w wyobraźni poety: (metafora na białym koniu, odchodziły z wytartymi zdaniami). Atutem tego wiersza jest niewątpliwie wieloznaczność i aluzyjność — zaś konsekwencja w ich stosowaniu pozwala upatrywać w autorze świadomego majstra poetyckiego: „Czekałem a one odchodziły w przeszłość/ z wytartymi zdaniami z zamkniętymi ustami”. Nietrudno pu. skojarzyć słowa zdania z innym, bardziej dosadnym zdaniem. Tłumacząc to zdanie na język bardziej przejrzysty, myśl poety można by było zrekonstruować tak: Odchodziły ode mnie (metafory, kobiety) i nie pozostawało mi nic. Dalej mamy bowiem: „... myślałem o przyszłości /a tu szły tylko białe kartki i buty sznurowane...” a więc nieudane próby poetyckie i codzienna recydywa życia — poranne wiązania butów...

Myślę jednak, że nie jest tak najgorzej. Przynajmniej niektóre metafory-kobiety pozostają autorowi wierne, choćby tylko w Analizach. Aby to mogło dotyczyć całego wiersza, należałoby go zakończyć po wyżej cytowanych słowach. Nie bardzo bowiem rozumiem sens dwu ostatnich wersów: „lecz nawet pod śniegiem pamiętałem o poetyckiej kurtyzanie/ ośmielałem się tańczyć w poście”. Mogę się tylko domyślać, że znowu chodziło o otwarcie pewnego obszaru skojarzeń... Pod śniegiem (ciąg skojarzeń: pod ziemią, trawą, itp), a więc po śmierci — ale także: podczas śniegów, jako oznaczenie pory roku, w której rzeczywiście jest post... Jeśli jednak ten ciąg rekonstrukcji byłby zgodny z intencjami autora, znaczyłoby to, że trafił na wyjątkowo cierpliwego czytelnika, który trochę na siłę wpisuje w jego wiersz porządek...

O wiele byłoby przecież klarowniej, gdyby użyć tak zamiast czasu przeszłego — przyszłego: lecz nawet pod śniegiem będę pamiętał o poetyckiej kurtyzanie /ośmielając się tańczyć w poście — co stanowiłoby deklarację o wyjątkowej sile owej nieodwzajemnionej miłości, pokonującej nawet śmierć... Nie wierzę jednak, aby można było wtedy pisać wiersze...
Pozdrowienia.

Nie było nas, był Bałtyk

Patrząc na mapę Polski, trafiamy zawsze wzrokiem na wypełniający górną jej część błękitny pas Bałtyku, wrośnięty już tam na stałe i utrwalony w pamięci narodu. Burzliwe i zmienne były jednak powiązania Polski z Bałtykiem, budowane trudem pokoleń, doceniane i zapomniane, tracone i odzyskiwane, potwierdzone wreszcie krwią i ślubem **żołnierza polskiego**. I tak już wydaje się, że zawsze było i będzie — Polska leży nad Bałtykiem, zanurza się w jego falach, łączy się z nim wodami swych rzek i ich królowej, Wisły, co to tajemnicę o Wandzie i Kraku morzu pod opiekę powierzyła.

Bałtyk był jednak przed nami, chociaż jego przyszłość zależy z kolei od nas. Pojawił się w historii Ziemi niedawno, 10—12 tysięcy lat temu, ale jego pochodzenie jest bardziej odległe i wiąże się z ruchami górotwórczymi, zlodowaczeniami i morzami pokrywającymi kiedyś obszary dzisiejszej Europy. Cofający się wreszcie ostatecznie lodowiec pozostawił po sobie olbrzymi zbiornik słodkiej wody — Bałtyckie Jezioro Lodowe, i to był początek dzisiejszego Bałtyku. Jezioro to z kolei, od zachodu i północy, uzyskuje połączenie z Atlantykiem i staje się morzem, a w jego słonych wodach żyje licznie małż *Yoldia baltica* (oceanografowie nazwą więc później ten okres Morzem Yoldiowym). Bałtyk jednak dalej zmienia się, żyje wraz z nieustabilizowanym jeszcze obliczem kapryśnej Europy, wybranki Zeusa, i staje się ponownie zbiornikiem słodkowodnym, gdzie nie może żyć fauna morska, a miejsce *Yoldia baltica* zajmuje ślimak *Ancylus fluviatilis* (stąd dla odmiany Jezioro Ancylusowe).

To jeszcze nie koniec; mijają następne dwa tysiąclecia i Bałtyk odzyskuje połączenie z Atlantykiem, a wraz z ciepłymi i słonymi wodami wkracza tu ślimak porbrzeżek, typowo morski — *Litorina litorea* (więc Morze Litorynowe). To połączenie z Atlantykiem pozostaje już do dziś, ale staje się płytsze, gdy dla odmiany zwiększa się dopływ wód wnoszonych przez rzeki. Bałtyk staje się w końcu morzem chłodnym, słonawym, *Litorina* zanika, a dominującymi gatunkami fauny stają się małże — piaskożak (*Mya arenaria*) i rogowiec (*Macoma baltica*), stąd mówi się czasem o współczesnym Bałtyku Mya-Macoma Bałtyk.

Wszystkie te fazy rozwojowe naszego morza trwają po 2—3 tysiące lat, a więc cała historia Polski i nawet Słowian nadbałtyckich to właśnie ten ostatni okres, nad Bałtykiem zbliżonym kształtem i charakterem do tego, co dziś widzimy z plaży, statku, samolotu czy najszerzej na mapie. Chętnie mówimy — „nasz Bałtyk”, chętnie na jego plażach spędzamy lato, stoimy w kolejce po smażoną flądę, robimy sobie pamiątkowe zdjęcie obok łodzi rybackiej, pełnej ryb i sprzętu, oddzielonej już od żywiołu bezpiecznym pasem piachu bądź falochronem portowym.

Kronika

● Na konkurs Literacki im. Jana Papugi na małe formy prozatorskie nadesłano 350 prac z całej Polski. Po wstępnej selekcji do nagród pretendowało 79 utworów.

Pierwszą nagrodę przyznano pracy pt. „Morze”, której autorką okazała się Ewa Bogucka-Słaska z Gdańska. Dwie drugie nagrody otrzymali: Eugeniusz Daszkowski ze Szczecina za „Ostatni rejs” oraz Mirosław Prandota z Warszawy za opowiadanie pt. „Całą parą naprzód”.

Nagrody trzecie przypadły w udziale: Janowi Rybowiczowi z Lisiej Góry (Tarnowskie) za opowiadanie „Babka Alojza”, Zenonowi Dunajczykowi za „Połów” i Marianowi Kowalskiemu ze Szczecina za „Szkłane paciorki”.

● W Szczecinie odbyła się ogólnopolska sesja publicystyczna organizowana tradycyjnie co roku przez „Głos Szczeciński” z okazji Dni Morza i święta gazety partyjnej Pomorza Zachodniego. Tematem dziennikarskiego spotkania była rola morskiego Szcze-

cina w całokształcie gospodarki narodowej na tle historycznym.

● Trzecią nagrodę XVII Krajowego Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu w koncercie debiutów otrzymała Monika Dutkiewicz, związana z Łobeskim Ośrodkiem Kulturalnym w woj. szczecińskim.

● W salach Muzeum Narodowego przy Wałach Chrobrego zorganizowano III Polsko-Fińską Wystawę Grafiki Marynistycznej.

● Wojewódzkie Archiwum Państwowe w Szczecinie wydało, pod redakcją Kazimierza Kozłowskiego, album zatytułowany „Skarby szczecińskiego archiwum”. W wydawnictwie przedstawiono wybór archiwaliów z lat 1273—1945.

● Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Szczecinie oraz Koło Młodych przy Związku Literatów Polskich wydają techniką małej poligrafii bibliofilskie tomiki. W „Arkuszach Szczecińskiej Serii Literackiej” pod redakcją Haliny Lizińczyk i Bogdana Twardochleba ukazały się o-

Popatrzmy jednak bliżej na Bałtyk, to dziwne morze-nie-morze, jezioro-nie-jezioro, „laboratorium przyrody”, trochę słone, trochę słodkie, czyli fachowo — słonawe, śródlądowe, o małej wymianie wód z Atlantykiem (przez Cieśniny Duńskie). Przy powierzchni około 400 tys. km² Bałtyk rozciągnięty jest znacznie w kierunku północno-wschodnim, na 1400 km południkowo i 700 km równoleżnikowo, kryjąc w sobie około 22 tys. km³ słonych, słonawych i słodkich wód, o średniej głębokości 56 m i maksymalnej 459 m (Głębia Landsort). Urozmaicona linia brzegowa, liczne wyspy, zatoki i zalewy, narzucają jego podział na przejściowy rejon Cieśnin Duńskich, dalej Bałtyk Zachodni i wreszcie właściwy, który obejmuje „nasz” Bałtyk Południowy (z Zatoką Pomorską, Pucką i Gdańską, i Zalewem Szczecińskim, Wiślanym i Kurońskim), potem Środkowy, i wreszcie Zatokę Ryską, Fińską i Botnicką, zwaną także Morzem Bałtyckim lub Botnickim. Nadmiar wód słodkich, wnoszonych przez rzeki, spływają później do Morza Północnego, ale słone jego wody wciskają się tu dla odmiany przy dnie, zalegając w końcu bałtyckie głębie. Nie tylko Neptun, ale i Eol wtrąca tu też swoje trzy grosze, a podległe mu wiatry — ciepły Notos (S), zimny Boreasz (N), wilgotny Zefir (W) i suchy Euros (E), wyprawiają swoje harce nad Bałtykiem i zmieniają pogodę z dnia na dzień.

morza i ziemi

statnio tomiki Henryka Banasiewicza „Penetracje”, Dariusza Bitnera „Proza” i Tadeusza Brzozowskiego „Proces gototwórczy”.

● Dyrektorem Teatru Współczesnego w Szczecinie został Andrzej Chrzanowski, który w minionym sezonie teatralnym reżyserował „Lot nad kukulczym gniazdem”.

● Podczas XIV Festiwalu Pieśni Chóralnej w Międzyzdrojach odbyło się 9 koncertów w nadmorskim amfiteatrze i 3 w Szczecinie, wysłuchano 21 zespołów, w tym 10 polskich i 11 z Europy i Ameryki Północnej. Grono rzeczoznawców pod przewodnictwem Jerzego Kołaczewskiego ogłosiło swój werdykt. Nagrodę wojewody szczecińskiego — statuetkę Tryglawa — przyznawaną za szczególne walory artystyczne występu uzyskał chór „Contamus ensemble” z Mansfield (Wielka Brytania) prowadzony przez Pamelę Cook, Bursztynową Amforę — nagrodę Polskiego Radia i Telewizji za najciekawszą prezentację muzyki współczesnej — otrzymał Dzielwycy Chór Średniej Szkoły Pedagogicznej w Karłowich Varach (Czechosłowacja) pod dyrekcją Jirięga Strunca. Złotą Lirę — ufundowaną przez Polski Związek Chórów i Orkiestr za najlepsze wykonanie muzyki polskiej — otrzymał Chór Ka-

meralny Uniwersytetu w Utrechcie (Holandia) śpiewający pod kierunkiem Jappa Hillena. Nagrodę im. prof. Edmunda Maćkowiaka — fundowaną przez doc. Krystynę Domańską-Maćkowiak za najlepsze wykonanie stylizacji muzyki ludowej — przyznano Zeńskiemu Chórowi Politechniki Ryskiej (Łotewska SRR) „Delta” pod dyrekcją Janisa Garancza i Eleny Olgęzniewej. Nagrodę im. Wacława Łachmana — fundowaną przez Warszawskie Stowarzyszenie Śpiewacze „Harfa” za najciekawszy zestaw repertuaru — otrzymał Chór Pracowników Budowlanych z Kaposzvar (Węgry) pod kierunkiem Roberta Klausza. Chór Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, prowadzony pod dyrekcją Stanisława Kulczyńskiego, uzyskał nagrodę Morskiego Ośrodka Kultury i Informacji za najlepsze wykonanie pieśni o morzu. Towarzystwo Miłośników Międzyzdrojów przyznało nagrodę Chórowi „Cantilena” z ŁO w Goleniowie za szczególne osiągnięcia w pracy tego zespołu (dyryguje nim Tadeusz Pawłowski). Nagrodę Szczecińskiej Rozgłośni Polskiego Radia dla wyróżniającego się dyrygenta uzyskała Elena Ogłezniewa (Ryga). Bogdan Babendych — przewodniczący Towarzystwa Miłośników Międzyzdrojów — uzyskał nagrodę specjalną naczelnika miasta Swinoujścia za zasługi w organizacji Festiwalu Pieśni Chóralnej.

I tak nad Bałtykiem, w jego wodach, na lądzie i w powietrzu, ścierają się siły Natury i potrzeby ludzkie. Siedem wysoko rozwiniętych państw, z ich przemysłem, rolnictwem, żegluga, rybołówstwem, żeglarstwem i rekreacją — różnicowane i sprzeczne interesy. Trudno pogodzić z sobą wymogi użytkowe i zachować stan biologiczny Bałtyku, ale należy o konieczności takiej stałe pamiętać. Przyroda zresztą kryje w sobie bogate możliwości, trzeba je tylko poznać i umiejętnie wykorzystać. Ot, chociażby ścieki, wnoszone przez rzeki i statki, uczyniły z Bałtyku jeden z brudniejszych rejonów Wszechoceanu, ale wbrew pesymistom łączne połowy osiągnęły tu ponad milion ton rocznie, z czego na Polskę przypada prawie jedna piąta. I my, i inni łowimy głównie śledzie, dorsze, szproty i płastugi (flądry), a także bardzo cenne ryby dwuśrodkowiskowe, wędrowe — węgorze, łosie i trocie, a nawet słodkowodne — certy, płocie, sandacze i inne, spotykane w wysłodzonych zatokach i zalewach. Tylko nasza bałtycka flota rybacka liczyła w 1975 roku 498 kutrów i 791 łodzi, motorowych i wiosłowych, państwowych, spółdzielczych i prywatnych, bazujących w licznych portach rozsianych wzdłuż całego wybrzeża, od Swinoujścia na zachodzie po Piaski na wschodzie. W 1975 roku odłowily one 213 665 ton ryb, czyli 27,2 proc. naszych ogólnych połowów; w 1976 roku było jednak o 13 tys. ton ryb mniej, a limity na 1978 rok, przyznane

nam przez Międzynarodową Komisję Rybołówstwa Bałtyckiego, były jeszcze mniejsze.

I tak jest w każdej dziedzinie działalności gospodarczej związanej z Bałtykiem. Potrzeby krajowe trzeba podporządkować międzynarodowym. Konieczne są tu działania wielkie, ponadpaństwowe, ogólnobałtyckie. I podejmuje się takie (np. Konwencja Gdańska i Helsińska), chociaż opornie, z kłopotami, opóźnieniami, poprawkami i ciągłymi uzupełnieniami. Różne są tego przyczyny, ale też trudno od razu naprawić to, co zostało przez wieki zmienione. Nie czekajmy jednak tylko na wielkie przedsięwzięcia, a pamiętajmy i o małych. Pomagajmy w tym działaniu — każda bezmyślnie rozdeptana i rozkopana nadmorska wydma, zniszczona roślinność, porzucone śmieci, ścieki z Krakowa, nawozy z Puław, brudy Szczecina — wszystko to kaleczy Bałtyk i trzeba to później wielokrotnym wysiłkiem naprawiać. Bałtyk winien przecież służyć przez następne wieki i tysiąclecia. Może nawet będzie się wtedy znowu inaczej nazywał, ale i o tym w dużej mierze zadecyduje nasze dziedzictwo.

A Bałtyk jest rzeczywiście swoistym „laboratorium przyrody”, o ciekawej i różnicowanej faunie i florze, chociaż uboższej niż w morzach pełnosłonnych. Z około 16 tys. gatunków ryb morskich żyje ich tu np. tylko 26, gdy już w Morzu Północnym 120; z kilkudziesięciu tysięcy małży i ślimaków — kilka gatunków, z tysięcy skorupiaków dziesięcionogich — tylko krewetka i garnela. Brak tu też w ogóle takich typowo morskich zwierząt jak korale rafotwórcze, ukwiały, gąbki, szkarłupnie, głowonogi, ryby chrzęstnoszkieletowe (rekiny i płaszczki), itp., co pozbawia nasze morze tak chętnie opisywanego i filmowanego uroku mórz południowych. Z drugiej strony żyją w Bałtyku — obok siebie — gatunki morskie, słonowodne i słodkowodne, arktyczne i ciepłolubne, kosmopolityczne i miejscowe, aklimatyzowane i przywleczone tu przypadkowo, użytkowe i nieużytkowe, i wszystko to powoduje się nie mniej ciekawe niż błękitne wody Adriatyku czy Morza Koralowego. Jest Bałtyk równie złożonym i finezyjnym ekosystemem, jak cały Wszechocean. Pamiętajmy o tym, wymagając, aby był on równocześnie źródłem białka, surowców mineralnych, wody, energii i wrażeń estetycznych, a także drogą wodną i śmietnikiem siedmiu państw.

Zainteresowanym bliżej życiem Bałtyku polecam muzealne ekspozycje przyrodnicze w Muzeum Narodowym w Szczecinie (Wały Chrobrego 3), w Muzeum Rybołówstwa Morskiego w Swinoujściu, w Muzeum Wolińskiego Parku Narodowego w Międzyzdrojach, a także w podobnych placówkach Darłowa, Helu i Gdyni. Szczególnie zachęcam do odwiedzania Oceanarium przy Morskim Instytucie Rybackim w Gdyni, i zblizzonego w Stralsundzie (NRD). Można też sięgnąć po literaturę — „Nasz Bałtyk” K. Demela (Wyd. 2, Wiedza Powszechna 1976), „Świat zwierzęcy Bałtyku” L. Żmudzińskiego (Wyd. Szkolne i Pedagog. 1974) i „Morze Bałtyckie” K. Łomniewskiego, W. Mańkowskiego i J. Zaleskiego (PWN 1975). Pobyt i spacer nad morzem będzie wtedy bogatszy, a znajdowane na plaży muszelki i glony czy odpoczywające po zmaganiach z wiatrem i falą łodzie rybackie, czy po prostu oddech i zapach morza, staną się świadkami i dowodami jego żywej historii bądź chwili obecnej.

WIESŁAW SEIDLER

Nad lasem płonie słońce — nasz cel. Ja tam nie dojdę. Droga daleka, a moje stopy otarte na kamienistym szlaku zostawiają w kurzu już niekształtne ślady.

Mądrzy ostrzegają: „Pamiętaj, zatrzymasz się — zostałeś, przepadłeś. A to znaczy: słabyś i niegodny celu. Słusznie wart będziesz zapomnienia.”

Nie rozpaczam. Zostanę tu, w połowie drogi. Posadzę drzewo i ustawię pod nim ławkę dla zmęczonych podróżnych, a w skwarne południe podam im kubek zimnej wody. Gdy trzeba będzie, uśmiechnę się zachęcająco i powiem wskazując cel: „Już niedaleko”. To wprawdzie niewiele, nawet bardzo mało, ale bez tego kubka i bez tego słowa nie dojdą. Oni pojmą to później, ja wiem już dziś. Znalazłem to na kamienistej drodze. Gdy schyliłem się opatrzyć stopy, spostrzegłem to w pyle, zdeptane, zapomniane, a gorące jak gwiazda pierwszej wielkości. Podniosłem, ukryłem i odtąd, wbrew wszystkim mędrcom, wiem, że naprawdę jestem bogaty.

* * *

— Dlaczego milczysz? Zapomniałeś słów?

— Mylisz się. Umiałem kiedyś mówić mądrze i wzniośle. Miałem głos subtelny jak najwymyślniejsza pieśń, moje słowa budziły taki zachwyt, że twarze zakrzepłe w powadze rozjaśniały się uśmiechem, a w zimnych oczach zapalały się ciepłe światła, bo moje słowa były pełne słodyczy i głębokiej mądrości. Nic dziwnego, poznałem tajemnice najmądrzejszych ksiąg i nic już nie mogło mnie zadziwić. Wiedziałem wszystko.

Poznałem tajemnice ziarna. Wiedziałem: łupina, kielek, białko...

Przeniknąłem tajemnice komórki. Wiedziałem: plazma, jądro, rybosomy, wakuole...

Wiedziałem wszystko, co było napisane; uszeregowałem je w pamięci jak żołnierze na apelu i czułem się bogaty i bezpieczny. Aż nadszedł dzień, kiedy syn znalazłszy kiełkujące ziarno fasoli, zapytał: — Tato, co w nim się stało?

— To proste — odrzekłem. Bez trudu wyrzuciłem z siebie tajemnice ziarna i komórki, lecz one rozsypywały się jak suchy piasek. Można było je tylko ułożyć w szeregi lub w linijki druku. Przeraziłem się. Czyżbym zagubił którąś drobinę?

— Poczekaj, niech przypomnę.

Fasola dawno urosła, wydała nowe ziarno-tajemnicę, a ja ciągle szukam. Przewertowałem uczone księgi, pytałem mądrych i prostych. Daremnie.

A może ty wiesz, gdzie mogę znaleźć? Aha, ciebie to nie interesuje... Szczęśliwyś. Więc, proszę, nie przeszkadzaj mi w milczeniu; szukam przecież.

Wspomnienie

Tu leży on. Nie był bohaterem. Szedł przecież za frontem, utartym już szlakiem. Nosił zniszczony, trochę za duży mundur, a na bezwąsej twarzy miał szeroki uśmiech. Ciekawie rozglądał się po świecie, ale najchętniej mówił o matce, która czeka na niego tam, gdzie wstaje słońce.

Zbierał ukryte skrzyneczki na polu mego ojca. Nie zdążył wybierać wszystkich. Któregoś dnia pochowaliśmy go w cmentarnym piasku. Nie było kwiatów, salutu ni łez. W ciszy przybiliśmy do brzoźowego krzyża drewnianą tabliczkę jak medal. A prawdziwy medal przypięliśmy generałowi, co jeździł samochodem.

To wszystko.

* * *

Stoimy naprzeciwko: ja — na balkonie, on — po drugiej stronie ulicy. Jego krwista bryła z wieżą zakończoną krzyżem wydaje się pięścią katechety z palcem wyciągniętym ku niebu, gdy naucza: „Tam mieszka mądry i nieśmiertelny.”

Sąsiadujemy, a prawie go nie znam, lecz zawsze mówię o nim: piękny, bo wciąż jestem pod jego urokiem. I w pogodę, gdy słońce zagląda w wymyślne zasłony jego architektury, i w deszcz, gdy stoi jak podróżny w polu, i gdy zdyszane ptaki siadają na jego krzyżu. Ale też wiem, że ma nade mną władzę, onieśmiela, zmusza do milczącej powagi, a każde słowo o nim wydaje się za małe. Dlaczego? — zamęczam się latami. Zdążyłem już policzyć jego cegły o barwie zapiekłej krwi i polyskliwe kępki mchu na dachu — pytanie zostało tajemnicą.

Właśnie odzywa się rozlewną muzyką dzwonów i ludzie wchodzą w jego chłodne wnętrza, by w zapachu mirry, blasku świec i przy śpiewie organów pochylić się przed Tym, który jest mądry i nieśmiertelny, i bić się przed Nim w piersi, choć są pewni, że nie ujrzą Jego nieśmiertelnej twarzy.

Dzwony kołyszają miastem, a mnie się nagle wydaje, że mówią do mnie, tylko do mnie, tylko mnie podają wieść, niemal hymn, że na każdej z tysięcy krwistych cegieł tej pięści są ślady palców, maleńkie ludzkie twarze, które, gdy się dobrze poszuka, na pewno można ujrzyć. A w nie wsiąknięte pot i ból — pieczęcie przeszłych. I dzwony dumnie głoszą ich triumf.

Pochylam głowę pokornie. Czyżbym zaczynał rozumieć, czym jest mądrość i nieśmiertelność?

JERZY PUCIATA, „Obszar I” z cyklu „Oitarze morza” — olej. Wyróżnienie w konkursie „Konik Morski '79”

WŁADYSŁAW HASIOR. Pokaz działania rzeźby plenerowej „Płonące ptaki” z okazji otwarcia VI Prezentacji Malarzy Krajów Socjalistycznych w 1975 roku

foto. Janusz Szalański



